


MO  
JE

WS  
PO  
MN  
IE  
NIA

o

Józefie

Chetmowskim



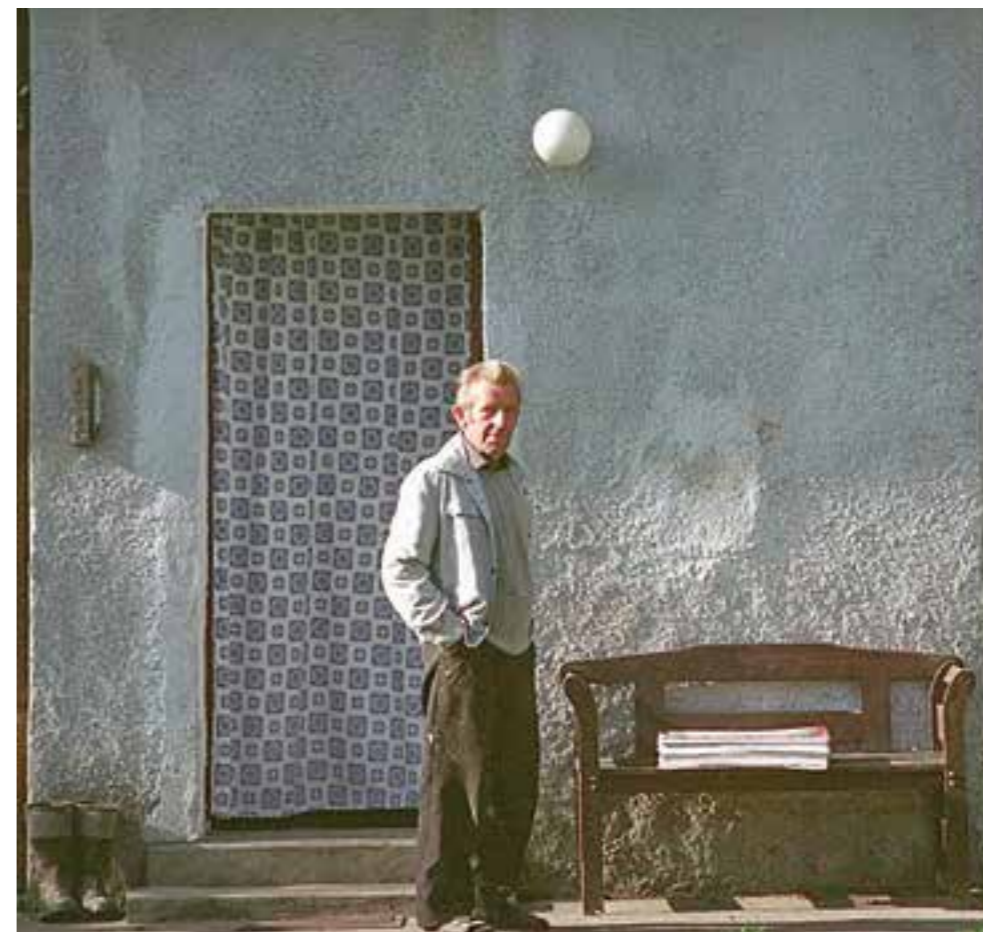
## „Tyle naprawdę żyjemy, ile żyje pamięć o nas” – Jan Karcki.

O ile Józef Chełmowski pozostawił po sobie ogromny dorobek artystyczny i intelektualny, wzbogacając kulturowe dziedzictwo regionalne, o tyle wspomnienia o Nim zdają się być chwilowe i ulotne – trwają, dopóki i my jesteśmy na tym świecie. Choć Józef traktował przemijanie jako coś koniecznego, staraliśmy się uchwycić i zatrzymać to, co niematerialne, ale jakże istotne i wartościowe – pamięć o Nim.

Jako rodzina artysty, oprowadzając gości po domostwie Józefa i Jadwigi Chełmowskich, mieliśmy okazję usłyszeć wiele ciekawych opowieści i anegdot, których Józef był bohaterem. Jakis czas temu zrodziła się myśl, by zacząć spisywać te wspomnienia, aby móc poznać Go oczami innych ludzi, a przede wszystkim zachować w pamięci naszej i kolejnych pokoleń. Udało się to dzięki Stypendium Marszałka Województwa Pomorskiego dla twórców kultury.

By zrealizować zaplanowaną publikację, nawiązałam kontakt z kilkudziesięcioma osobami znającymi dziadka Józefa, zbierając tym samym wspomnienia i historie, których nigdy nie było mi dane usłyszeć. To była piękna podróż w przeszłość. Dziękuję wszystkim, którzy postanowili podzielić się swoimi opowieściami. Dziękuję za serdeczność, rozmowy przy kawie oraz materiały, którymi chętnie się Państwo dzielili. Większość spotkań miała charakter swobodnych rozmów, w czasie których dopytywałam o różnorakie kwestie. Moje pytania nie znalazły się w tekście, ponieważ nie przeprowadzałam wywiadów – pełniłam raczej rolę słuchacza chłonącego opowiadane historie. Część opowieści została spisana/nagrana przez samych bohaterów tego wydania.

Choć czytacie Państwo wstęp do publikacji, która miała zwieńczyć realizowany przeze mnie projekt, wiem już, że to nie koniec tej przygody, a dopiero



początek. W trakcie rozmów otrzymywałam kontakty do kolejnych osób, które znały Józefa. Nie sposób było dotrzeć do wszystkich i nie taki był cel publikacji. Z przyjemnością wysłucham kolejnych historii. Zamierzam je sukcesywnie zbierać, poszerzając z czasem niniejsze wydanie. Dziadek Józef był człowiekiem, który uwielbiał obcować z ludźmi, a kolorowy i nietuzinkowy świat, który kreował w swoim domostwie, przyciągał ich bardzo wielu.

Dziękuję Marszałkowi Województwa Pomorskiego – Mieczysławowi Strukowi za przyznane stypendium. Jego otrzymanie było impulsem do rozpoczęcia projektu, o którym już długo myślałam.

Chciałabym bardzo podziękować mojej siostrze Magdalenie Wirkus za wsparcie, którego udzielała mi w trakcie realizacji tego projektu. Dziękuję za pomoc w zbieraniu kontaktów, ale przede wszystkim za motywację w chwilach zwątpienia.

Dziękuję również mojej mamie Ewie Rudnik za pomoc w odszukiwaniu osób znających Józefa, tłumaczenie sieci wzajemnych relacji i powiązań dziadka z konkretnymi osobami oraz za wspólne gościny u rozmówców.

Życzę Państwu przyjemnej lektury, w czasie której, jestem przekonana, pewnie nieraz się Państwo uśmiechną, wzruszą czy zadumają.

*Julita Królikowska*



Jedno z moich pierwszych i dość mocno utrwalonych wspomnień to „wspólne” rzeźbienie z dziadkiem Józefem. Chyba każdy z nas, wnuków, tego doświadczył. Jeśli widzisz codziennie dziadka, który rzeźbi w drewnie, w końcu przyjdzie dzień, w którym i ty spróbujesz.

Pamiętam, że był ciepły, słoneczny dzień (zapewne lato). Miałam wtedy około 8-10 lat. Dziadek rzeźbił coś, siedząc na pieńku na podwórzu. Oznajmiłam, że też chcę rzeźbić jak on. Pracując nad swoją rzeźbą, powiedział, żebym wzięła sobie dłuto, kawałek drewna i zaczęła. Usiadłam więc na pieńku obok i zaczęłam. Nie było żadnego instruktażu, nawet słownych wskazówek – poza „po prostu działaj”. A że widziałam dziadka, który bardzo często rzeźbił, trzymając dłuto w kierunku „do siebie” – naśladowałam. Nie trwało to długo, bo ostre dłuto wbiłam sobie w lewą dłoń. Reakcja dziadka była dość brutalna jak na małą dziewczynkę, bowiem zaczął się śmiać, a ja z kolei się rozplakałam. Zapewne rozśmieszyła go moja nieporadność. Gdy z przerażeniem oglądałam krwawiącą dłoń, dziadek skierował mnie do babci, która opatrzyła ranę. Do dziś mam bliznę, która jest pamiątką po tamtym dniu. Nie obraziłam się wtedy na niego, choć mogłam!

Taki był dziadek – zahartowany, odporny na ból, nieskarżący się na rany, skaleczenia czy inne dolegliwości. Pamiętam, że był często pożądany przez pszczoły i wcale się tym nie przejmował. Gdy jakieś latały koło niego, bądź na nim siadały, nie opędzał się zanadto od nich. Jakby im na to pozwalał. Pamiętam jego związek z naturą, to ona wyznaczała mu rytm dnia i rytm pracy. Gdy przychodziłam do jego pracowni w domu i widziałam, że pracuje bez światła, zapalałam mu je. Zaraz jednak kazał mi je wyłączać, bo nie lubił malować przy sztucznym świetle – wolał to naturalne. Pracował przy oknie, dopóki warunki mu na to pozwalały. Zmierzch, najczęściej, oznaczał zakończenie pracy. W tej pracowni bardzo często miał też anyżkowe cukierki, którymi można się było częstować.

Pamiętam jego brudne od farb dłonie, skaleczone palce i swetry, które nosił. Te zawsze były obklejone wiórami, z których potem otrzepywała go babcia. Pewnego dnia ten sweter wkręcił mu się w piłę stołową, tzw. „krajzegę”, przecinając mocno dłoni. Pamiętam, że zadzwoniła do nas babcia z pytaniem, czy mamy bandaż, bo dziadek się „skaleczył”. Przybiegłam wtedy do nich przestraszona (wiedziałam, że skoro babcia zadzwoniła, musiało stać się coś poważniejszego) i opatrywałam mu tę ranę tłumacząc, że musi jechać ją zszyć na SOR. Rana okazała się duża, ale dziadek za bardzo się nie skarżył. Nie chciał jechać do szpitala. Namówiliśmy go groźbą, że nie będzie mógł dalej rzeźbić. Po namyśle się zgodził, a później przyznał mi rację, mówiąc: „Ty miałaś prawdę, że to było do szycia”.

Dziadek niewiele gotował – była to domena babci Jadzi. Kilka potraw przyrządzał jednak sam, m.in. bób z masłem i koperkiem na patelni. Pamiętam, że pozwalał trochę podbierać. Bób przyrządzany w taki sposób już zawsze będzie mi się kojarzył tylko z nim.

Dziadek był człowiekiem, który żył tak, jak chciał – nie robił nic wbrew sobie nie wysiłał się tylko po to, by komuś zrobić przyjemność, jeśli nie miał na to ochoty. Miało to wieloraki wymiar. Otóż, będąc w szkole podstawowej (4 albo 5 klasa), miałam za zadanie zrobić wywiad z ciekawym dla mnie człowiekiem. Wybór był oczywisty – dziadek. Dziadek jednak w czasie tej rozmowy był bardzo mało mówny, odpowiadał mi zdawkowo i lakonicznie. W efekcie cały ten „wywiad” okazał się totalną klęską. Moje pytania prawdopodobnie nie były najlepsze, zaś dziadek nie miał wtedy ochoty pomóc mi w zadaniu i uratować wywiadu swoimi odpowiedziami.

Gdy wchodziłam na podwórze dziadków i słyszałam dźwięki uderzeń młotka o dłuto, był to znak, że zaraz zobaczę go z lewej strony za szybą warsztatu. Zawsze mu wtedy machałam, a on odmachiwał. Gdy w zimowe popołudnia malował

w domu, przychodziłam, zaglądając mu przez ramię, i pytałam, nad czym teraz pracuje. Nie rozumiałam wtedy zbyt wiele z jego twórczości i z poruszanych przez niego tematów, ale zawsze pokrótce mi o tym opowiadał.

W 2003 r. razem z siostrą i dziadkami pojechaliśmy na święta Bożego Narodzenia do Szwecji, do mojej cici. Pamiętam, że w leniwe popołudnie dziadek siedział przy stole i pisał. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że powstają zapiski do nowej książki. W wolnych chwilach spacerowaliśmy nad jezioro, gdzie było mnóstwo kaczek – dziadek chętnie i długo się im przyglądał. Przyroda była dla niego nie tylko źródłem inspiracji twórczej, ale i życiowej harmonii. Fascynowała go - lubił ją obserwować i był na nią niezwykle uważny. Z biegiem lat odkryłam, że noszę w sobie te jego cechy i staram się je w sobie czule pielęgnować.

Jako nastolatka pojechałam z dziadkiem i moją siostrą na wystawę do muzeum w Bytowie. Byłam dumna, widząc dziadka w roli jej bohatera. Przy okazji mogłam zwiedzić zamek w Bytowie, poznając miejsca niedostępne dla „zwykłych” turystów.

Jednym z najcenniejszych wspomnień jest wizyta wycieczki z Niemiec około dwóch tygodni przed śmiercią dziadka. Pomagałam wtedy przy oprowadzaniu gości, ponieważ dziadek był już słaby i często przysiadł, by odpocząć. Dał mi wtedy książkę w podziękowaniu. Dzień później musiałam wyjechać do pracy. Okazało się, że było to moje ostatnie z nim spotkanie.

To tylko garść ze wszystkich wspomnień, które noszę w sercu. Wspomnień o dziadku Józefie.

## Moja dobra znajomość z Józefem Chełmowskim sięga lat mojej młodości.

Moja dobra znajomość z Józefem Chełmowskim sięga lat mojej młodości.

Poznaliśmy się na wyjeździe zorganizowanym przez Kaszubski Uniwersytet Ludowy w Wieżycy. Pojechaliśmy do Kaliningradu na Festiwal Folklorystyczny Krajów Nadbałtyckich. Wśród uczestników tego wyjazdu znaleźli się: Marek Byczkowski (dyrektor – KULu) z małżonką Ewą, zespół dziecięcy „Niezabudki” ze Stężycy wraz z nauczycielami Państwem Korcz, twórcy ludowi: Jadwiga Grot, Halina Krajnik-Kostka, Józef Chełmowski, Stanisław Śliwiński i ja. Reprezentowaliśmy nasz kraj poprzez naszą twórczość i tańce kaszubskie. Byliśmy z tego bardzo dumni i robiliśmy to najlepiej, jak potrafiliśmy. Podczas prezentacji naszych prac mieliśmy okazję do rozmów o sztuce i wzajemnych pasjach. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam rzeźby Józka, które mnie urzekły. Józek też

pięknie o nich opowiadał. Czuło się, że każda jego praca jest bardzo przemyślana i ma swoją historię.

W czerwcu 1993 r. pojechałam do Wieżycy odwiedzić moją mamę Jadwigę Grot będącą tam na plenerze. Był tam też Józek Chełmowski, miałam zatem okazję przyglądać się mu podczas rzeźbienia. Dostałam wówczas od niego w prezencie niewielką rzeźbę przedstawiającą głowę Boga Ojca. Jest to moja jedyna i bardzo cenna pamiątka. W KUL-u panowała cudowna atmosfera twórcza. Szczególnie rzeźbiarze lubili dużo rozmawiać.

Kiedy rzeźbili z Józkiem pod namiotem w ogrodzie, wypytywali go o jego dzieła i ich historię. Opowiadał wtedy o aniołach, serafinach, kosmosie, plagach egipskich i wielu innych sprawach. Wszyscy słuchali jego opowieści, ale nie zawsze go rozumieli. Józef wyrażał swo-



je poglądy odważnie i te myśli przelewał na swoje dzieła.

Wracając z rodzicami z wizyty u krewnych jesienią 1997 r., wjechaliśmy odwiedzić Józefa i Jadwigę w ich domu w Jagliach. Mój ojciec rzeźbił z Józkiem na plenerach w Wieżycy i stąd się znali. Kaszubski Uniwersytet Ludowy organizował plenery artystyczne, na których spotykali się ludzie uprawiający różne dziedziny twórczości ludowej. To stwarzało okazję do poznawania się nawzajem, umożliwiało wspólną pracę i uczenie się od siebie, a także budowało więzi międzyludzkie. Po pobycie na takim plenerze czuliśmy się zawsze jak jedna rodzina i tęskniliśmy za sobą. Teraz mieliśmy okazję gościć u Chełmowskich w ich pięknym, jakże uroczym zakątku. Na każdym kroku widać było ślady pracy Józefa. Cudowny, bogaty w rzeźby ogród stwarzał wrażenie bajki. Tu chciało się zatrzymać na dłużej i poczuć atmosferę sztuki. Był to prawdziwy kontakt z żywą naturą i prawdą. Zrobiliśmy sobie pamiątkowe zdjęcia i żałowałam później, że wykonałam ich za mało. Rozmawialiśmy długo przy kawie i cie-

ście, którym poczęstowali nas gospodarze. Było niezwykle miło i jednocześnie wznieśli. Nie zapamiętałam wszystkich opowieści o każdej rzeźbie, ale dosyć mocno utkwiała mi w pamięci kapliczka przed wjazdem na posesję. Trzeba przyznać, że Józek miał świetne pomysły i umiał siebie wyrażać. Nie bez kozery mówiono o nim, że jest filozofem.

Pamiętam, jak na zakończenie pleneru w Wieżycy w 1998 r. mieliśmy ognisko, przy którym Józef tańczył z Janiną Gliszczyńską, a ja przygrywałam im na akordeonie. Tak mijały nam plenery. Pracowaliśmy, rozmawialiśmy, ale też śpiewaliśmy i tańczyliśmy.



Oprócz haftowania i malowania kaszubskich obrazów na szkle zajęłam się organizowaniem wystaw. Zależało mi na tym, żeby pokazywać naszą pracę szerszemu gronu ludzi. Zorganizowałam wystawę kaszubskiego malarstwa na szkle, która była prezentowana w Bibliotece Publicznej w Kartuzach w terminie 27.10–17.11.2000 r. Wystawiłam tam swoje prace oraz zaprosiłam do prezentacji swoich dzieł Annę Basman-Detlof, Józefa Chełmowskiego, Zygmunta Kędzierskiego, Halinę Krajnik-Kostkę, Mariana Kuźmińskiego oraz młodzież – Karolinę Serkowską (moją córkę) i Łukasza Borzyszkowskiego. Wystawa ta odbiła się szerokim echem wśród naszej społeczności, bowiem przybliżyła ludziom sztukę dawną, mocno już zapomnianą. Po zakończeniu wernisazu spotkaliśmy się u mnie w domu na uroczystej kolacji w małym gronie uczestników wystawy. Była to okazja do opowiedzenia sobie wrażeń i nowinek dotyczących prac twórczych. Wystawa ta została pokazana jeszcze w Kościerzynie 8.12.2000 r. w Kościerskim Domu Kultury przy współudziale Kościerskiego Oddziału Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Po wernisazu zaprosiła nas do swojego domu w Łubianie Felicja Baska-Borzyszkowska, której syn także wystawiał

swoje prace. Zjedliśmy kolację i długo rozmawialiśmy na różne tematy, snując dalsze plany twórcze.

W późniejszych latach spotykaliśmy się trochę rzadziej, Józef nie przyjeżdżał na plenery do KUL-u. Mówił, że ma u siebie w domu najlepszy plener i warunki do pracy. Tu trzeba mu przyznać rację, ale szkoda nam było zawsze tej plenerowej integracji, chcieliśmy go widzieć i mieć wśród nas. Pamiętam też rozmowy na temat dzieła *Apokalipsa św. Jana*. Józef opowiadał o jej ogromnych rozmiarach, o farbach, które sam wykonywał, i o tych wszystkich plagach. Na podstawie jego opowiadania nie bardzo mogłam sobie wyobrazić to dzieło. Jednak kiedy byłam na prezentacji *Apokalipsy...*, zrozumiałam to, o czym opowiadał. Dzieło jest ogromnej wielkości, więc musiało mu zająć wiele czasu.

Nasza działalność artystyczna dała nam okazję do poznania się i wymiany poglądów twórczych. Bardzo cenię sobie jego dokonania w dziedzinie

malarstwa na szkle, z którym również eksperymentował i wносił do niego swoje innowacje w postaci stosowania podwójnej szyby. To wszystko świadczyło o jego indywidualnym przeżywaniu sztuki i wyrażaniu jej poprzez siebie.

O śmierci Józefa dowiedziałam się podczas pobytu na plenerze artystycznym w Wieżycy. Wraz z jego przyjacielem – prezesem Stowarzyszenia Twórców Ludowych Oddziału Bydgosko-Toruńskiego, Zygmuntem Kędzierskim, pojechałam na pogrzeb pożegnać go jako koleżanka i członkini Stowarzyszenia Twórców Ludowych Oddziału Gdańskiego.

Do dzisiaj wspomnienia o Józefie i Jadwidze są we mnie żywe. Brałam udział w Plenerze Rzeźbiarsko-Malarskim „Oczami Józefa Chełmowskiego” odbywającego się od 1 do 8 lipca 2017 r. w Chacie Kaszubskiej w Brusach-Jagliach. Plener ten był nasycony wspomnieniami o Józefie. Wówczas w ogrodzie malowałam wykonane przez niego ule.



## Wspominając Józka cieszę się, że jego praca została doceniona, jest podziwiana i pielęgnowana.

Powstały dwa piękne obrazy namalowane moją ręką. Wtedy też Jadwiga kosiła trawę i chętnie wspominała nasze wcześniejsze spotkania. Kiedy dowiedziałam się o zniszczeniach, jakie dokonał huragan w ogrodzie Chełmowskich, jako prezes Oddziału Gdańskiego Stowarzyszenia Twórców Ludowych zorganizowałam zbiórkę prac od naszych członków i po ich sprzedaniu uzyskaną kwotę przekazałam córce Józefa, pani Ewie Rudnik, z przeznaczeniem na renowację rzeźb.

Niezmiernie ucieszyłam się na wiadomość o założeniu Fundacji im. Józefa i Jadwigi Chełmowskich. Byłam na uroczystości jej założenia i bardzo miło wspominam ten dzień. Jestem pełna podziwu dla ludzi, którzy kontynuują i wspierają tradycje rodzinne. Trzymam kciuki za powodzenie tej inicjatywy. Wspominając Józka cieszę się, że jego praca została doceniona, jest podziwiana i pielęgnowana. Józek na zawsze zostanie w mej pamięci.



## Byliśmy zafascynowani tym ogrodem z ulami.

Alina Szydowska: Mieszkamy nad morzem, ale w przeszłości bywaliśmy w Brusach-Jaglach kilka razy i mieliśmy kontakt z panem Józefem. Pierwszy raz byliśmy tam między 2002 a 2004 rokiem, gdy budowała się obok Chata Kaszubska. Byliśmy zauroczeni tym miejscem. Kiedyś przyjechaliśmy też tutaj z moją kuzynką i jej mężem, ponieważ bardzo chcieliśmy im je pokazać.

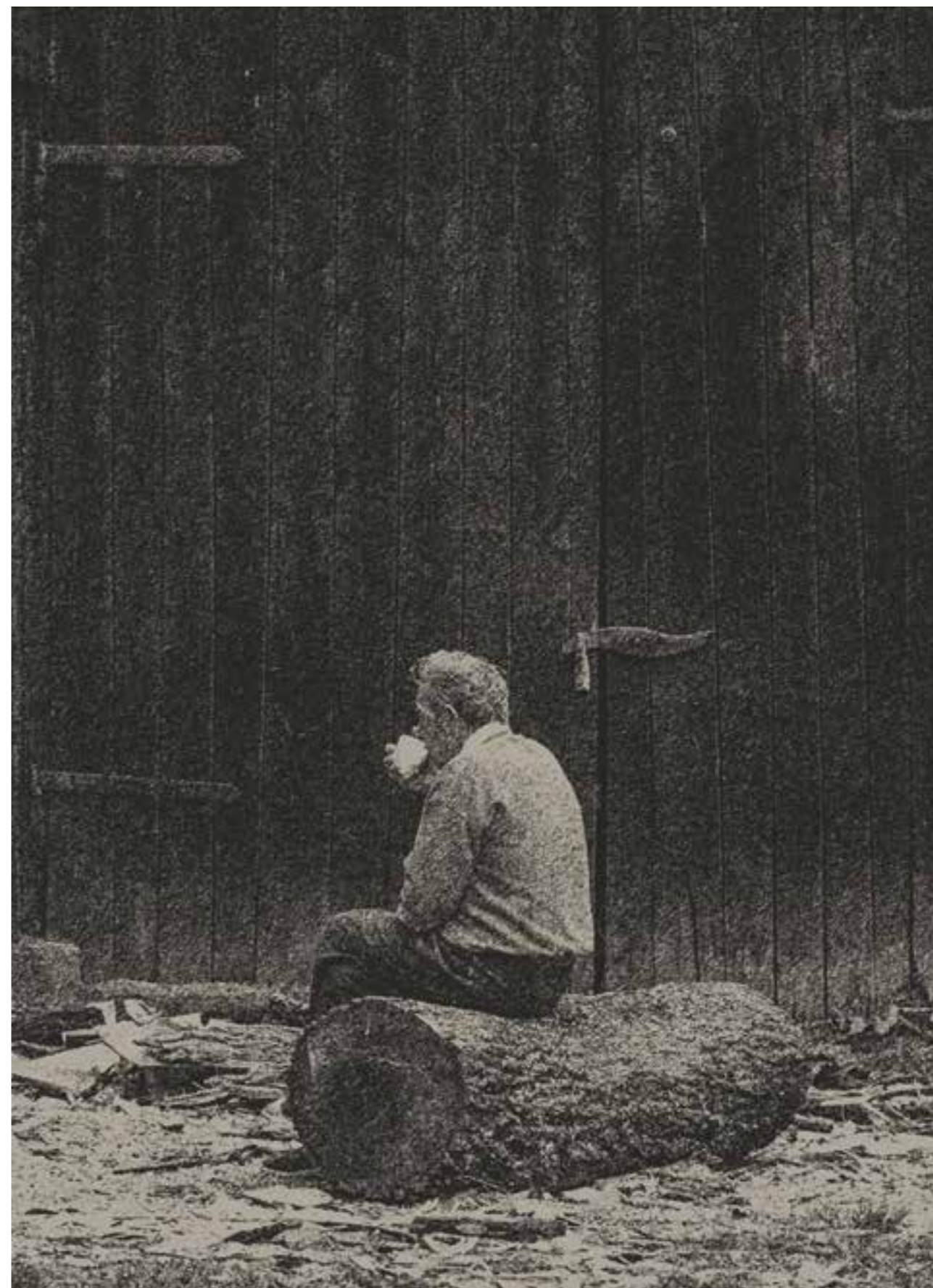
Pan Józef pokazywał nam jeszcze zwój *Apokalipsy*, w naszej obecności go przewijał i mówił o tym, że to obraz o bardzo dużych rozmiarach. Ale nie mieliśmy wyobrażenia o tym, jak długie to dzieło jest w rzeczywistości. Pokazywał nam też „nowości”, które się pojawiły na szafie, opowiadał z taką pasją o zawalonych wieżowcach World Trade Center czy *Bożym Komputerze*. No i jak zapowiedział, że będzie rzeźbił też *Boży Internet*, nie mogliśmy się doczekać, by zobaczyć tę rzeźbę (co wynikało też z pracy mojego męża, który jest informatykiem). Po jakimś czasie przyjechaliśmy ponownie.

Ryszard Szydowski: Tak, rzeczywiście *Boży Internet* zwrócił wtedy moją uwagę. To też było ciekawe, bo z jednej strony można było podziwiać w starym warsztacie eksponaty z dawnych lat, a potem zobaczyć „Internet”. To pokazuje, jak pan Józef był wrażliwy na współczesność. No i te wszystkie rzeźby w pokoju, które dokumentują wydarzenia na świecie, przedstawione z opisem...

A.Sz.: Pan Józef z entuzjazmem opowiadał o swoich kontaktach i zaproszeniach na wystawy do Niemiec. Cieszył się, że stamtąd dostaje wsparcie, że go promują.

Nie bez znaczenia dla twórczości pana Józefa była jego żona. Pozwalała mu być artystą i na wiele się godziła. Chociażby na to, że tłumy ludzi przechodziły przez jej dom, a idąc przez kuchnię do pracowni, nierzadko zaglądali, co gotuje. Była bardzo ważną osobą i czuło się jej znaczenie. Była gospodynią. Zresztą pani dziadek zawsze ją przedstawiał: „To moja żona Jadwiga”.

Dla nas pan Józef stał się bardzo ważną osobą. Mamy o nim książki, albumy i w naszej bibliotece to jest ważna pozycja, dzięki której możemy go wspominać.



## Te rozmowy miały specyficzny klimat.

Józefa Chełmowskiego poznałem przy realizacji filmu dokumentalnego *Ostańce prośb i nadziei*. Pewne momenty zapadają w pamięć, jak wtedy, w październiku 2009 roku. Realizowaliśmy film o kaszubskich kapliczkach i w scenariuszu pojawiła się scena, w której bierze udział twórca ludowy. Wybór producenta padł właśnie na Józefa Chełmowskiego, który już wtedy należał do najwybitniejszych twórców „bożych mąk” na Kaszubach. Nasze pierwsze spotkanie przerodziło się w wielogodzinną rozmowę. Pan Józef przyjął mnie wówczas w swoim sławnym saloniku, w którym oprócz obrazów (również na suficie), rzeźb, pozytywek, instrumentów muzycznych i przedmiotów różnego przeznaczenia, stała słynna kanapa, którą zajmowały jego traktaty – niezwykle starannie wykonane, ozdobione inskrypcjami, same w sobie stanowiące swoiste dzieła sztuki. W trakcie rozmowy zaczął mi czytać ich fragmenty. Wrażenie niezwykle, jedyne w swoim rodzaju. Jakiś czas później zaprosiłem Go do występu w filmie o rzeźbiarzach kaszubskich i od tego czasu większość naszych rozmów toczyła się już w jego warsztacie. Pan Józef rozpaliał swoją kozę, niekiedy coś rzeźbił i opowiadał.

Te rozmowy miały specyficzny klimat. On nigdy nie odpowiadał na pytania wprost. Właściwie zawsze mówił, o tym o czym chciał w danej chwili. By się czegoś dowiedzieć, trzeba było cierpliwości. Swoje wypowiedzi krasiał dygresjami, dykteryjkami, przykładami z życia, których zasób wydawał się nieskończony.

A potem przekonałem się, że ich ślady można było znaleźć albo w Jego księgach, albo w obrazach i rzeźbach.

Przyznam, że choćby z powodu specjalnej atmosfery tych rozmów można było odnieść wrażenie, że niekiedy miały one charakter artystycznego wtajemniczenia. Przysłuchując się opowieściom pana Józefa, nietrudno było odnieść wrażenie, że świat, o którym mówił, zamknięty był w Jego ogrodzie i domu, że właśnie Jego dom i ogród stanowiły pewien odnośnik, wręcz symbol. Wszystko było po coś i coś znaczyło. Nie zawsze jednak chciał o tym szczegółowo opowiadać.

Opowiadał barwnie, często przeskakując z tematu na temat. Dopiero później, gdy lepiej poznałem Jego dzieła, przede wszystkim dzięki życzliwości dyrektora i pracowników Muzeum Zachodniokaszubskiego w Bytowie, którzy patronowali twórczości Artysty przez ponad 20 lat, pewne aspekty Jego dzieł, albo jak On je wolał nazywać – TAJEMNICE – zaczęły się przede mną otwierać w pełniejszy sposób. Ale oczywiście nie do końca, bo przecież nie odsłoniłby swoich tajemnic, tych wiadomych i tych tylko przeczuwanych. Koncepcje Józefa Chełmowskiego są niedopowiedziane, pozostawiają spory margines do interpretacji. W tym także tkwi ich urok.

Niekiedy spotykam osoby, które znały Go lepiej niż ja. Od nich też dowiaduję się sporo rzeczy, dzięki którym łatwiej pojąć to, co wiedziałem, a nie do końca rozumiałem. Nie jestem znawcą ani tym bardziej analitykiem czy krytykiem twór-

czości Józefa Chełmowskiego. Należę do popularyzatorów Jego spuścizny. Pewnie, że można mówić o pewnym rodzaju fascynacji. Cieszę się, że dane mi było spotkać Go na mojej drodze i że chciał mi poświęcić odrobinę swojego czasu.

Napotkałem sporo określeń, którymi próbowano opisać działalność pana Józefa. Nie wiem, czy sformułowanie „filozof ludowy”, na które kilka razy się natknąłem, byłoby najcelniejsze. Moim zdaniem Józef Chełmowski wykazał się sporą odwagą w podejmowaniu bardziej lub mniej udanych prób artystycznego opisywania świata. Chciał w tym opisie wypełnić miejsca, które według niego nie zostały dostrzeżone albo dostatecznie skonkretyzowane. Zresztą, na wiele zjawisk miał własne spojrzenie

zwykłą atrakcyjnością. Czerpiąc inspiracje z wielu źródeł, stworzył narzędzia-pomosty, które łączyły nieraz odległe dziedziny. Jakie narzędzia? Choćby teorie o aniołach, o spiralnych grawitacjach i kilka innych. Dzięki nim potrafił snuć wyobrażenia na temat wielu zjawisk, które od wieków nie dają spokoju myślicielom, ale również zwyczajnym ludziom. A że niekiedy działo się to w bardzo artystycznych przestrzeniach? Taki właśnie był Jego urok.

Co mnie urzekło w samym Józefie i Jego twórczości? Rozmach, odwaga, precyzja i konsekwencja w budowaniu swoich artystycznych wizji, będących próbą opisania świata, który tak naprawdę istniał nie tylko w Jego wyobraźni. On podjął próbę jego urzeczywistnienia na skrawku swojej ziemi, w swoim domu

## Opowiadał barwnie, często przeskakując z tematu na temat.

i wybierał je, niekiedy nawet wbrew istniejącemu stanowi wiedzy. Wiązało się to chyba także po części z kaszubską mitologią i tym wszystkim, co składało się na jego postrzeganie świata – najbliższego i dalszego. Udało mu się, na własny użytek, zbudować zwartą koncepcję tego świata i choć dla wielu była ona nie do przyjęcia, choćby z powodu zanegowania praw fizyki i wiedzy astromonomicznej, w tym swoim terytorium duchowym potrafił wytłumaczyć sobie nawet najbardziej skomplikowane kwestie. Nikogo nie zmuszał do ich przyjęcia, ale stworzył je artystycznie w tak niesłychanie malowniczy sposób, wręcz mitologiczny, że wiele osób odkładało na bok brak naukowych konsekwencji, bo to, co proponował, kusiło swoją nie-

i ogrodzie. Pięknie myślał. Potrafił pociągnąć swoimi wizjami innych. Dawał im radość, skłaniał do refleksji. A to, w bilansie działań artystycznych, chyba najważniejsze.

Jego odwaga w wyrażaniu siebie i swoich wizji bardzo mi imponowała. To właśnie ona sprawiała, że Józef Chełmowski był bardziej autentyczny, niż inni artyści, którzy ukrywali się pod skomponowanymi przez siebie kreacjami. Mam wrażenie, że dzięki Panu Józefowi udało mi się pozbyć niektórych blokad, które wcześniej chyba ograniczały mnie w moim myśleniu o twórczości.



**Duże wrażenie robił ogród, bogato zdobiony w rzeźby, ule porośnięte roślinnością, w których tętniło życie.**

Józefa poznałem w 2002 roku w Bydgoszczy – odbierał wtedy nagrodę na Konkursie im. Teofila Ociepki, poznała nas pomysłodawczyni tego wydarzenia – Agnieszka Sowińska.

Już w 2003 roku odwiedziłem z kolegami Brusy, byłem bardzo ciekaw dokonań artystycznych Chełmowskiego. Przyjął nas z otwartymi ramionami. Pamiętam poranną sypaną kawę, którą ugościła nas żona Józefa. Byłem pod wrażeniem całej zabudowy stworzonej przez Niego, już na wstępie ogromne wrażenie robiła machina do łapania żywiołów i rakiet z napisem „POKÓJ”, gotowa do startu.

Właściwie, gdzie wzrok sięgał, wszystko było pokryte artystyczną wizją Józefa Chełmowskiego: malunki na ścianach budynków, na dachach anioły, samolo-

ty. Duże wrażenie robił ogród, bogato zdobiony w rzeźby, ule porośnięte roślinnością, w których tętniło życie. Dom, którego każdy kąt był wypełniony obrazami i rzeźbami. Pamiętam książki pisane ręcznie i barwnie ilustrowane o różnej tematyce: księga przepowiedni, leczenia naturalnego, ziół itp. Mam w pamięci *Apokalipsę* – długi, zwijany obraz na kilkadziesiąt metrów oraz inne podobne konstrukcje Józefa Chełmowskiego.

Jednak najpiękniejsze w tym wszystkim jest to, że Józef Chełmowski dokonał tego sam, samorodnie stał się rzeźbiarzem, malarzem, konstruktorem, kolekcjonerem, filozofem, ogrodnikiem... Do tego posłużyła głównie wyobraźnia twórcy, dzięki której za każdym razem zaskakiwał nowymi pomysłami.



**Właściwie gdzie wzrok sięgał, wszystko było pokryte artystyczną wizją Józefa Chełmowskiego.**



## Każde spotkanie jest zawsze pierwsze i niepowtarzalne.

Jest dzień 28 kwietnia 2013 roku. Piękna, słoneczna pogoda. Przechadzam się z Józefem Chełmowskim po ogrodzie, oglądając wiosenne budzenie się przyrody. Dla Niego to normalny widok. Tu żyje i tworzy swoje wizje świata. Rozmawiamy o chwilach, które już minęły, ale także o przyszłości. Józef, jak zwykle (znany się już wiele lat) snuje opowieści o świecie, w którym żyjemy, bez nuty krytyki, czy oceniania co dobre, a co złe. Raczej mówi o świecie pełnym tajemnic. Z ogrodu zawędrowaliśmy do domu. Na ścianie zadaszanej werandy, wśród licznych jego prac malarskich i rzeźbiarskich, zauważyłem trzy głowy – Chrystusa, Boga? – „To tajemnica”. Wyrzeźbione w czarnym dębie. „O, jakie śliczne” – powiedziałem. „Podobają Ci się? To sobie wybierz.” Dostałem w prezencie czarną głowę.

Tego dnia zadałem też pytanie: „Masz tyle prac u siebie w domu, w ogrodzie. Co z nimi będzie, kiedy... Przecież wszystko się zmienia i my także”. Józef Chełmowski po chwili namysłu odrzekł: „Tego jô nie wiem.” To było nasze ostatnie spotkanie, ale skąd mogłem o tym wiedzieć.

O Józefie Chełmowskim stworzono bardzo dużo różnych materiałów (przede wszystkim o jego twórczości) i na pewno jeszcze wiele powstanie. Był twórcą wyjątkowym, jest dumą ziemi kaszubskiej na Zaborach. Był człowiekiem o wielu talentach, a jednocześnie wrażliwym na to, co się dzieje „tu i teraz”. Widać to w Jego pracach, a także w codzienności, która Go otaczała. Przed każdym spotkaniem anonsowałem się. Miałem długą drogę do przebycia, bo ponad 400 kilometrów, więc zwykle pojawiałem się w godzinach popołudniowych. Józef czekał na mnie, siedząc z gazetą na ławce przed domem. Zawsze odpowiednio ubrany do sytuacji. Nigdy Go nie widziałem w stroju roboczym. Na powitanie musiała być kawa i pyszny placek drożdżowy z kruszonką – dzieło pani Jadwigi, żony Józefa. Po tem smaczny obiad, zwykle dwudaniowy z deserem i kolejną kawą.

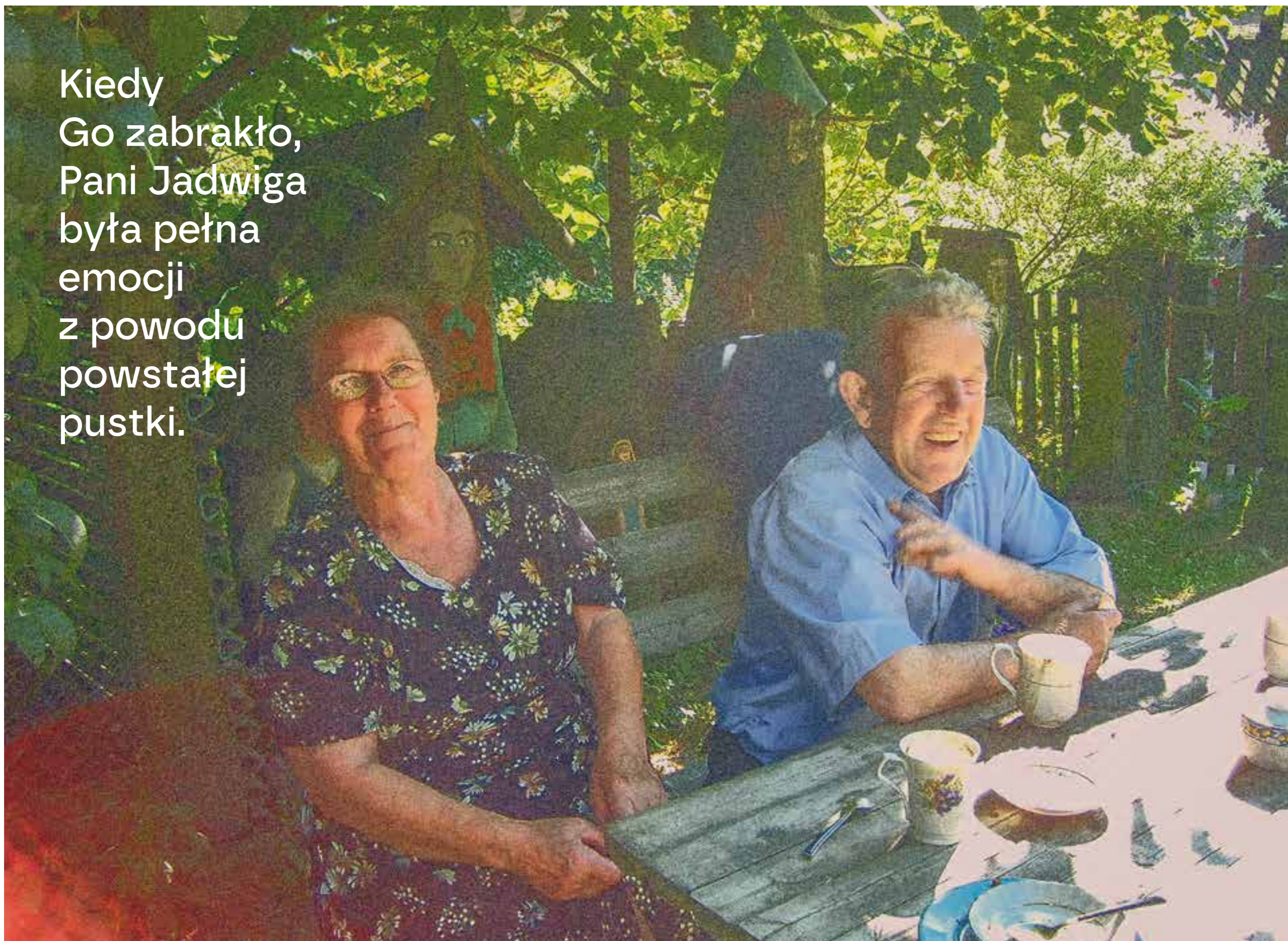
W międzyczasie przez domostwo i ogród przewijali się różni goście ciekawi miejsca i atrakcji turystycznej. Państwo Chełmowscy byli bardzo gościnni dla wszystkich bez wyjątku. Józef Cheł-

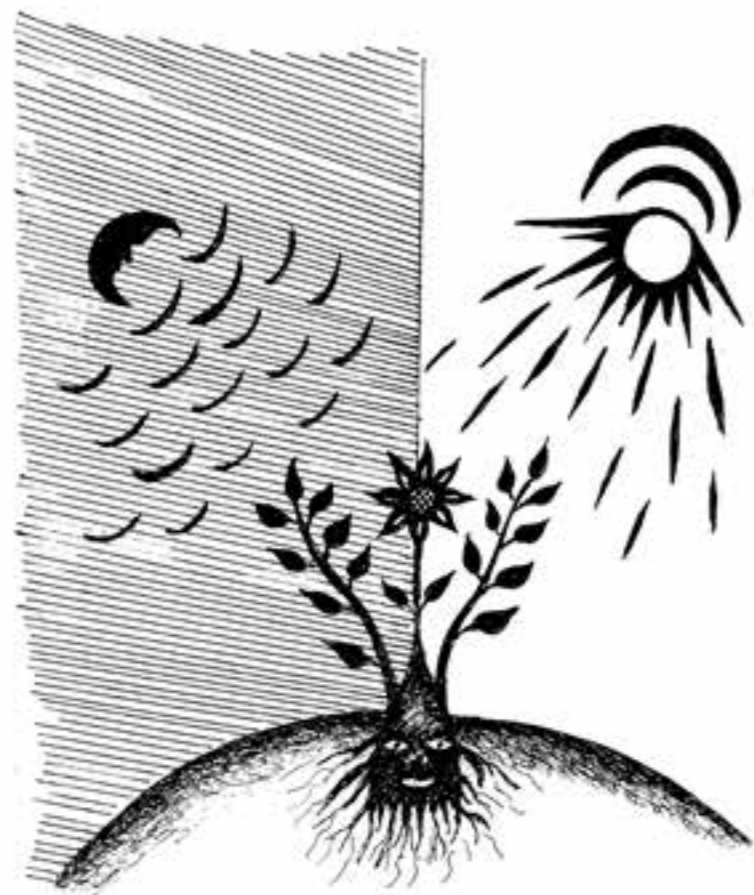


*Czy posiadają duszę zwierzęta  
czy tylko człowiek*

mowski z czasów naszej znajomości był już znanym twórcą, więc wiele osób oglądało Jego prace, niektórzy je kupowali. Poza tym był tam uroczy i tajemniczy klimat całego obejścia – stary dom i ogród tętniący życiem, który był oczywiście zasługą pani Jadwigi. Był on uwieńczeniem całego domostwa, tak jak rama obrazu. Czuli się w nim dobrze nie tylko ludzie, ale także bociany, które założyły gniazdo na słupie, czy dzikie pszczoły w ulach zrobionych przez Mistrza Józefa. Bujna, kwiatowa roślinność była widoczna w każdym zakątku ogrodu.

Kiedy  
Go zabrakło,  
Pani Jadwiga  
była pełna  
emocji  
z powodu  
powstałej  
pustki.





Rośliny – Natura

Teraz, kiedy już Ich nie ma, anioł Józwa, spoglądając z góry na siedlisko w Brusach-Jagliach 17, mówi do innych aniołów:

**Cëż òni tam robią,  
tegò jô nie wiém.**

Nawet podwórko między domem i zabudowaniami gospodarczymi było całe zielone od świeżej trawy. Józef Chełmowski był zbieraczem. Nie był hobbystą, jeśli idzie o eksponaty, które posiadał w pracowni tzw. letniej. Różne narzędzia, pamiątki i przedmioty z czasów przeszłych służyły mu do pracy twórczej, ale także tak na „wszelki wypadek” – że mogą się kiedyś przydać. Czasy, w których się wychowywał i żył nie były łatwe. Bardzo się cieszył i z dumą pokazywał naprawiony stary patefon uruchamiany korbą, z igłą wykonaną z gwoźdźcia, a stara przedwojenna płyta gramofonowa, trzeszcząc, odtwarzała melodie. To był świat, w którym żył i tworzył. Nie zabiegał o rozgłos ani o potencjalnych nabywców Jego dzieł. Nie bywał na jarmarkach twórców, nawet w rodzinnych Brusach. Zainteresowani Jego twórczością przybywali do Niego i tym sposobem liczne prace zawędrowały do muzeów, na wystawy, do osób prywatnych w kraju i za granicą. Józef Chełmowski był wielkim i wszechstronnym twórcą w swoim stylu, co do tego nie ma wątpliwości. Twórczy talent, pracowitość i szerokie spektrum

zainteresowań sprawiły, że nazwano Go „kaszubskim Leonardo”.

Trzeba dopowiedzieć, że do tego artystycznego dorobku przyczyniła się również żona Józefa, Jadwiga. Bez jej wsparcia, a czasami bycia hamulcem w fantazjach twórczych, Józef Chełmowski nie mógłby tworzyć. Kiedy Go zabrakło, Pani Jadwiga była pełna emocji z powodu powstałej pustki. Kiedy bywałem przejazdem w Brusach, zawsze twierdziła, że to ona powinna być pierwsza. Z trudem sobie radziła z tym, co pozostało po Twórcy, ale także kochanym mężu. W 2017 roku, kiedy ostatni raz się widzieliśmy, po nawałnicy, która przeszła nad okolicą i poczyniła duże straty w obejściu, ogrodzie i w rzeźbach plenerowych, wypłem kawę i zjadłem zupę pomidorową z makaronem. Placka drożdżowego już nie było.

Teraz, kiedy już Ich nie ma, anioł Józwa, spoglądając z góry na siedlisko w Brusach-Jagliach 17, mówi do innych aniołów: „Cëż òni tam robią, tegò jô nie wiém”.



## Dziadka Józefa pamiętam jako człowieka bardzo spokojnego, cierpliwego, żyjącego w zgodzie ze sobą i z naturą.

Gdy byłam dzieckiem, spędzałam latem mnóstwo czasu u babci i dziadka. Pamiętam, że gdy przychodziłam, najpierw zaglądałam, gdzie jest dziadek, bo byłam ciekawa, co akurat robi. Wspomnieniom tym towarzyszył odgłos stukania młotka o dłuto. Latem bardzo dużo czasu spędzałam w warsztacie lub przed nim, wygrzewając się na słońcu, albo na podwórzu przed stodołą, pracując nad jakąś wielką rzeźbą. Pamiętam, że lubiłam się tam krzątać, coś robić, a dziadek nigdy się nie irytował i mnie nie wyganiał. Po prostu milcząco pozwalał mi tam być. Próbowałam więc coś rzeźbić, używać jego dłuta, imadła, malować jego pędzelkami i farbami. Dziadek naprawdę nigdy się nie denerwował, że ja tam szperam i coś robię. Ale też nigdy nie uczył i nie pokazywał dokładnie, jak coś zrobić. Teraz z perspektywy czasu myślę, że się cieszył, że próbuję tak jak on coś stworzyć, ale też, tak jak on, muszę do tego dojść sama.

Kiedyś nawet skaleczyłam się dłutem w rękę, ale dziadek powiedział swoje „E tam, zagoi się” i wrócił do swojej pracy.

Pamiętam jak z tyłu warsztatu, wśród drewniaków przeznaczonych na opał, zna-

lałam wyrzeźbionego małego ptaszka. Pobiegłam z nim do dziadka i zapytałam dlaczego tam leżał, czy mu się nie pomyliło, i go wyrzucił. Powiedział wtedy, że ptaszek mu się nie udał i jest do wyrzucenia, chociaż ja żadnej wady nie widziałam. Pozwolił mi go wziąć, więc go zabrałam i tak jak potrafiłam – pomalowałam.

Inne wspomnienie z dziadkiem Józefem dotyczy jego pasji kolekcjonerstwa. Kiedyś zauważył, że zginął mu dziecięcy bucik, prawdopodobnie z czasów wojny. Pytał mnie czy go gdzieś nie widziałam. Niestety bucik faktycznie zginął i dziadek był taki rozgoryczony, że prawdopodobnie ktoś go ukradł. Nie był zdenerwowany, tylko po prostu smutny i zawiedziony. I tu nasuwa mi się kolejne wspomnienie. Dziadek bardzo chciał mieć spis ze zdjęciami swojej kolekcji z warsztatu, by wiedzieć co ma, a gdy coś zginie, to żeby był po tym ślad. Kiedy skończyłam liceum, babcia i dziadek poprosili mnie o zrobienie takiego spisu. Przez kilka tygodni codziennie do nich przychodziłam, robiłam zdjęcia i opisy. Często nawet nie wiedziałam co czym jest, więc chodziłam do dziadka i pytałam. Zazwyczaj mówił ze śmiechem:



„Ty nie wiesz co to jest?“, ale zawsze cierpliwie odpowiadał. Ten czas wspominam bardzo miło, bo już jako dorosła osoba mogłam uczestniczyć w jego dniu pracy.

Dziadek Józef lubił eksperymentować, nawet jeśli chodzi o jedzenie. Pamiętam, jak kiedyś pozbiierał kasztany i stwierdził, że je usmaży i zje. Do tej pory nie wiem czy faktycznie je zjadł, bo polskie kasztany nie są jadalne, ale taka sytuacja na pewno miała miejsce.

Jeśli chodzi o rodzinne spotkania, pamiętam, że dziadek bardzo często wspominał czasy szkolne. Mówił, że skończył tylko sześć klas. Często opowiadał o

nauczycielach, nazywał ich „szkólnymi“. Kiedy mówił po kaszubsku, pytał, czy wiemy, co znaczy jakieś słowo. Często na spotkaniach rodzinnych wyciągał harmonijkę lub akordeon i grał. Najczęściej ze swoim bratem, Edmundem. Ale nie trwało to długo, ponieważ babcia tego nie lubiła i uciszała ich.

Dziadka Józefa pamiętam jako człowieka bardzo spokojnego, cierpliwego, żyjącego w zgodzie ze sobą i z naturą.



## Pamiętam jedną z wizyt u pana Józefa Chełmowskiego.

Było ciepło i staliśmy na jego podwórku. On mówił wtedy o wierze, o grzechu i o tym, że świat się zmienia. Powiedział, że cieszy się, że jest stary, że jego młodość już minęła i nie tęskni za nią. Gdy go zapytałam dlaczego, powiedział, że gdy jest się młodym, częściej się grzeszy, że młode ciało może być powodem do grzeszenia. Starość to cecha dojrzałości i mądrości życiowej, a stare ciało mniej kusi do złych uczynków.

Nigdy bym nie pomyślała, że tak można myśleć o starości, ale teraz wiem jak ważne dla niego było życie bez grzechu, jak wielką wartością był Bóg, jak ważna była wiara, która dominowała w jego rzeźbach, dziełach i życiu.

Cieszę się, że pomimo tego, iż mało z nim przebywałam, mało rozmawiałam, pokazał mi wartości, jakie są ważne w życiu i – w swej prostocie – swoją wielką mądrość. Lubiłam go słuchać, przebywać w ogrodzie, bo wtedy czułam, że jestem w innym świecie – świecie bez pośpiechu, pełnym spokoju i dobroci, pełnym Bożej miłości.

## Pierwszy raz o panu Józefie Chełmowskim usłyszałam, kiedy byłam uczennicą szkoły podstawowej.

Bodajże w siódmej klasie języka polskiego uczyła nas pani Felicja Baska-Borzyszkowska. To właśnie ona zabrała nas na wycieczkę do Brus-Jagłii. Z tego czasu pamiętam tylko wielkie ule w ogrodzie.

Powtórnie spotkaliśmy się z panem Józefem dopiero wtedy, kiedy pracowałam w Chacie Kaszubskiej w Brusach-Jagłiach. Widywaliśmy się wówczas bardzo często, tym bardziej, że muzeum i obejście państwa Chełmowskich, jak na dobrych sąsiadów przystało, łączyła niska furka. Kiedy Chatę odwiedzali turyści, zawsze prowadziliśmy ich do pana Józefa. I przyznam, że zarówno ogród, jak i wszystkie rzeźby i obrazy zgromadzone w domu, robiły na nich ogromne wrażenie. Jeszcze większe robił pan Józef, który pokazując poszczególne dzieła, tłumaczył swoją wizję artystyczną i tę jedyną w swoim rodzaju filozofię świata i wszechświata. Zdarzało się też, że w czasie przerwy zachodziłam do państwa Chełmowskich. Siadywaliśmy wtedy na ławce przed domem i rozmawialiśmy. Czasem zapaliliśmy papierosa, a wtedy pani Jadwiga upominała nas, że to niezdrowo.

W tym czasie współpracowałam również z panem Stanisławem Młyńskim z Telewizji Kablowej w Brusach. Wpadliśmy

na pomysł, aby nagrać program o Wielkanocy na Kaszubach. Nad tym, kto byłby najlepszym rozmówcą, nie musieliśmy się długo zastanawiać. Umówiliśmy się na wywiad z Józefem Chełmowskim. Jakże wielkie było nasze zdumienie, kiedy zobaczyliśmy, jak pan Józef przygotował się do tego nagrania. Czekały na nas jajka zafarbowane naturalnymi barwnikami z cebuli, buraków, młodych pędów zboża itp. Wywary te pan Chełmowski dodał również do białej farby i malował pisanek. Opowiadał przy tym ciekawe historie o jedzeniu i o dyngusie... To było niesamowite! Okazało się, że wywiad zamienił się w reportaż, który dziś, jak mi się zdaje, ma już wartość historyczną.

I jeszcze wspomnienie zupełnie prywatne. Aby zrobić wystrój naszej sali weselnej, udałam się do pana Józefa i pożyczyłam stare sprzęty gospodarskie, m.in. orczyk, maselnicę, wiklinowe kosze, drewniane i gliniane naczynia i garnki. Kiedy oglądam zdjęcia, wspominam pana Józefa, który wtedy wydawał mi się taki swojski i zwyczajny. Dopiero z czasem doceniłam jego geniusz.

## Lekcje u p. Józefa były bardzo wszechstronne, gdyż obejmowały różne dyscypliny.



Pana Józefa i Jego żonę Jadwigę widywałam już jako dziecko, gdyż pochodzę z Czyczków i moja droga do Brus wiodła przez Brusy-Jaglie. Pokonywałam ją głównie pieszo lub rowerem i po drodze mijałam czasem pana Józefa jadącego rowerem, a w późniejszym czasie czerwonym małym fiatem. Jednak wówczas nie byłam do końca świadoma, kim jest i jak ważną rolę odegra w moim późniejszym życiu. Wiedziałam też od mojej babci oraz od wujka mieszkającego w Brusach Jagliach, że pan Józef rzeźbi i tworzy, a to, co zobaczyłam jako pierwsze – tak mi się wydaje – to kapliczka przy posesji pani Jadwigi i pana Józefa. Na tym moja wiedza się kończyła.

Kolejne tajniki odsłoniła przede mną szkoła średnia – Kaszubskie Liceum Ogólnokształcące, oraz nauczycielka – pani Felicja Baska-Borzyszkowska, która zabrała nas do Józefa Chełmowskiego. Na pierwszy rzut oka państwo Chełmowscy wydawali się niedostępni, a to sprawiało wrażenie pewnej tajemnicy, którą chciało się odkryć. I tak co jakiś czas mogłam poznawać kolejne odłony. W tym czasie bowiem należałam do Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży, które postanowiło zorganizować akcję kolędników, z którymi dotarliśmy do domostwa państwa Chełmowskich. Tam

niezapomnianą była dla mnie możliwość zrobienia wspólnego zdjęcia z naszym artystą. Pani Jadwiga krzątała się, ale pozostawała raczej w cieniu. Co ciekawe – kolędnicy chodząc od domu do domu, nie zatrzymywali się raczej u nikogo, ale wyjątkiem był dom państwa Chełmowskich. I tak minął czas liceum.

5-letnie studia wiązały się z wyjazdem do Warszawy i dopiero tam doceniłam to, co zostawiłam. Z dala od domu nabrałam świadomości, jak silnie zakorzeniona jest we mnie więź z Kaszubami, z kulturą, tradycją i językiem. Będąc w stolicy, pytana skąd pochodzę, zawsze odpowiadałam, że z Kaszub – i o dziwo – budziło to duże zainteresowanie, a nawet podziw i propozycję, bym powiedziała coś po kaszubsku. Wówczas bardzo się cieszyłam, że znam język kaszubski i doceniłam to, iż uczyłam się w Kaszubskim Liceum Ogólnokształcącym. Na pytanie o ciekawe miejsca na Kaszubach wskazywałam te najbliższe w mojej okolicy. Po pierwsze dlatego, że dalszych wówczas jeszcze tak dobrze nie znałam, a po drugie łatwiej opowiadać o czymś, co jest bliższe sercu. I tak wskazywałam na domostwo i twórczość Józefa Chełmowskiego.

Po powrocie ze studiów przyszło mi podjąć pracę w Szkole Podstawowej im. bł. ks. Józefa Jankowskiego w Czyczko-



wach. Był to rok 2005. Tam też otrzymałam propozycję, by od kolejnego roku uczyć języka kaszubskiego, gdyż szkoła zamierza wprowadzić ten przedmiot. Brakuje tylko osoby z kwalifikacjami. Chętnie zgodziłam się. W tym celu ukończyłam kurs języka kaszubskiego, otrzymałam certyfikat uprawniający do nauczania tego przedmiotu, a w późniejszym czasie podniosłam swoje kwalifikacje poprzez ukończenie studiów podyplomowych. I tak zaczęła się moja przygoda z bezpośrednim kontaktem z panem Józefem.

Za każdym razem, gdy przychodziłam do Niego z uczniami – bez zapowiedzi – zastawaliśmy Go przy pracy twórczej. Wiosną i latem był w swoim warsztacie w budynkach gospodarczych, zimą w domu. Pan Józef umiał tę pracę zostawić, by podjąć z nami rozmowę – inspirowaną, gdyż Jego wypowiedzi skłaniały do refleksji. Opowiadając o swoich obrazach czy kronikach, pokazywał swój szeroki umysł, wtrącał zwroty w innych językach, a znał ich sporo. Tłumaczył łacińskie zapiski umieszczone na swoich dziełach. Nie zapomnę, gdy pewnego razu zrobił uczniom „burzę mózgów”, pytając o wydarzenia ze świata i pokazując swoje rzeźby wystawione na komodzie/kredensie. Pytał o polityków, o budowlę, np. World Trade Center lub intrygował

swoimi wynalazkami – np. czym jest *Boży internet*. Te wizyty uczniowie zawsze doskonale zapamiętywali, a chwile relaksu przeżywali w ogrodzie. Lekcje u p. Józefa były bardzo wszechstronne, gdyż obejmowały różne dyscypliny. W ogrodzie mówił o pszczelarstwie, ale też o kaszubskiej epopei – *Życie i przygody Remusa*. Były też wątki religijne, gdyż pokazując swoje rzeźby, zapoznawał nas z postaciami świętych, np. św. Franciszkiem. Z tych wątków bardzo się cieszyłam, gdyż jestem też nauczycielką religii.

Do pana Józefa przyprawdzałam również znajomych ze studiów, m.in. z Warszawy. Ich zachwyt nad niesztampową osobowością Artysty jeszcze bardziej utwierdził mnie w przekonaniu, że był On osobą, nad życiem której warto się zatrzymać i czerpać z Niego jak najwięcej. Warto zatrzymać się w tym dzisiejszym, zagonionym świecie i zrobić autorefleksję, na ile umiemy czynić coś innego, niż tylko gonić za dobrami materialnymi.

Pan Józef uczył mnie poświęcenia się sprawom wyższym.

## Z Józefem Chełmowskim spotkałam się u początków mojej pracy w muzeum w Chojnicach.

Pamiętam, że chyba jeszcze w 1987 r. wspólnie z ówczesną dyrektorką Wandą Tyborską i kilkoma muzealnikami wybraliśmy się na objazd terenowy po Kaszubach, odwiedzając wówczas m.in. państwa Jadwigę i Józefa Chełmowskich w Brusach-Jaglichach.

Celem tej wizyty było przedstawienie nam oryginalnego, jeszcze wówczas mało znanego twórcy ludowego i jego prac rzeźbiarskich i malarskich, zgłaszanych na konkursy sztuki ludowej. Dyrektorka Wandzie Tyborskiej zależało, by pokazać nam – młodym adeptom muzealnictwa – jednego z ostatnich prawdziwych twórców ludowych na Kaszubach, którego dorobek od początku zadziwiał prostotą i nieskrępowaną wyobraźnią autora. Chciała także zachęcić pana Józefa do udziału w kolejnym już XII Konkursie Współczesnej Sztuki Ludowej Kaszub, organizowanym przez chojnickie muzeum. Współpraca muzeum z Józefem Chełmowskim sięgała 1976 r. – z tego czasu zachował się w muzealnym archiwum własnoręcznie napisany przez twórcę życiorys, datowany na 21 lutego tego roku. Pamiętam z tego spotkania zadowolenie z wizyty i uśmiechniętą twarz pana Józefa, jego gościnność i serdeczność oraz chęć pokazania nowych prac, relacje o ostatnich konkursach twórczości ludowej, w których uczestniczył. Pamiętam również panią Jadwigę częstującą kawą, a potem nieśmiało stojącą i uważnie przysłuchującą się rozmowie. Zapamiętałam wnętrze pokoju, w którym na oknie wisiały białe zasłony zdobione delikatnym, kolorowym haftem kaszubskim oraz ściany wypełnione zawieszonymi blisko siebie obrazami na szkle i płótnie. Po-

tem jeszcze kilka razy miałam okazję odwiedzić państwo Chełmowskich, zwykle z okazji przygotowywanych przez chojnickie muzeum indywidualnych wystaw prac pana Józefa.

Z czasem, w miarę rozwoju jego twórczości, ze względu na rosnące uznanie twórcy, jak również jego pracowitość, wystrój pokoju wzbogacił się o tzw. „galerię sufitową” – jak sam nazywał wystawę prac wyeksponowanych ciasno jedna przy drugiej na suficie, z racji braku miejsca na ścianach. Nie mogłam się nadziwić, w jak prosty i unikalny sposób znalazła się w niewielkim pokoju dodatkowa przestrzeń do prezentacji większej ilości obrazów, które mogły być pokazywane coraz liczniej odwiedzającym gościom z różnych stron Polski, a także zza granicy.

Przyznam, że po studiach historii sztuki, zafascynowana sztuką średniowieczną, nie interesowałam się specjalnie sztuką ludową. Podczas pracy w muzeum w Chojnicach, mając okazję stopniowo poznawać środowisko kaszubskich twórców ludowych przy okazji sąsiedowania działu sztuki z pracownią etnograficzną Lidii Białkowskiej, która współpracowała z twórcami, przypatrywałam się tworzonemu ekspozycjom poświęconym różnym dziedzinom sztuki ludowej, w szczególności – kulturze Kaszub, tworzoną kolekcjom, w efekcie czego polubiłam tę sztukę. I myślę, że w ogromnym stopniu przyczyniła się do tego osoba i twórczość Józefa Chełmowskiego.

Pamiętam, gdy przygotowywaliśmy dużą wystawę indywidualną jego twórczości ze zbiorów autora, muzeum w Chojnicach i Muzeum Etnograficznego w Toruniu w 1994 r. Ogromne wrażenie

podczas wizyty latem u p. Józefa zrobił na mnie ogród w Jaglichach. Wizyta rozpoczęła się spacerem po ogrodzie, po którym oprowadzał pan Józef, co jak się potem okazało, należało do pewnego rytuału przyjmowania gości. Z nieskrywaną dumą, pewnym zamyśleniem, ale i radością, prezentował stojące w rzędach pomiędzy drzewami malowane, wielobarwne ule oraz rzeźby pełniące często także funkcję uli, tworzące tajemnicze szpalery łączące naturę z materialnym światem wyobraźni twórcy. Mijaliśmy, obok jabłunki pełnej spadających jabłek, ule – Kaszubki w kwiecistych chustkach na głowie, których otwarte usta stanowiły wylot dla pszczół, żołnierza w błękitnym wojskowym mundurze, św. Ambrożego – patrona pszczelarzy w czerwonych szatach biskupich, trzymającego rzeźbiony ul, niedźwiedzia stojącego na tylnych łapach – baśniowego amatora miodu, św. Franciszka z ptaszkiem pomiędzy gałęziami drzewa, skrzydlate anioły ledwie widoczne spod gęsto porośniętego bluszczu, czy anioła we wzorzystej, błękitnej sukni na płocie dmącego w długą trąbitę. Ogród w letnim słońcu był zjawiskowy, pełen kolorów, tonął w polnych kwiatach zasadzonych przez panią Jadwigę. Spacer z panem Józefem był zawsze okazją do rozmów o jego twórczości i ostatnio stworzonych pracach, o artystycznych, często filozoficznych odkryciach i natchnieniach twórcy, o świecie doskonale stworzonym przez Boga, o Biblii – szczególnie o zawłaszczającej wyobraźnię artysty Księdze Apokalipsy i o aniołach. Potem zwykle siadało się przed domem pod gruszą na ławach, przy stole stojącym pomiędzy kwitnącą w szklanym kwietniku pelargonią a pomalowaną na niebiesko starą pompą, by dłużej porozmawiać.

Pan Józef dla każdego miał czas. Potrafił prawdziwie zachwycić się pięknem natury, tłumacząc, jak często była dla niego źródłem natchnienia w tworzeniu prac. Był wnikliwym obserwatorem przyrody, podglądał i komentował jej prawa, jakby

szukając reguł połączenia świata widzialnego ze światem duchowym, którym żył jako człowiek bardzo religijny. Zajmując się wcześniej rolnictwem żył blisko natury, zdawało się, że ją rozumie, umiał przystawać, by wyrazić swój zachwyt nad harmonią stworzenia, nad wiatrem, którego nie widać, a jest, błękitem nieba, przemijaniem widocznym w następstwie pór roku. Z niefrasobliwością potrafił opowiadać o życiu pszczół oraz historii bocianów na słupie tuż za płotem ogrodu. Odkrywał przed słuchającymi świat swojej artystycznej wrażliwości, ciesząc się z zainteresowania, zachowując przy tym naturalną skromność i pokorę wobec potęgi uniwersum, a także wobec słuchaczy. Był indywidualistą, lecz zawsze silnie związanym z tradycją miejsca, w którym mieszkał.

Uczestniczyłam w dwóch projektach muzealnych, które miały na celu prezentację dorobku twórczego artysty – wówczas już laureata najważniejszych nagród ogólnopolskich w dziedzinie sztuki ludowej – Nagrody im. Oskara Kolberga i Medalu Gloria Artis. Jego sztuka była już znana i rozpoznawalna. W 2007 r. zorganizowaliśmy w Chojnicach wystawę indywidualną pt. *Madonny*, chcąc przez pryzmat wąsko zakrojonego tematu poznać bliżej charakter wyobraźni i kreacji artystycznej Józefa Chełmowskiego na przykładzie interpretacji ikonograficznego przedstawienia *Madonny*, stanowiącego jeden z ulubionych motywów jego twórczości. Wartością wystawy i wydanego przez muzeum katalogu z analitycznym omówieniem twórczości pana Józefa autorstwa dra Aleksandra Błachowskiego z Torunia było pokazanie, że rozumienie przez twórcę ważnego dla sztuki ludowej tematu poszerza tradycyjne wyobrażenie Matki Bożej, obejmując także inne modele ikonograficzne przedstawienia kobiety. Aleksander Błachowski podkreślił, iż Józef Chełmowski przekonał go swoją twórczością, „że ma prawo tworzyć *Madonny*, które nie są *Madonnami*”. Wystawa z udziałem twórcy i wielu gości z całego Pomorza była dużym wydarzeniem



muzealnym, ale gdy później rozmawiałam o niej z panem Józefem, w swej skromności nie był skory do wspomnień i tak naprawdę nie wiem, czy dowierzał do końca charakterystyce jego osobowości twórczej, zawartej w katalogu.

Drugi projekt poświęcony badaniu twórczości J. Chełmowskiego miał miejsce już wówczas, gdy go zabrakło, w latach 2016–2017. Dotyczył kwerendy nieznanego dorobku artysty w zbiorach prywatnych, inwentaryzacji odnajdywanych prac w prywatnych kolekcjach i przywrócenia ich do domeny publicznej. Dzięki podpowiedziom pani Jadwigi Chełmowskiej trafiliśmy do właścicieli dzieł twórcy, którzy chętnie opowiadali o swoich spotkaniach z panem Józefem, o wizytach w Jagliach, o tym, jak twórca potrafił zaskoczyć ich np. wielkością realizacji zamówionego dzieła, interpretacją tematu, oryginalną formą, kolorem, a także sumiennością terminu realizacji czy serdeczną zawsze korespondencją, parafowaną swoim charakterystycznym podpisem z zakreślonym spiralnie zakończeniem. Z tych spotkań wyłaniał się obraz twórcy cieszącego się, że może innym sprawić radość swoim dziełem, ale także twórcy podkreślającego swą przynależność do kultury Kaszub, z dumą pokazującego swoje przywiązanie do kaszubskich tradycji. Wszyscy rozpoznawali jego rzeźbione w drewnie Kaszubki o charakterystycznych wyrazistych oczach, w barwnych spódnicach z białym fartuskiem, zdobionym haftem kaszubskim, jak również skrzydlate anioły, czasem wielkości dorosłego człowieka, czy także podobnie zdobione *Madonny* malowane na szkłe lub liczne kapliczki, często z elementami wzorów kaszubskiego haftu.

Ujmowała mnie w Józefie Chełmowskim szczerść poszukiwania prawdy i dobra zakorzeniona w odziedziczonym systemie wartości, w którym istniała jasno określona granica pomiędzy dobrem a złem. Dopełniające je piękno stanowiła radość tworzenia, którą kierowały przede wszystkim odwaga, niczym nie skrępowana wyobraźnia i ogromna wrażliwość autora, a także prawdziwa pokora wobec tworzywa i pracowitość. Takim zawsze pozostanie w mojej pamięci.



**„Zewsząd ucisk znosimy,  
lecz nie jesteśmy zmiążdżeni.  
Pełni wątpliwości, lecz nie zrozpaczeni.  
Prześladowani, lecz nie opuszczeni.  
Powaleni na ziemię, lecz nie pokonani.”**

Pana Józefa Chełmowskiego, znanego i bardzo cenionego rzeźbiarza, malarza ludowego i kreatora swojej przestrzeni, chcę wspomnieć przez historię z trzema rzeźbami, które trafiły do Muzeum Etnograficznego im. Marii Znamierowskiej-Prüfferowej w Toruniu. Były to wtedy początki mojej pracy i nie byłam jeszcze pracownikiem Działu Sztuki i Estetyki, w związku z tym, nie miałam bezpośredniego kontaktu z artystą. Sprawa, która zwróciła moją uwagę i zainteresowanie osobą Józefa Chełmowskiego, była związana z zakupem przez muzeum kilku jego prac.

Ówczesny kierownik działu sztuki, pan Aleksander Błachowski, będąc z wizytą u Józefa Chełmowskiego, zwrócił uwagę na kapliczkę *Trzeci upadek*, która stała przed wjazdem na podwórze. Zainspirowany tematyką kapliczki zamówił u artysty trzy rzeźby o charakterze patriotycznym, solidarnościowym, zostawiając wolną rękę artyście. W 1982 roku pan Józef Chełmowski wykonał zamówione prace dla naszego muzeum. Każda z nich miała tytuł *Solidarność*, ale różniły się wizualnie.

Rzeźby zostały zakupione do muzeum w 1982 roku, czyli w trakcie trwania sta-

nu wojennego. Wówczas, w każdym zakładzie był sekretarz POP (Podstawowej Organizacji Partyjnej), który był osobą odpowiedzialną za to, żeby muzeum działało zgodnie z jedyną słuszną linią, wyznaczoną przez ówczesny rząd i partię. Kiedy rzeźby autorstwa Józefa Chełmowskiego pojawiły się w naszym muzeum, od razu zwróciły uwagę tej osoby jako prace niewpisujące się w ideologię pe-rełowskiego państwa. Wtedy muzeum podlegało Urzędowi Wojewódzkiemu, który zażądał, żeby rzeźby zostały do niego przyniesione i pokazane. Od nieżyjącego już pracownika muzealnego wiem, że zanim rzeźby trafiły do tego Urzędu, by uniknąć konsekwencji dla dyrekcji, pracownicy częściowo zatarli niektóre elementy, żeby osłabić ich przekaz i idee. Między innymi jeden z tekstów, który był na rzeźbie, zatytułowanej *Solidarność* z podpisem „10.11.1980–9.10.1982” został zamalowany. Tekst miał charakter buntu artysty przeciwko ówczesnej rzeczywistości i brzmiał tak: „Zewsząd ucisk znosimy, lecz nie jesteśmy zmiążdżeni. Pełni wątpliwości, lecz nie zrozpaczeni. Prześladowani, lecz nie opuszczeni. Powaleni na ziemię, lecz nie pokonani.”

W tamtych czasach na każdym otwarciu wystawy byli cenzorzy, którzy wycofywali z nich prace budzące wątpliwość, które ich zdaniem nie były politycznie słuszne. U nas, w muzeum, mówiło się, że rzeźby pana Józefa Chełmowskiego zostały internowane. Stan wojenny skończył się w 1983 roku, a one w Urzędzie Wojewódzkim przebywały do 1987 roku, czyli w sumie pięć lat. W naszej dokumentacji muzealnej są zapisy, które traktowały to jako wypożyczenie.

Po wyborach 1989 roku, kiedy zmieniła się sytuacja polityczna w kraju, pan Aleksander Błachowski postanowił zorganizować wystawę *Niepokromieni*. Wtedy też pojechał do pana Józefa Chełmowskiego, żeby przywrócił pierwotny stan tych prac i uzupełnił m.in. zamalowany tekst. W 1991 roku na sali widowiskowej naszego muzeum przez pana Aleksandra Błachowskiego została otwarta wystawa *Niepokromieni*, na której zostały pokazane również te „niepoprawne ideologicznie” rzeźby Józefa Chełmowskiego.

Pan Józef Chełmowski jest przykładem artysty, który nie bał się w tamtych trudnych czasach ujawniać swoich poglądów, chociaż mógł spotkać się z restrykcjami ze strony władzy. O jego bardzo patriotycznej postawie świadczy zarówno kapliczka *Trzeci Upadek*, która stanęła przed jego domem w stanie wojennym, jak też rzeźby o tematyce solidarnościowej, które wykonał dla naszego muzeum. Historia tych rzeźb dowodzi, że nie tylko ludzie byli prześladowani, ale nawet ich dzieła.

Nie miałam częstego kontaktu z panem Józefem, byłam u niego w domu dwa razy z panem Aleksandrem Błachowskim. Spotykałam go też kilkukrotnie na otwarciu wystaw pokonkursowych, gdzie zajmował zawsze główne lokaty. Co mnie zachwycało w jego osobowości, to to, że cały czas był sobą. Dla niego strona materialna twórczości była wtórna, ważniejsze było, żeby praca stanowiła jego autorskie, niepowtarzalne dzieło, niezależnie czy komuś się podobała, czy nie.

Ta jego indywidualność, różnorodność, filozofia życiowa, spowodowała, że zajmuje renomowaną pozycję w nurcie sztuki nieprofesjonalnej.

Pamiętam, jak po śmierci pana Józefa razem z panią Wandą Szkulmowską odwiedziłyśmy panią Jadwigę Chełmowską. Oprowadzała nas ze swoją córką po ogrodzie i rozmawiałyśmy o tym co będzie dalej z pracami pana Józefa. Zastanawiałyśmy się co zrobić, by zapewnić im opiekę konserwatorską, bo wiadomo, że warunki atmosferyczne im nie sprzyjają, że będą z czasem ulegać zniszczeniu. Pani Jadwiga powiedziała wtedy, że jej mąż uważał, że skoro człowiek umiera, to wszystko, co jest dookoła niego też powinno odejść naturalną śmiercią i ulec naturalnej destrukcji. Punkt widzenia muzealników jest zupełnie inny, ale taka była właśnie filozofia życiowa pana Józefa.



## W 1987 r. zaczęliśmy robić wystawy przy okazji organizowania kaszubskich wieczorów wigilijnych.

Jak sięgam pamięcią, Józef Chełmowski jawił mi się jako człowiek, który chętnie opowiadał i się wyróżniał. To są pierwsze wspomnienia, jeszcze z czasów młodości. Widywałam go przy okazji jakichś uroczystości, spotkań przy kościele, bo właśnie po kościele chłopcy lubili rozmawiać, spotykać się. I oczywiście pamiętam go jako młodego mężczyznę, gdy jeździł na stworzonym przez siebie wysokim rowerze przez Czyczkowy. Przejazdki te najczęściej robił w niedzielę.

Później, już z racji tego, że zaczął tworzyć, brał udział w konkursach sztuki ludowej w Bydgoszczy i pamiętam, że wówczas wygrywał nagrody na szopki bożonarodzeniowe. Nasza placówka jako Wiejski Dom Kultury była pod opieką Wojewódzkiego Domu Kultury w Bydgoszczy, więc byliśmy na bieżąco z informacjami o osiągnięciach Józefa. Później z kolei się słyszało, że muzea takie jak Muzeum Okręgowym im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy czy Muzeum Zachodniokaszubskie w Bytowie też się interesują jego

sztuką. Pan Józef brał też udział w konkursach organizowanych przez chojnickie Stowarzyszenie PAKS.

Spotkałam pana Józefa na przełomie lat 70./80. na warsztatach w ośrodku w Funce, w której miałam krewnych. Był tam jednym z uczestników i, tak jak reszta, na progu swojego domku rzeźbił jakąś pracę. Myślę, że to były jedne z pierwszych warsztatów, które być może ukierunkowały go i pomogły rozwinąć talent. Była to końcówka lat siedemdziesiątych, może osiemdziesiąty rok.

W 1978 roku powstał zespół pieśni i tańca „Zaboracy”. Potem działalność zespołu rozszerzyła się na teatr, czyli sztuki Anny Łajming i wiele innych. Wciąż jeszcze żywa była tradycja chodzenia z gwiazdą, czyli „gwiźdzów”, a my, chcąc tę tradycję podtrzymać, zaczęliśmy współpracować z panem Józefem. W ramach tej współpracy prosiliśmy o użyczenie jakichś rekwizytów albo o opowiedzenie swoich wspomnień związanych z tradycjami. W 1987 r. zaczęliśmy



robić wystawy przy okazji organizowania kaszubskich wieczorów wigilijnych. Odbываły się one w Domu Kultury w Czyczkowach. Gdy zapraszałam pana Józefa na występy, chętnie brał udział w tych spotkaniach. Pani Jadwiga też czasem przychodziła. Przy okazji jednego z wieczorów odbyła się wystawa pana Józefa i eksponowaliśmy wówczas pierwsze 30 metrów obrazu *Panorama Apokalipsy*.

W 1996 roku, w styczniu, przyjechała do nas pani Anna Makowiecka nagrać *Mój program na antenie dla dzieci i młodzieży dla TVP1*, w którym wystąpiły dzieci z zespołu. Pani Makowiecka zapytała się wtedy dzieci, czy warto iść do tego rzeźbiarza, który tu blisko mieszka, i pamiętam, że dzieci chórem jej odpowiedziały twierdząco. Wcześniej, w 1994 roku, przyjechała z kolei TVP Bydgoszcz, by nagrać materiał świąteczny w domu państwa Chełmowskich. Była choinka, gospodarze siedzieli, a my z gwiazdą wchodziliśmy. Podobne nagrania miały miejsce w różnych latach, z innymi pokoleniami. Myślę, że co najmniej trzy grupy kolędnicze z naszego zespołu są nagrane w domostwie państwa Chełmowskich.

Pan Józef był osobą, która chętnie przystawała, rozmawiała i czasami mi się zdaje, że do końca nie był zrozumiany. Ale mimo wszystko, robił swoje.

Pan Józef potrafił zawsze coś ciekawego wymyśleć. Ja, z racji tego, że pracowałam w Chacie Kaszubskiej, bardzo często się z nim widywałam i była okazja do rozmowy przy płocie. Pamiętam, jak opowiadał, że co innego było w zamyśle na przeznaczenie tej chaty. On chciał, żeby na przykład na stawie zrobić takie „rzygadło”, takie na ludowo. Myślał, że część miejsca w środku będzie przeznaczona na jego prace, że będzie mógł wyeksponować swoje rzeczy, ale wyszło inaczej. Były też różne pogawędki o sprawach codziennych, albo o tym, że jedzie na konkurs, albo na wystawę z delegacją z urzędu gminy. Dużo różnych historii.



Pomyślałam, że z okazji dziesięciolecia zespołu, dla tych osób, które są od początku, warto sprezentować coś trwałego. I poprosiłam pana Józefa o zrobienie pięciu rzeźb – statuetek z okazji jubileuszu „Zaboraków”. Pan Józef nie odmówił, chętnie ten temat podjął i zrobił takie statuetki na pamiątkę. Dostałam też aniołka przy okazji „gwiazdki”, wieczoru wigilijnego. Jest też malutki aniołek, który był podarowany na trzydziestolecie zespołu „Zaboracy”. Raz przyszłam do pana Józefa i przy okazji rozmowy wyszło, że mam urodziny, więc przyniósł mi obraz. Także to są takie wyjątkowe wspomnienia. Reprodukacja obrazu posłużyła zresztą jako pocztówka wielkanocna wysyłana przez Urząd Gminy Brusy.

Mam też w pamięci rok 2012, kiedy to był Dzień Jedności Kaszubów w Brusach i organizowałam panu Józefowi wystawę w szkole. Gdy startowałam do Rady Gminy pan Józef napisał mi dedykację, która była też poparciem mojej kandydatury: „To jest ten człowiek, który ma kulturę w sercu i chce ją dać na zewnątrz to się chwali tych ludzi nam potrzeba popieram te idee”. Pamiętam, jak tworzył kapliczkę *Trzeci upadek* i jej uroczyste poświęcenie. Od tamtego momentu w Brusach-Jagliach jest nabożeństwo majowe.



Łzy rozpalone

## Potrafił znaleźć balans, był w stanie pełnej równowagi i harmonii, co działało jak klucz do otwierania się na wiele osób z różnych środowisk.

Dorota Chmara: Mąż poznał pana Józefa wcześniej, ja około 2000 r., gdy nasz wspólny znajomy Zbigniew Stromski zaproponował nam wyjazd do Józefa Chełmowskiego, którego znał już bardzo długo.

Rafał Chmara: Pan Zbigniew Stromski napisał zresztą o nim w swojej książce *Pamięci godni – chojnicki słownik biograficzny* wydanej w 1986 r. Ich znajomość była bardzo zażyła. Ja z kolei poznałem pana Józefa odrobinę wcześniej – to było w 1998 albo w 1999 r, przy okazji mojej pracy w Funce. Pracowałem jako student, dorabiałem sobie w Harcerskim Centrum Edukacji Ekologicznej. Zajmowałem się oprowadzaniem po nowo powstałym parku narodowym i później, trochę spontanicznie, rozszerzyliśmy nasze działania na wyjazdy w dalsze okolice. Mieliliśmy do dyspozycji autokar i z jakąś grupą dojechaliśmy do skansenu pana Józefa. Z czasem w zasadzie stało się to standardem, że sporo grup jeździło do skansenu.

Później ta nasza znajomość przeszła

na grunt prywatny dzięki uprzejmości pana Zbigniewa Stromskiego. Z uwagi na to, że dość dobrze znaliśmy pana Zbyszka, zapytał nas kiedyś, czy znamy pana Chełmowskiego, i zaproponował wspólny wyjazd.. Pan Zbigniew nie był zmotoryzowany, stąd też cieszył się, że pojedziemy razem. I to on nas wprowadził w inny wymiar znajomości z Józefem.

D.Ch.: Byliśmy tam kilka razy. Wejście do tego domostwa było dla mnie zawsze wielką przygodą. Sama postać pana Józefa i przepiękne uzupełnienie pani Jadwigi – tworzyli dla mnie taką piękną parę. On, który bujał w chmurach i żona, która go ściągała na dół. To było coś pięknego, bardzo pozytywnie to wspominam. Pamiętam, że oboje nas ugościli – była herbata i przeciekawie opowieści. Myślę, że dzięki panu Zbyszkowi nie zostaliśmy potraktowani jako zupełnie obcy. Zresztą panowie się wtedy chyba bardzo długo nie widzieli, – pan Zbigniew był już schorowany, więc tym bardziej było to takie serdeczne spotkanie. Zawsze przyjeżdżaliśmy w okre-



sie wiosny/lata i wszystko było bardzo kolorowe, mnóstwo pięknych roślin, co tworzyło dla mnie atmosferę przygody.

Pan Józef opowiadał nam różne historyjki. Mam w pamięci jedną z nich, zresztą dzięki niej nasz pies ma takie, a nie inne imię. Pan Józef opowiadał, że dawno temu żył sobie pewien rolnik – Niemiec, który miał bardzo upartego konia o imieniu As. Ten Niemiec ciągle do niego mówił: „As musst! As musst” (musisz), stąd się wzięła nazwa miejscowości Asmus. Tak nazwaliśmy naszego psa – Asmus. Podobnych opowieści miał wiele.

Pamiętam, jak staliśmy przy tym wysokim rowerze i pan Józef nam opowiadał z przekonaniem, że jest w stanie wsiąść na ten rower i pojechać. Miał niesamowitą pasję. Piękne dla mnie było jak opowiadał o obrazach, zebranych przedmiotach i, że tę bogatą filozofię potrafił znieść na ziemię, taką autentyczność w nią wprowadzić. Zawsze zastanawiałam się nad tym, że kiedyś nie było tak powszechnego dostępu do źródeł wiedzy

i byłam pod wrażeniem jego umiejętności zdobycia tych wszystkich informacji. No i pamiętam, że zawsze z boku była pani Jadwiga.

R.Ch.: Wizyt ze Zbyszkim Stromskim było kilka. Należy dodać, że zawsze przy tych spotkaniach pani babcia była czynnym uczestnikiem tych rozmów, siedziała z nami w tym dużym pokoju. Było widać, że państwo Chełmowscy i pan Zbyszek bardzo dobrze się znali.

D.Ch.: Pamiętam też, że pani Jadwiga pilnowała trochę męża, bo on by chętnie wydał, sprezentował, sprzedał swoje prace. Byliśmy świadkami takiej sytuacji. Pani Jadwiga strzegła jego dorobku.

R.Ch.: Tak, ja zresztą sam tego doświadczyłem. Byliśmy wtedy w warsztacie, rozmawialiśmy na temat filozofii, on rzeźbił i miał obok siebie taką głowę Chrystusa z czarnego dębu. W pewnym momencie powiedział: „Ty se weź ten łeb” i mi go sprezentował.

Mam go do dziś, z tyłu jest opatrzony podpisem „1999”. To był przykład właśnie tej hojności, ale babci przy tym nie

było. Z uwagi na to, że jestem z wykształcenia biologiem, to była mi bliska rzeźba chemika i biologa Louisa Pasteura. Na tej rzeźbie jest napis: „Tylko Bóg mnie wybrał do przekazania”. Pamiętam, że długo go namawiałem, żeby mi ją sprzedał, pani Jadwiga wtedy też była niechętna. Ostatecznie pan Józef uznał, że ma (czy zrobi) drugą podobną.

D.Ch.: Kupiliśmy też dwa obrazy od pana Józefa. Jeden z nich to obraz na szkle *Adam i Ewa* z 2000 roku, a drugi na płótnie, to *Sianokosy* z roku 1993. Mamy też niewielkiego aniołka z jedną parą skrzydeł. Przypominam sobie, że pan Józef z lekkim rozgoryczeniem opowiadał, że bardziej jest znany za granicą niż na terenie gminy. Opowiadał, że ma więcej kupców ze Skandynawii czy z Niemiec, niż tu z regionu. I też, z tego co pamiętamy, przyjeżdżało do niego sporo ludzi z różnych stron Polski.

Gdy mąż pracował w Zaborskim Parku Krajobrazowym, w 2001 r. organizowana była wycieczka autokarowa do Słowińskiego Parku Narodowego na wydmy niedaleko Łeby. Zaprosiliśmy państwa Chełmowskich, a oni przyjęli to zaproszenie.

Zapamiętałam pana Józefa jako człowieka z niesamowitą wiedzą i wyobraźnią. Fascynujące było to, jak pewne rzeczy postrzegał, jak widział, jak dostrzegał.

Był osobą pogodną i niezwykle ufną wobec drugiego człowieka, ta ufność była bardzo ujmująca. Był bardzo otwarty, nie bagatelizował żadnego człowieka i dawał z siebie to, co miał najlepsze.

R.Ch.: Mnie urzekał w panu Józefie pewien rodzaj refleksyjności. Gdy się z nim rozmawiało, to od razu można było wyczuć głębię, choć na początku nie umiałem tego nazwać. Gdy później próbowałem sobie uświadomić, co przyciąga mnie do tego człowieka, zrozumiałem, że przyciągała właśnie ta głębia, refleksyjność, którą w sobie miał. Zadałem dużo pytań, a to z kolei powodowało, że rozmowa się pogłębiała. Tak go pojmowałem – jako osobę niezwykle refleksyjną, filozoficzną. W niektórych momentach był dla mnie jak regionalny, ludowy mistyk. Nie miał żadnych ograniczeń czy kompleksów, a z drugiej strony nie emanował w żadnym stopniu artystycznym narcyzmem ani pychą. Potrafił znaleźć balans, był w stanie pełnej równowagi i harmonii, co działało jak klucz do otwierania się na wiele osób z różnych środowisk.



*Towarzyszące zjawiska przy śmierci*



(...) pan Józef okazał się na tyle otwartym, że nawet niepytany opowiadał mi o tym wszystkim, o czym chciałbym usłyszeć.

Józefa Chełmowskiego poznałem w 1992 roku. Jeszcze nie osobiście, tylko poprzez korespondencję. Bezpośredni kontakt nastąpił wkrótce potem. Były to pierwsze lata mojej pracy w Muzeum Zachodniokaszubskim w Bytowie, a okoliczności owego niebezpośredniego poznania były bardzo ciekawe.

W latach dziewięćdziesiątych odbywały się cykliczne międzywojewódzkie konkursy pn. „Współczesna sztuka ludowa Kaszub”. Konkursy te organizowały istniejące wówczas województwa: słupskie, gdańskie i bydgoskie. Pieczę organizacyjną nad nimi posiadało środowisko kulturalne z Bydgoszczy, na czele z etnografką, panią Wandą Szkulmowską. Wystawy pokonkursowe zawsze na początku były prezentowane w Bydgoszczy, później w różnej kolejności trafiały do Muzeum Zachodniokaszubskiego w Bytowie, Muzeum Narodowego w Gdańsku i Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku. Kiedy przywoziliśmy do Bytowa te wszystkie piękne obiekty współczesnej sztuki ludowej, to za każdym razem mie-

liśmy w głowie jedno pytanie do siebie samych, do kustoszy – czy kupujemy jakieś eksponaty z tej wystawy? Pamiętam (wtedy byłem bardzo młodym, początkującym muzealnikiem), że wśród rzeźb, haftów, obrazów na szkle i płótnie trafiły do nas prace Józefa Chełmowskiego. Bardzo mi się spodobały, a ponieważ ja bezpośrednio zajmowałem się organizacją tych wystaw z ramienia Muzeum Zachodniokaszubskiego, zaproponowałem naszemu byłemu dyrektorowi, że chętnie byśmy zakupili część tych rzeczy. Były to rzeźby i były też obrazy. Zawsze przy zakupach muzealiów nasze muzeum robiło coś w rodzaju rozpoznania terenowego, kiedy po prostu sami szukaliśmy twórców ludowych, docieraliśmy do nich i bezpośrednio od nich kupowaliśmy różne obiekty do muzeum. Natomiast, jeżeli był to konkurs na przykład, to nie mieliśmy tych twórców na miejscu, więc wysyłaliśmy do nich oferty. Były to listy z informacją, że nasze muzeum jest zainteresowane zakupem konkretnych obiektów i taka oferta zawierała też za-

pytanie do artysty czy wyraża zgodę na ich sprzedaż za zaproponowaną cenę. Pojawiało się też pytanie o ewentualny termin spotkania, żeby sfinalizować całą transakcję. Przejmując pokonkursową wystawę „Współczesnej sztuki ludowej Kaszub” mieliśmy oczywiście spisy tych wszystkich eksponatów, a także podane ceny, bo prawie wszystkie były na sprzedaż. Niektóre obiekty miały napisaną klauzulę, że nie są na sprzedaż, albo, że zostały już kupione wcześniej przez jakieś inne muzeum. Rzeźby i obrazy Chełmowskiego były niejako wolne pod tym względem, czyli do kupienia. Wysyłaliśmy wtedy dużo ofert do różnych ludzi. Z reguły odsyłano nam ten sam list z wyszczególnionymi pracami, który zawierał proste dopiski informujące, czy dana osoba zgadza się na sprzedaż konkretnych prac, np. „zgadzam się”, „sprzedam” itp. Natomiast Józef Chełmowski przysłał w odpowiedzi coś, co było zupełnie inne i mnie całkowicie zaskoczyło. Józef Chełmowski przysłał mi widokówkę. Zamiast odesłać muzealne zapytanie z lakonicznym dopiskiem wyrażającym zgodę lub nie, dostałem widokówkę z panoramą urokliwego rozlewiska ze ścianą lasu w tle. W miejscu przeznaczonym na wpisanie treści napisane było: „Brusy 25.10.92 Z propozycją zakupu prac pt. Współczesna Sztuka L. K. zgadzam się, przyjadę do Was w przyszłym tygodniu pozdrowienia Chełmowski Józef Brusy.” Mam tę kartkę, jak widać, do dziś pod ręką. Ta forma korespondencji mnie bardzo ujęła, bo raczej się zwykle nie zdarzała, i powiedziałem sobie, że z pewnością nie jest to człowiek schematyczny, a prawdopodobnie ktoś dość niezwykły. Intuicja mnie nie zawiodła. Jak się później okazało, nie myliłem się.

To był mój pierwszy kontakt z Chełmowskim – poprzez tę korespondencję i tę widokówkę. W listopadzie 1992 roku pan Józef przyjechał do Bytowa, jak zapowiadał w informacji na widokówce – dokonaliśmy transakcji zakupu kilku prac, ale wtedy jeszcze o niczym więcej nie rozma-

wialiśmy. Rozstaliśmy się z przekonaniem rychłego spotkania w Brusach-Jagliach. Od tamtej pory byłem częstym gościem w domu artysty, w którym poznawałem pana Józefa lepiej. Moje pierwsze wrażenie było takie jak sobie częściowo wyobrażałem, bowiem starałem się przed wizytą u pana Józefa jak najwięcej o nim dowiedzieć. Nie było wtedy zbyt dużo źródeł na ten temat. Młodszy trzeba przypomnieć, że nie było wtedy Internetu, zatem szybki dostęp do bieżących informacji był krańcowo inny, trudniejszy niż dzisiaj. Sporo informacji zacerpnałem od pani Krystyny Szałaśnej, etnografki z Gdańska, która z Józefem Chełmowskim utrzymywała kontakt już kilka, jeśli nie kilkanaście lat wcześniej. Na marginesie dodam, że pani etnograf Krystyna Szałaśna z Muzeum Narodowego w Gdańsku, w mojej ocenie pierwsza dostrzegła potencjał twórczości Chełmowskiego i miała genialną intuicję, kim bruski artysta może stać się jako artysta w przyszłości. Nie powinniśmy zapominać o pani Krystynie w kontekście rozważań o Chełmowskim. To właśnie od niej na początku zdobywałem wiedzę o tym artyście i bardzo dużo się uczyłem. Dowiedziałem się wtedy, że Józef Chełmowski jako twórca, to nie jest początek lat dziewięćdziesiątych, tak jak mi się wtedy wydawało, tylko wczesne lata siedemdziesiąte.

Na samym początku znajomości z Chełmowskim, a byłem wówczas bardzo młodym człowiekiem i trochę się może wstydziłem, krępowałem pytać o pewne frapujące kwestie, np. astronomię czy filozofię, jednak pan Józef okazał się na tyle otwartym, że nawet niepytany opowiadał mi o tym wszystkim, o czym chciałbym usłyszeć.

Ta nasza znajomość się zadzierzgnęła właśnie wtedy przy okazji początkowej korespondencji i pierwszych wizyt w Jagliach. Bardzo dobrze się złożyło, że w naszym muzeum była dobra atmosfera ku temu, żeby przeznaczać jak największe środki finansowe na gromadzenie obiektów współczesnej sztuki ludowej.

## Jednak „przygoda” zawodowa z panem Józefem była chyba czymś najlepszym. Po prostu miałem szczęście.

Mieliśmy wszystko, co trzeba, a więc pieniądze i przekonanie o potrzebie kupowania i dokumentowania sztuki ludowej. I postanowiliśmy sukcesywnie jeździć do twórców po ich dzieła, a wśród nich do Józefa Chełmowskiego, który zajął tu oczywiście miejsce priorytetowe.

Mam taką refleksję, że teraz jest to wszystko oczywiste, że tak powinniśmy byli robić, że należało gromadzić prace Chełmowskiego w muzeach, propagować tę twórczość, badać ją i opisywać. Ale wtedy, na początku lat dziewięćdziesiątych nie było jeszcze takiego powszechnego przekonania, że należy to robić z całym sercem, z całym zapalem. Może nie wszyscy zauważali ten potencjał w twórczości Józefa Chełmowskiego, jego geniusz, wielkość, nieprawdopodobną uniwersalność i funkcjonowanie artystyczne poza wszelkimi schematami. Dzisiaj wydaje się to oczywiste, ale 30-40 lat temu twórczość Chełmowskiego przez niektóre środowiska, niektórych muzealników, niektórych ludzi była czasami, może nie w całości, ale częściowo uważana za nieludową. Nieludową, bo nie spełniała kanonów i nie wpisywała się w to, co znaleźliśmy sprzed 1989 roku, czyli kiedy jeszcze istniała instytucjonalna opieka państwa nad sztuką ludową, co w dużym uproszczeniu sprowadzało się do jej odgórnego kształtowania i sterowania nią. Z twórczością Józefa Chełmowskiego był kłopot, gdyż nie wpisywała się w dawny utrwalony schemat, czym jest i jaka jest twórczość ludowa. Dziś inaczej rozumie się pewne zjawiska w kulturze, które dzieją się współcześnie. Pewne kryteria ulegają rozluźnieniu. Wiadomo, że inna była sztuka w dawnej kulturze chłopskiej,

inna jest obecnie, bowiem nie istnieje już od dawna ten typ kultury tradycyjnej, który powoływał do życia sztukę zwaną ludową. Nie miejsce tu jednak na głębokie rozważania na ten temat. Wracam do naszego głównego wątku. Zatem, ponad 30 lat temu trzeba było w jakimś sensie przełamywać dawne schematy i wyobrażenia o sztuce ludowej i być bezwzględnie zdecydowanym i przekonanym, co do bezwarunkowej konieczności gromadzenia jak największej liczby dzieł Józefa Chełmowskiego. Tutaj przyszedł mi na myśl taki jeden wątek, kiedy to pewnego razu pracownicy Muzeum Zachodniokaszubskiego, widząc prace Józefa Chełmowskiego odrzucone z jednego z konkursów jako nieludowe, natychmiast prosili organizatorów o naklejenie na nich karteczek z napisem: „Zakup, muzeum Bytów”. Chcę przez to powiedzieć, że mieliśmy dobrą intuicję. Intuicja jest niezwykle ważna w pracy etnografa zajmującego się sztuką. Z Chełmowskim może było trochę łatwiej, bo na pierwszy rzut oka widać było, że zdecydowanie wyrasta on ponad zastaną przeciętność.

Bardzo często jeździliśmy do Brus. Czasami kupowaliśmy tyle prac, że nie mieściły nam się do półtwarowego samochodu, co świadczy o tym, że Józef Chełmowski był niezwykle płodny. Powiększaliśmy kolekcję jego prac, zwłaszcza że był on twórcą jedynym w swoim rodzaju nie tylko na Pomorzu. Nie był, co prawda, jedynym niezwykłym i genialnym w kraju, ale był naprawdę jednym z „ostatnich wielkich”. No i z czasem ta kolekcja zrobiła się bardzo potężna. Od chwili śmierci upłynęło już przecież 11 lat, a więc ostatnich zakupów dokonali-

śmy w roku 2012. Później, już po śmierci pana Józefa kupiliśmy kilka prac od prywatnych kolekcjonerów. Obecnie mamy ponad 500 obiektów, choć tak naprawdę jest ich blisko 600. Wynika to z faktu, że np. zbiór 30 miniaturowych, jednotematycznych obrazków na płótnie wpisany jest do księgi inwentarzowej jako seria pod jednym numerem. Podobnych wpisów serii – jest więcej.

Zawsze lubiliśmy jeździć do Jaglii jesienią, kiedy pani Jadwiga, żona i impresario (można by tak powiedzieć o pani Jadwidze) była na grzybach. Wtedy było najłatwiej kupić od Chełmowskiego to, co chcieliśmy. Kiedy pani Jadwiga (wspomniała kobieta, która, jak to zwykle bywa wywierała niewątpliwy wpływ na „kształt” sztuki męża) była w domu i akurat chcieliśmy kupić coś ze ściany w domowej galerii albo pracowni, gdzie Chełmowski malował obrazy, to był bardzo duży kłopot, bardzo duży. W domu pani Jadwiga była zawsze obecna przy nas i strzegła całej kolekcji, aby w zbyt drastyczny sposób jej nie ubywało. Pilnowała interesów, ale i estetyki domu. Każdy zdjęty ze ściany i sprzedany obraz musiał od ręki być zastąpiony w tym miejscu innym, najlepiej takim, który dokładnie zajmuje pustą przestrzeń na ścianie po zdjętym obrazie. Czasem było właśnie tak, czasem zakupy przebiegały bez takich warunków.

Zawsze byliśmy w domu Chełmowskich goszczeni *kuchem* i kawą. Przepiękny kaflowy piec w salonie stwarzał przytulną atmosferę. Czasem pan Józef częstował własnoręcznie przygotowaną *miodówką*, którą, jak mówił „leczył przeziębienia”.

Mniejszy problem z zakupami był może w pracowni rzeźbiarskiej na podwórku, bo tam najczęściej pani Jadwiga za nami nie szła. Kiedy pani Jadwigi nie było w domu, mogliśmy kupić od pana Józefa w zasadzie wszystko, poza drobnymi wyjątkami. Nigdy, na przykład, nie chciał sprzedać obrazu apokaliptycznego dużych rozmiarów nad łóżkiem, albo tzw. „cebuli” (rodzaj diabelskich skrzypiec).

Był do nich zbyt przywiązany. Nie było też mowy, żeby odkupić jakiekolwiek zbiory, np. żelazka, stare szylidy i naczynia itp., gromadzone w warsztacie stanowiącym małe muzeum etnograficzno-historyczne. Ten zbiór nie podlegał żadnym negocjacjom handlowym.

Jeśli chodzi o dokumentowanie, opisywanie twórczości Józefa Chełmowskiego, to nie było z tym kłopotu (o czym wspomniałem na początku), bo jak wiadomo był bardzo chętny do opowiadania wszystkim o tym, co wymyślił, co mu spędzało sen z powiek i chętnie się dzielił przemyśleniami, począwszy od astronomii po filozofię Kanta, a na opowieściach o Johannie Wolfgangu Goethem kończąc. Pewien problem z pokazaniem osoby Chełmowskiego szerszemu gronu pojawiał się na samym początku. Jak go pokazać? Jak go opisywać, aby niczego nie słycać, nie zbanalizować, nie wykrzywiać jego przemyśleń dotyczących istoty religii, kosmosu. Przemyślenia (w większości zapisane przez samego Chełmowskiego) domagały się wręcz komentarza, interpretacji, a jednocześnie wszystko to było komentowane i rozważane przez artystę tak jak on sam potrafił, jakie posiadał kompetencje, jak rozumiał „wielkie” tematy, które, nie ukrywajmy, w dużej części dotyczyły czegoś, czym przeciętny człowiek nie żyje na co dzień lub nie ma potrzeby zgłębiania takiej problematyki. Na przykład odwołania do XVI-wiecznych miniatur islamskich, pismo arabskie na obrazach, matematyczne wyliczenia orbit planet – to wszystko pojawiała się w jego pracach, a w powszechnym odbiorze społecznym budziło to wręcz frustrację i pytania: czy to możliwe, że niewykształcony, acz w jakiś sposób na pewno genialny rolnik może posiadać taką wiedzę i kompetencje?

Do dziś badacze mierzą się z tymi problemami i próbują analizować „dzieło” Chełmowskiego. My, skromni bytowscy muzealnicy postanowiliśmy zostawić naukowe analizy na później i zaczęliśmy od dokumentowania Józefa Chełmow-



skiego w jego domu, aby zgromadzić jak największy materiał do późniejszych, wnikliwszych badań i analiz. Wykonywa- liśmy dużo dokumentacyjnych fotografii przestrzeni ogrodu oraz wnętrz mieszkal- nych z pracami pana Józefa, bowiem to wszystko się dynamicznie zmieniało. Na miejscu starych prac pojawiały się nowe, więc cała zmieniająca się przestrzeń domu państwa Chełmowskich pokazywała nie- zwykle płodny proces twórczy artysty, któ- ry w swym życiu wykonał setki, jeśli nie tysiące prac „idących w świat”. Używa- liśmy też nowinki technicznej w latach dzie- więćdziesiątych – kamery VHS, z czego sam Chełmowski był raczej zadowolony, bowiem chętnie wypowiadał się do ka- mery. Na marginesie dodam, że w poło- wie lat dziewięćdziesiątych w Łodzi pani prof. etnologii Ewa Nowina-Sroczyńska z Uniwersytetu Łódzkiego organizowała Festiwal Filmów Etnograficznych, więc z racji tego, że byłem absolwentem Ka- tedry Etnografii UŁ i po studiach utrzy- mywałem kontakt z moją byłą wykładow- czynią, zgłosiłem się na Festiwal z filmem o Józefie Chełmowskim, stworzonym w Muzeum Zachodniokaszubskim przeze mnie i Piotra Cieleckiego (wówczas kie- rownika działu etnograficznego w naszym muzeum). Prawdopodobnie był to pierw-

szy publiczny pokaz filmu o panu Józefie pokazany tak szerokiej publiczności. Fe- stiwal odbywał się w ogromnym Łódzkim Domu Kultury przy pełnej sali liczącej kilkaset miejsc siedzących. Postać Józefa Chełmowskiego wzbudziła wówczas duże zainteresowanie. A co ważne, wobec zgromadzonej w większości publiczności ze świata naukowego i ludzi zajmujących się zawodowo sztuką, „dzieło” Józefa Chełmowskiego „poszło w szeroki świat”, o czym sam pan Józef, jak mi opowiadał, zawsze marzył.

Później było już łatwiej. Chełmowski stawał się coraz bardziej znany i docenia- ny. Odbywało się bardzo dużo wystaw indywidualnych w różnych miejscach na Pomorzu i w całej Polsce, ale i zagra- nicą, urządzanych ze zbiorów naszego muzeum. Wspomnę w tym miejscu dla przykładu rok 1999, kiedy w stolicy Sło- wenii, Lublanie, w Muzeum Etnograficz- nym miała miejsce wystawa pod tytułem *Diabły i anioły w pracach twórców ludo- wych Muchy i Chełmowskiego*. Pomy- śłodawczynią ekspozycji była etnografka Bogna Ciesielska (1963–1998) z Muzeum Okręgowego w Sieradzu. Wspólnie wy- myśliliśmy z Bogną (moją dawną koleżan- ką z roku) i zaproponowaliśmy etnogra- fowi profesorowi Bożidarowi Jezernikowi

z Uniwersytetu w Lublanie – organizatorowi ekspozycji ze strony słoweńskiej, że po- każemy anioły Chełmowskiego (była też eksponowana 55-metrowa *Panorama Apo- kalipsy*), jako wyraz jego otwartości na świat, otwarcia się na rzeczywistość i ludzi, co symbolizowały wszechobecne anioły w zagrodzie pana Józefa, zapraszając niejako wszystkich do wewnątrz. Szczepan Mucha z kolei, ludowy twórca z ziemi Sieradzkiej, rzeźbił coś przeciwnego i miał tym samym inny stosunek do świata. Jego diabły wypełniały ogród, stały na płotach i przy wejściu do domu, a ich zadaniem było odstraszenie ludzi. Były wyrazem, przeciwnie jak u Chełmowskiego, zamykania się na świat. Wystawa znakomicie się udała. Słoweńska publiczność koniecznie chciała poznać Józefa Chełmowskiego (Szczepan Mucha już wtedy nie żył), więc na finisaż pojechaliśmy do Lublany razem z panem Józefem, który, rzeźbiąc na miejscu małe ptaszki, odpowiadał na pytania publiczności. Trzeba dodać, że rozmowy ze Słoweń- cami odbywały się w języku niemieckim, którym Chełmowski biegle się posługiwał.

Na koniec tych krótkich wspomnień niech mi wolno będzie sformułować jesz- cze jedną refleksję. Gdy w 1991 roku rozpocząłem po studiach pracę w Muzeum Zachodniokaszubskim w Bytowie, jak każdy młody i ambitny absolwent, chciałem coś „wielkiego” zdziałać, jakoś konkretnie przysłużyć się muzeum, ale także znaleźć sobie jakąś niszę w reprezentowanej przez siebie nauce, którą będę mógł twórczo zagospodarować. I wtedy, kiedy pani dziadek pojawił się na mojej zawodowej drodze, wiedziałem już, że moją zawodową niszą jest sztuka ludowa i z pewnością w tym zakre- sie będę miał co robić do emerytury. Takie było moje przekonanie i czułem, że będę miał z tego satysfakcję. Czułem, że muzeum będzie miało ciekawe zbiory i dobrze udokumentowanego świetnego artystę, człowieka. Miałem takie przekonanie i mam je do dzisiaj. Szkoda tylko, że pana Józefa nie ma już wśród nas. Gdybym nie spotkał Chełmowskiego na początku swojej pracy w muzeum, być może zajmowałbym się dzisiaj czymś innym niż sztuka. Jednak „przygoda” zawodowa z panem Józefem była chyba czymś najlepszym. Po prostu miałem szczęście.

## Mam w pamięci taki moment jak odrabiałam lekcje przy stole, a obok siedział tata, który wypalał obrazki.



Józef Chełmowski był moim ojcem. Dlaczego jestem Ewą, to nie do końca wiem. Na początku miałam być Basią, ale nie zgodził się na to mój dziadek, bo mówił, że Baśka to imię dla owcy, konia albo innego zwierzęcia gospodarskiego. Mama na porodówce dała mi na imię Bożena. Ostatecznie tata zarejestrował mnie w USC jako Ewę Grażynę. No i tak zostałam córką Ewą.

Tatę pamiętam jako bardzo spokojnego człowieka. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek podnosił głos, a jak się na coś trochę zezłościł, to po prostu wychodził na pole albo do ogrodu, żeby się wyciszyć. Wracał, gdy się uspokoił. Ani tata, ani mama nie okazywali za bardzo uczuć, ale to nie znaczy, że nie byli kochającymi rodzicami. Były wspólne wyprawy na grzyby, posiedzenia przy rodzinnym stole, wspólne prace polowe czy wyjazdy.

Mam w pamięci taki moment jak odrabiałam lekcje przy stole, a obok siedział tata, który wypalał obrazki. Pamiętam wy-

palany kościół bruski na takiej brzoźowej deseczce i ten charakterystyczny zapach palonego drewna. Potem były ptaszki, jakieś inne mniejsze rzeczy, fajki z drewna wiśniowego. Zresztą wtedy, gdy je robił, przez jakiś czas nie palił papierosów, a palił właśnie fajkę. Wymyślał ciekawe rzeczy. Skonstruował na przykład rower piętrowy. Jeździł tym rowerem i zaciekał ludzi. Zrobił też tandem, którym jeździliśmy na grzyby. Przez niektórych był postrzegany jako „dziwak”. Na pewno był nietuzinkowy.

Gdy miałam około dziesięciu lat tata zrobił sobie ciemnię fotograficzną i wywoływał zdjęcia. Miał potrzebne kuwety, płyty. Było tam czerwone światło. Pamiętam, że trochę mu pomagałam i towarzyszyłam przy tym wywoływaniu. Była linka i przyczepialiśmy klamerkami wywołane zdjęcia. Często były niewyraźne, ale to była kolejna rzecz, której chciał doświadczyć.

Był człowiekiem, dla którego potrzeba była matką wynalazków. Żeby ułatwić

nam życie, poprowadził rury z pompy na podwórzu, zrobił pompę w kuchni, z wajchą przesuwającą się w bok. Było to dla nas wielkie ułatwienie, bo zimą nie trzeba było wychodzić do studni – woda była już w kuchni. Pamiętam też, jak trzy razy przestawiał wejście na strych, bo przestało mu się podobać i robił je w innym miejscu.

Tata był bardzo związany z naturą. Pamiętam, że gotował sobie wywar z pokrzyw do mycia włosów, zbierał deszczówkę też do mycia włosów, zbierał różne zioła, korzenie mniszka. Jak sobie sam robił jakieś jedzenie, to na ogół nie używał soli – potrafił wszystko bez niej jeść i to mu smakowało.

Zawsze u nas w ogrodzie na słupie było bocianie gniazdo. Jednego roku tata z kolegą zaobrączkowali młode bocianiętka i przez jakiś czas fruwały bociany z obrączkami ze skansenu. Z kolei innym razem zadziwił mieszkańców wsi tym, że zrobił dwa drewniane bociany na wzór prawdziwych i gdy odleciały te prawdziwe do Afryki, on postawił na gnieździe drewniane. Ludzie przez jakiś czas zaglądali, czy te bociany się ruszają, naprawdę nie odleciały. Zastanawiali się, czy to przypadkiem nie był jego żart. Często wkładał swoje rzeźby w jakieś dziuple, niektóre zarastały w tych drzewach. Wymyślał różne rzeczy, żeby się nie znudzić sam sobie i żeby innych zadziwić.

Był całkowitym samoukiem, skończył tylko szkołę podstawową w trudnych czasach, ale był tak ciekawy wiedzy, że cały czas czytał, słuchał, doświadczał i sprawdzał. Był też człowiekiem wielozadaniowym i wszechstronnym, umiał zrobić mnóstwo rzeczy: od swojej sztuki malarskiej po prowadzenie gospodarstwa. Dla swojej potrzeby był zdunem, malarzem, ogrodnikiem, rzeźnikiem, elektrykiem i wieloma innymi osobami. Ja czasami się śmieję, że niektóre rzeczy może nie były wykonane fachowo, a bardziej artystycznie. Sam zamysł się zgadzał, ojciec wiedział jak coś wykonać, chociaż nie był wykształcony w różnych dziedzinach.

Zrobił raz mi i mojemu kuzynowi niezbyt miły żart, ale potem nam to wynagrodził. Zrobiliśmy gniazdko z sianka dla zająca, który miał włożyć tam słodycze, a rano gdy przyszliliśmy, zobaczyliśmy w tym gniazdku owcze bobki. Trochę byliśmy zawiedzeni, ale potem wynagrodzono nam to i dostaliśmy słodycze, których tak bardzo oczekiwaliśmy. Pamiętam, że ojciec chodził na różne przebierańce w okolicach świąt Bożego Narodzenia do sąsiadów, w ramach żartu.

Gdy przyjeżdżał jego brat, potrafili grać wspólnie na akordeonie, wymieniać się różnymi historyjkami i długo biesiadować. Nie potrafili grać profesjonalnie, ale zawsze było wesoło. Pamiętam też, że przez długi czas przychodził znajomy do taty, który grał z nim w szachy. Ten pan zawsze chciał wygrać, a tata czasami mu na to pozwalała, żeby się nie denerwował. Przy tych spotkaniach, obserwując ich rozgrywki, nauczyłam się grać w szachy.

Podsumowując to wszystko, uważam, że tata był człowiekiem spełnionym i szczęśliwym. Przeżył swoje życie tak, jak chciał.

## O każdym jego dziele, o jego opowieściach można by godzinami gadać...

Józefa poznałam, będąc jeszcze prezesem ZKP w Lipuszu. Kiedyś słyszałam, że taki artysta tu mieszka, więc wzięłam koleżankę i szukałam go. I tak jak weszłam, już nigdy nie wyszłam w zasadzie. Przepadłam. Z Józefem się przepadało. Nabyłam wtedy rzeźbę dla naszego długoletniego proboszcza, ks. Zygmunta Trzebiatowskiego. No i tak się zaczęła znajomość i wielka przyjaźń z niepowtarzalnym Józefem. To był człowiek wyjątkowy.

Potem podjęliśmy w Kaszubskim Liceum Ogólnokształcącym w Brusach (było to pierwsze liceum kaszubskie – Józef się tak cieszył!) takie działania edukacyjne, że zajęcia z j. kaszubskiego zaczynamy od wizyty u Józefa Chelmowskiego. Braliśmy klasę w całości i „puk, puk” – a Józef był. A Jadwiga – oczywiście to jest osobna, piękna postać.

I ja miałam szczęście poznać ich. I tak było, że jeździłam z każdą pierwszą klasą. Od Józefa zaczynałam. On już wychodził ze swojego domu i na nas czekał. Takie charakterystyczne jego rozłożone, lekko rozstawione nogi. I Józef patrzył i w zasadzie niewiele niby gadał, a tak wiele mó-

wił, bo całym sobą. I zaczynaliśmy zwiedzanie, każda pierwsza klasa. Urzeczeni byli, że takiego twórcę mają w Brusach.

Wchodziliśmy, zaczynając od warsztatu, gdzie powstawały jego pierwsze prace, i przyglądaliśmy się zbiorom, których było mnóstwo, i były przepiękne. Podczas pierwszego takiego pobytu i kolejnych uważnie słuchałam, skąd ma te tablice rejestracyjne, skąd ma te różne, różne rzeczy. I chłonełam ich historię. Józef, choć był małowówny, to o przedmiocie przekazał historię zawsze. Mówił to, co było najważniejsze. Potem szliśmy do jego pracowni, w której były całe ściany, cały sufit obrazów... I tam później dowadywałam się przez całe lata, co powstawało nowego. I muszę powiedzieć, że chyba każde dzieło znam.

Wcześniej jeszcze chodziliśmy po ogrodzie. Te ule niesamowite! Pamiętam, że byli tam i Kaszubi, rybacy, a przede wszystkim były teksty, bo Józef charakteryzował się tym, że wszędzie umieszczał swoją dedykację. Ulubionym jego pisarzem był Goethe.

Ja uczyłam polskiego i kaszubskiego, więc przekładałam to potem na lekcje. A on wydobywał z tych pisarzy ich istotę, to, co było najważniejsze. Myślę, że Józef patrzył na świat kolorowo, ale uważnie – bardzo, bardzo uważnie. I my dlatego swój program języka kaszubskiego zaczynaliśmy od tematyki „moje imię, moje nazwisko” oczywiście, ale od Józefa też, bo on był bliski temu swojemu „ja”.

Później sama przyjeżdżałam, mając jakkolwiek przerwę w lekcjach. Wsiadałam w samochód i jechałam do tego przepięknego muzeum. Siadaliśmy na ławce, to były wyjątkowe spotkania. A później już wiedział, kiedy ja przyjadę.

Potem nasza praca przerodziła się też w to, że pomagałam mu pisać po kaszubsku te różne dedykacje, napisy. Wolałam właściwie, żeby pozostawił tak, jak on pisał, bo to była rzecz niepowtarzalna. Myślę, że wszędzie, gdzie idę, wiem, że poznaję dzieło Józefa. Tak mi się bardzo zdaje, że znam jego rzeczy, jego rękę i czuję jego głos, fantastyczny.

Uważam, że Brusy powinny być dumne, że miały takiego twórcę. Na werandzie, na początku domu, były obrazki z różnych stron Brus, z różnych miejscowości. Niepowtarzalne, utrwalające i naturę, i ludzi, i wszystko, co osobliwe. Można było być u Józefa i poznać Brusy, i Brus okolice. I ja tak się Brus uczyłam, bo sama pochodzę z terenu Kościerzyny, więc Józef był dla mnie tym, który pomagał mi nieświadomie je poznawać – nie mogłam się doczekać, kiedy będę miała okienko i już będę u Józefa. A ta ławka, bardzo pamiętna, zawsze (nie pamiętam, żeby nie) świeciło tam słońce i tak samo świeciło w przeddzień jego pożegnania, kiedy wydawało mi się, że Józef jest, przygląda się nam, jest z nami.

O każdym jego dziele, o jego opowieściach można by godzinami gadać i cieszyć się, że moi uczniowie mają coś zapisane o Józefie w swoich dawnych zeszytach, wiedzą, że dla mnie był to człowiek wyjątkowy. Nie wiem, dlaczego, on mnie też sobie upodobał. Myślę, że dlatego, iż uczyłam w KLO jego wnuków. Byli tacy skromni, tacy kochani, tacy podobni do Józefa.

Myślę, że Józef pozostanie taką dewizą, takim wizerunkiem Brus. Ten, który bez wykształcenia jakiegoś wyjątkowego – był właśnie szeroko wykształcony i taki bardzo, bardzo naturalny. Myślę, że był dumny, że w tej miejscowości powstało pierwsze kaszubskie LO, którego on jest takim duchem i zastanawiam się (nie wiem, co się stanie) czy KLO nie będzie kiedyś jego imienia. Fajnie, żeby właśnie on był tym patronem, bo łączył on dla mnie poezję z rzeźbą i nie tylko rzeźbą.

Józefa prac mam niewiele. Być może powinnam mieć więcej, ale zawsze, gdy chciałam kupować, Jadwiga broniła i tak mi się w tym podobała, bo w zasadzie głosiła teorię, żeby dzieła Józefa były w ich domu. Ale, mimo wszystko, mam obraz Remusa, jak wędruje – mniejszy, większy... Parę rzeczy mam i chowam jak talizman przynoszący szczęście (choć jeszcze chciałam ul i inne). Nie wiem, dlaczego Józef, gdy miał wystawę, na przykład w Bydgoszczy, bardzo chciał, żebym ja właśnie z nim jechała, z czego jestem bardzo dumna.

I taka smarkata wtedy, no kim ja byłam wobec wielkiego Józefa... ale tak się lubiliśmy bardzo, że on czekał na mnie, taki życzliwy człowiek i wielki twórca. Miał wiele do powiedzenia. Gdy jechałam z nim do Bydgoszczy na wystawę, to tak mnie wdzięcznie przedstawiał, jakbym ja była kimś wielkim. Robił to z takim wielkim namaszczeniem i dziękował. Mamy w szkole jego Sowę, którą zrobił po otrzymaniu nagrody Stolema. Młodzi studenci przyznali mu to wielkie, wspaniałe, mądre wyróżnienie. Medal Stolema, czyli medal zasłużonego dla całych Kaszub. O nim opowiadało mi wielu twórców, wielu ludzi, naukowców – byłam dumna, że mogę się pochwalić, że mam kontakt z takim wyjątkowym człowiekiem. Głoszę teorię, że Brusy dzięki niemu naprawdę były wielkie, są wielkie, bo dzieła Józefa są w jego domu, ale nie tylko.

## On nie chciał patosu, nie chciał czegoś nadzwyczajnego.



Pamiętam, jak Józef tworzył *Apokalipsę* – jak bardzo długo to trwało. Jadwiga w zasadzie była tą, która czuwała nad całością, nad całym domem, ale też dziełami. Fantastyczne było to, że w zasadzie bardzo rzadko się zdarzało, że nie można było wejść, nie zastać nikogo w domu.

Byłam już taka „mądra”, że wchodziłam przez bramę do ogrodu, potem w różne miejsca – sama. A Józef: „Aha, Fela. Dobrze...”. Takie fantastyczne przeżycia. Muszę powiedzieć, że Józef był pierwszym człowiekiem, którego tu spotkałam, zanim uczyłam w liceum. Później, jak przychodziłam kolejny raz z uczniami, to ja byłam już przewodnikiem, a Józef się z tego bardzo cieszył, bo on, biedny, był małowówny na początku, ale potem, jak się rozgadał, było dobrze. Na wystawie w Bydgoszczy też zabierałam głos, mogłam. Wszystko mi wolno było.

Zresztą te jego opowieści były niesamowite, naturalne i tyle, ile godzin miałam wolnego, tyle przesiadywałam u Jó-

zefa. Gdy zbliża się 1 listopada, chodzę z uczniami nad jego grób. I myślę o tym, że Bóg dał mi szczęście go poznać, być koło niego, rozmawiać i uczyć się. Czego? Życia.

Józef był raczej domatorem. Dziwiłam się, że tak rzadko opuszcza swoje królestwo. Puzdrowscy przyjeżdżali, wielcy działacze kaszubscy, twórcy. Nie tyle Józef musiał urządzać wystawy, ile do niego przyjeżdżali. A Józef ze swoim spokojem, zwykle bez wielkiego rozgłosu, wychodził, witał... i to było chyba najpiękniejsze, że czekało się zawsze chwileczkę, kiedy Józef przemówił, kiedy zacznie gadać. Trzeba go było... ośmielić...? Czy on myślał o zadumach świata, czy nad czym innym? Bo był człowiekiem niespotykanym i w tej jego zadumie, w tym czekaniu, była taka wielkość, takie piękno. I, o dziwo, wszyscy stali przy nim cierpliwie, cicho i przyglądali się mu w jego ubraniu roboczym. I on był zawsze taki sam. On potrzebował czasu. Wcale nie z nieśmiałości jakiejś wrodzo-



nej, tylko jakby badał, do kogo za chwilę będzie mówił. Był oczywiście skromny, ale nie nieśmiały. Bo Józef był naturalny. Jak przyszedłam z klasą, to obserwowałam, że za pierwszym razem był inny niż podczas kolejnej wizyty. Bo on już ich lekko znał.

I to mi u niego, jako nauczycielki, imponowało, że bada ludzi. Takie odnosiło się wrażenie, jakby za chwilę wiedział doskonale, z kim jest. Myślę, że nie wynikało to u niego z jakiegoś ignorowania odbiorcy. Wręcz przeciwnie, był bardzo oddany, jakby całował człowieka, jakby odkrywał jego piękno. Ja przynajmniej zawsze czekałam na ten pierwszy moment milczenia. Trzeba było Józefowi w tej naturalności pomóc niechętny, tak lekko. On nie chciał patosu, nie chciał czegoś nadzwyczajnego.

Niezapomniany był pobyt Józefa w Ratuszu Staromiejskim w Kościerzynie. Odbywała się tam wystawa malarstwa na szkle. Był m.in. dorobek artystyczny mojego syna. I muszę powiedzieć, że nie mogło go tam zabraknąć. Były tam dzieła Józefa, Anny Basman i innych. Potem Józef był u mnie w domu na zupie, pierwszy raz. Ponieważ mój syn był człowiekiem niepełnosprawnym, więc kontakt Józefa z nim był wyjątkowy. Ja zamilkłam i przyglądałam się tej dwójce ludzi. Mój syn pod wpływem Józefa też zaczął strugać różne rzeczy. To spotkanie z Łukaszem było niezapomniane i wyjątkowe. A Józef patrzył na niego z taką miłością, z takim oddaniem. Miał w tym spojrzeniu coś innego niż my. Wyjątkowy człowiek... Były wzajemne pozdrowienia, pomimo ogromnej różnicy wieku – to nie miało znaczenia.

## Ta jego działalność artystyczna była konsekwencją tego, jak on myślał o świecie i jak on świat postrzegał. Na końcu była sztuka, a pierwsza była myśl.

Pana Józefa Chełmowskiego osobiście poznałam około 2010 roku, może w latach 2008/2009. Przyjechałam wówczas do państwa Chełmowskich z grupą z Królewca. Pamiętam, że jedna pani dostała książkę od pana Józefa. Właściwie to ją sobie wygadała, bo w tych swoich skarbach miał różne cuda. Była tam książka z matematyki po niemiecku, a pani mieszkająca w tym Królewcu, była nauczycielką matematyki. Bardzo jej zależało na tej książce. Myślał, myślał, no i w końcu wyraził zgodę. Miała szczęście.

Pamiętam też inną wizytę – również przyjechałam z grupą. Każdy otrzymał wtedy kartkę w formie pocztówki. Była to pocztówka, na której znajdowała się nazwa „Brusy”, obraz planetarium i jeszcze inne obrazki. Na odwrocie kartki była spisana myśl, która, moim zdaniem, mówi o całej filozofii życia pana Chełmowskie-

go. Więc napisał po łacinie: „Deus Natur Homo”. Czyli on był człowiekiem kompletnym, bym powiedziała. Żył w świecie, który sobie uznał, w który wierzył i właściwie przestrzegał reguł tego świata. I to właściwie wszystko, co można powiedzieć. Ta jego działalność artystyczna była konsekwencją tego, jak on myślał o świecie i jak on świat postrzegał. Na końcu była sztuka, a pierwsza była myśl. Pierwszy dla niego był Bóg, potem była przyroda, natura, a potem był człowiek, na trzecim miejscu. W takiej kolejności. Myślę, że był człowiekiem wierzącym w Boga, bo pierwszego mam tu Boga na kartce, więc na pewno tak było. Przyrodę też postrzegał, te planetaria jego, te widzenia natury. To wszystko było w nim, był człowiekiem kompletnym. Podpisał się pod tym, bo tak widział świat.

Drugą rzeczą, która mnie właściwie nawet zszokowała, było to, że osoby, które przyjeżdżały, były zapraszane do domu, w którym się mieszkało. Po prostu zapraszamy gości, pokazujemy, co chcemy im pokazać. To w ogóle niesamowite myślenie. Pierwszy raz to było szokujące i podziwiałam panią Chełmowską, że zносиła to z takim spokojem... A potem zauważyłam, że ona była częścią tego całego zamieszania, niezbędną częścią tego całego myślenia i życia Chełmowskiego. Oni byli całością, dobrą parą i się uzupełniali. Takie mam wrażenie. To nie byli głośni, krzykliwi ludzie, byli spokojni. Myślę, że oni właściwie bez słowa funkcjonowali w tym całym swoim świecie. Jak byłam tam już kolejny raz, to po prostu wiedziałam, że tak to musi funkcjonować.

To zapraszanie do domu uważam za ewenement. Ewenement, że zaprasza się do swojego świata człowieka. Przychodzą ludzie – ja zapraszam i pokazuję. To jest w ogóle przeciwieństwo obecnego świata, gdzie my się jednak, mimo wszystko, bardzo izolujemy. Nie przychodzi się tak z ulicy – trzeba się umówić. Tam zaś naprawdę była otwartość. Wpuszczali nas do swojego świata, tak bym powiedziała. Do swojego życia. I ta dedykacja, którą otrzymałam na karteczce, to też mówi o całym tym życiu. Uważam, że to był człowiek, który nie ulegał wpływom. Miał swój świat, miał swoje myślenie, miał swój system wartości i w tym żył. I myślę, że to go kompletnie spełniało.

I oczywiście działalność artystyczna, w której też był uwolniony. Miał przecież wizję swojej twórczości, tej twórczości różnorodnej, interesującej bardzo, niebanalnej. To była twórczość przemyślenia. To, co robił, miało myśl. Wszystko co robił, tworzył z intencją, to nie było przypadkowe. I dlatego wszyscy go tak lubiliśmy.

Jego twórczość jest uznana, bo ona nie ma fałszu. Jest po prostu tak autentyczna, jak autentyczny był Józef Chełmowski. Człowiek na pewno niebanalny, wyjątkowy moim zdaniem. Robił wrażenie zawsze, a ponadto był oczywiście człowiekiem takim nienadętym, przyjaznym. Takim swojskim. Nie było nigdy: „Nie mam czasu, nie mogę, jestem zajęty, nie będę dzisiaj...” – absolutnie. Był zawsze otwarty na ludzi. Bardzo otwarty.

Pamiętam scenę z rozdania nagród za dokonania roku w Chojnicach, kiedy pan Józef otrzymał to wyróżnienie. Byłam wtedy na widowni. No i przyjechał Krzysiu Gierszewski – wiceburmistrz, właśnie z panem Józefem. Weszli razem na scenę. Zaczęły się przemowy: „Nasz artysta muzealny Józef Chełmowski, nasz artysta to, nasz artysta tamto... No co pan nam tutaj powie?” A pan Józef wyjął z kieszeni marynarki harmonijkę ustną i zaczął na niej grać. To było naprawdę rozbijające! Było to kapitalne po tym całym gadulstwie. A widownia cała zaczęła bić oklaski. Mnie to po prostu rozwaliło. Miał poczucie humoru. Był pozytywny zdecydowanie. I dobrze, że taki człowiek tu był. I taki człowiek żył i stworzył takie ciekawe rzeczy. Niewątpliwie ikona terenu.

## Ale oni byli tak szalenie pogodni życiowo, było w nich tyle akceptacji dla świata...

W 1999 roku pierwszy raz przyjechałam z rodziną do „Sworów”. I jadąc do Brus, przypadkiem (?) trafiliśmy na drogowiskach do świata pana Józefa. I tak już zostało. Od 25 lat. Nie wyobrażam sobie przyjazdu do Swornegaci bez odwiedzenia magicznego ogrodu państwa Chełmowskich, mimo że ich tam już nie ma. Ale wierzę i czuję, że są tam wciąż obecni, że ich duch wypełnia to miejsce.

Patrząc na nie dzisiaj, przypominam sobie, jak Józef zawsze powtarzał, że wszystko ma przeminąć. Taki jest świat – wszystko przemija i to jego dzieło też przemienie. Mówił, że kiedy jedne rzeźby się rozpadają, to on robi drugie. Jak się coś popsuje, to zreperuje, ale wie, że jak go zabraknie, to nikt już nie naprawi, a generalnie to i tak wszystko przemienie. I tak jest dobrze.

Ciekawe, co by powiedział, widząc, jak jego wnuczki ratują jego magiczny świat. Myślę, że byłby zadowolony, ale pewnie i tak by podsumował, że przecież kiedyś i tak to przemienie. Ale to józefowe przemianie nigdy nie było smutne. Przeciwnie, pełne pogodnej zgody na to, że świat jest taki, jaki jest i należymy do kosmosu, także tego duchowego. Przynajmniej ja tak to odczytywałam.

Sporo malował obrazów związanych z religią, na których często pojawia się Bóg. Ale generalnie rzecz biorąc, bardzo

mało jest Jezusa. Dla dziadka, przynajmniej z tego, co mi czasem mówił, Jezus był prorokiem, a nie Bogiem. Pan Józef miał swoje spojrzenie na tę kwestię. No i rzeczywiście, zaczęłam dostrzegać, że najczęściej malował Boga, który rządzi światem i naszym życiem, aniołów, świętych, ale niewiele jest obrazów, na których byłby Jezus, jako sprawca rzeczy.

Pan Józef we wszystkim widział sztukę, we wszystkim widział piękno ziemi i magię kosmosu. Był też kronikarzem tego świata, w którym się urodził, dorastał, żył. Dokumentował kaszubskie zwyczaje, wydarzenia. A kiedy w wielkiej księdze historii Brus zobaczyłam wpis o kręgach w Leśnie, które odkrył i „odkopał” mój wujek, archeolog z Łodzi, Krzysztof Walenta, z którym pan Józef serdecznie się znał, to już w ogóle poczułam się jak w rodzinie.

Józef lubił opowiadać o swojej filozofii, o swoim widzeniu świata i wszechświata. Kiedy wchodziliśmy do warsztatu, pokazywał jakieś narzędzia, swoje dzieła i chętnie o tym mówił. Dlaczego coś zrobił, co ma oznaczać, kiedy ktoś mu coś przyniósł itp. Ileż w nim było ciekawości, wiedzy, mądrości, poezji... Świetnie się go słuchało i odkrywało ten jego własny świat.

A potem szliśmy na kawę. Strasznie mi się zawsze podobało, jak pan Józef i pani Jadwiga mówili o sobie „on” i „ona”. Jak



*Nasze życie przebiega  
przez wichry, wiatry,  
spiekołę, mrozy, smutek  
i wesołość. Lecz jeszcze  
jest dużo płaków, których  
śpiewów nie znamy.*

pierwszy raz to usłyszałam, zastanawiałam się, o co chodzi. Na przykład, kiedy wychodziliśmy z warsztatu pan Józef mówił: „Chodźmy, ona zrobi nam kawę.” I pani Jadwiga tak samo mówiła. Dla mnie to było zaskoczenie, bo to było tak jakby zupełnie poza gramatyką, poza kontekstem ich relacji. Potem się już przyzwyczaiłam, ale zawsze mnie bawiło, że oni tak o sobie mówili. Niemniej byli niesamowicie życzliwi. I to jest moje najważniejsze wspomnienie o nich.

Kiedy jesienią przyjeżdżałam na grzyby, też do nich przychodziłam. Pani Jadwiga zawsze kawę robiła (czasem prosiłam o herbatę, bo kawę mocną robiła!), ja przywoziłam jakieś ciasto (choć pani Jadwiga zawsze miała jakieś ciasteczka w zakamarkach, nie można jej było zaskoczyć). A gdy siedzieliśmy i gadaliśmy przy tej herbatce, to pani Jadwiga zawsze dziwiła się, że zbieram jakieś inne grzyby poza prawdziwkami. Pan Józef opowiadał o swoich przedsięwzięciach, o swoich filozofiach, planach. „Ona” zazwyczaj siedziała na kanapie i kiedy uznała, że się zagalopował, to go z tej kanapy strofowała, żeby już tyle nie gadał. Ale oni byli tak szalenie pogodni życiowo, było w nich tyle akceptacji dla świata, takiego pogodzenia, doceniania tego, co mają i że mają siebie. Dla nich to było bardzo ważne. I widać było, że są niesamowicie za sobą. Pamiętam, jak po śmierci pana Józefa, chyba rok później, przyjechałam do pani Jadwigi i w czasie rozmowy rozplakała się i przyznała, że bardzo, bardzo jej Józefa brakuje i że jest na niego zła, że ją zostawił.

Od pierwszej wizyty w świecie państwa Chełmowskich oczarowały mnie jego wieloskrzydłe anioły, serafiny, cherubiny. Niebiańskie, ale kaszubskie! Rozróżniał ich hierarchie

i wiedział, który ma ile skrzydeł. I zamarzyłam, że muszę mieć takiego anioła. Zamówiłam go więc i kiedy rok później przyjechałam, to mój anioł już na mnie czekał.

A później zobaczyłam na szafie rzeźbę *Dwoje starszych ludzi*. I na niej była zapisana taka myśl: „Nasze życie przebiego przez wichry, wiatry, spiekote, mrozy, smutek i wesołość. Lecz jeszcze jest dużo ptaków, których śpiewów nie znamy.” Kiedy ją zobaczyłam i przeczytałam ten napis, powiedziałam panu Józefowi, że musi mi zrobić taką rzeźbę, bo to będzie mój prezent na 25. rocznicę ślubu dla mojego męża. Zapytał wtedy, ile ma czasu – na szczęście były jeszcze ze trzy lata. Wtedy poszliśmy do jego pracowni, żeby mógł to zapisać. Pamiętam ten jego zeszyt, w którym zapisywał zamówienia. To był taki zwykły zeszyt. „Ona” pilnowała, żeby nie było w nim dużo zamówień, bo, jak mówiła, ma tego za dużo i ludzie potem długo czekają. No ale zapisał i rzeczywiście zrobił mi tę rzeźbę. Kiedy się widywaliśmy delikatnie się przypominałam, odliczając czas do rocznicy, ale zdążył. Teraz staruszkowie stoją w moim domu, na honorowym miejscu, w naszej sypialni. Zresztą ta sentencja

jest po prostu przepiękna. Jest absolutnie tak wzruszająca i tak piękna, że ilekroć na nią patrzę, to mi się łzy w oczach kręcą.

Mam też kilka obrazów od pana Józefa, jeden z nich wisi tutaj też, na drzwiach warsztatu – *Wędrowiec na krańce świata*. Ile razy przyjeżdżałam, od razu ciągnęło mnie do tego obrazu. Chciałam więc go kupić. Odmówił, ale powiedział, że może namalować drugi taki sam. No i namalował mi ten obraz. Zabrałam go do domu, powiesiłam na ścianie, ale szybko stwierdziłam, że ten obraz kompletnie do mnie „nie mówi”. Przy następnym spotkaniu poprosiłam, żeby pan Józef się ze mną zamienił. Zgodził się i przy kolejnej wizycie dokonaliśmy wymiany. Teraz „mojego” wędrowca można oglądać w skansenie, a ten „józefowy” raduje moją duszę, wisząc na mojej ścianie. I w moim odczuciu to jest chyba najbardziej „józefowy”, prywatny, wręcz intymny obraz pana Chełmowskiego. To cały on i jego świat dzisiaj. Myślę, że teraz właśnie tak podróżuje. Podobną historię miałam z jeszcze jednym obrazem. I też się zamieniliśmy.



**Nasze życie przebiego przez wichry, wiatry, spiekote, mrozy, smutek i wesołość. Lecz jeszcze jest dużo ptaków, których śpiewów nie znamy.**

Gdy pod koniec lipca w 2013 r. przyjechałam na urlop, od razu, po drodze, wstąpiłam do Państwa Chełmowskich. Przywitała mnie sama pani Jadwiga. Dowiedziałam się, że pan Józef zmarł kilka tygodni wcześniej. Często sobie myślałam, że przyjdzie taki moment, że przyjadę, a jego nie będzie. Ale on był tak absolutnie wrośnięty w to miejsce, że wydawało się to niemożliwe, takich ludzi to nie dotyczy. A jednak...

Pani Jadwiga po śmierci męża powiedziała, że nie pozwoli tu tknąć i wydać ani jednego obrazu, chyba, że nie będzie miała co do garnka włożyć i będzie przymierać głodem. Chciała żeby to wszystko zostało tak, jak było – tak jak Józef to zostawił – i żeby było pod opieką rodziny. Tutaj czuć ducha Pani dziadka, tu się wszystko przenika.

Strasznie mnie bawi, kiedy opowiadam o świecie pana Józefa komuś, kto go nie zna i słyszę: „A! Chełmowski! No wiem, ten od bocianów”. Mówię wtedy, że nie, nie ten, ten mój jest od aniołów! A teraz wędruje z nimi na krańce świata.

## Pan Józef wierzył w medycynę naturalną i często o tym mówił.

Pracując w Chacie Kaszubskiej w Brusach-Jagliach, miałam wielką przyjemność niejednokrotnie współpracować z panem Józefem Chełmowskim – człowiekiem pełnym pasji, humoru i niezwykłego talentu. Chata sąsiaduje z posesją pana Józefa. Sprawiało to, że Pan Józef czasem do nas zaglądał. Zdarzało się, że prosił nas, byśmy wyszukali w Internecie wizerunek świętego, którego planował namalować lub wyrzeźbić. Mimo, że korzystał z pomocy Internetu, żartobliwie powtarzał, że ma swój *Boży Internet*. Było to jedno z jego dzieł – niezwykle mechanizm, w którym namalowane były pory roku. Przekręcając rolkami, można było obserwować zmieniające się krajobrazy. To dzieło otrzymaliśmy od pana Józefa w prezencie, a jego wyjątkowość sprawiała, że często pokazywaliśmy je turystom odwiedzającym Chatę. Było w nim coś niezwykle symbolicznego – harmonia i cykliczność natury, które zawsze były mu bliskie.

Pan Józef wierzył w medycynę naturalną i często o tym mówił. Pamiętam, jak przy okazji przeziębień czy innych infekcji mawiał: „Natura musi sobie z tym poradzic”. To przekonanie dopełniało jego szacunek do świata przyrody i harmonii.

Jednym z drobnych, ale dla mnie bardzo wymownych gestów, które zapadły mi w pamięć, było to, że pan Józef za każdym razem zdejmował buty przed wejściem do Chaty. Choć niejednokrotnie tłumaczyliśmy, że wszyscy chodzimy tam w butach, on nie odpuszczał.

Każde spotkanie z panem Józefem było wyjątkowe. Jego pomysły, podejście do życia i żartobliwa natura sprawiały, że było inspirujące. Dziś, wspominając te chwile, czuję wdzięczność za to, że mogłam poznać naszego lokalnego Leonarda da Vinci.



*Życie według natury Boga*

## Artysta ten bardzo mnie zaintrygował. Chciałam koniecznie poznać go osobiście – i jego twórczość.

Józef Chełmowski, rodowity Kaszub, był artystą regionalnym, który poświęcił życie pasji dokumentowania swoimi dziełami wydarzeń dnia codziennego, społeczno politycznych, poruszania zagadnień historycznych, filozoficznych i wiary. Zawsze wspierała go w tym jego żona Jadwiga. Różnorodne formy i techniki twórcze, których używał, pokazują, że był człowiekiem wszechstronnym obdarzonym wieloma talentami.

Ogromna wrażliwość, empatia, zmysł obserwacji i talent powodowały, że jego odbiór świata był bardzo bogaty, co widać w spuściznie, którą po sobie pozostawił.

O panu Józefie Chełmowskim, twórcy regionalnym zamieszkałym w Brusach-Jaglichach, dowiedziałam się przypadkowo jesienią 2008 roku. W tym czasie zaczęłam pracować w Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie, gdzie prowadziłam dział muzyki. Na początku powierzono mi w Muzeum zadanie stworzenia pierwszej ekspozycji

stałej pod tytułem *Muzyczne instrumenty Kaszub*. Część instrumentów posiadaliśmy już w swoich zbiorach, jednakże do wystawy należało pozyskać też wiele nowych. Zamarzyło mi się, jako nowemu pracownikowi, że skoro rzeczywiście jesteśmy w Muzeum Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej, to na wystawie tej koniecznie trzeba przedstawić coś bardziej regionalnego. Moim pomysłem była ekspozycja muzyczna, która faktycznie później powstała, z wizualizacją karczmy i kapeli kaszubskiej. Pieczołowicie poszukiwałam diabelskich skrzypiec, burczybasów, regionalnych instrumentów muzycznych, tzw. „przeszkadzajek”. Zależało mi, by na powstającej wystawie pokazać, że tradycja tworzenia instrumentów ludowych, wraz z kulturą kaszubską, wciąż jest kultywowana, oraz by przekaz ten trafił do zwiedzających. W końcu dotarłam do różnych twórców ludowych, a od pracownika Muzeum Historyczno-Etnograficznego im. Juliana Rydzkowskiego w Chojnicach dostałam



*Rozprawa ciała, sumienia duszy*

adres oraz numer telefonu do pana Józefa Chełmowskiego.

Pierwszy raz, kiedy zadzwoniłam, rozmowa trochę mnie rozśmieszyła, ponieważ nie byłam jeszcze osłuchana z językiem kaszubskim. Nie jestem z tych terenów. Podczas rozmowy z panem Józefem, dotyczącej różnych muzycznych i innych eksponatów, zapadł mi w pamięć jego charakterystyczny kaszubski zwrot: „Wy to mata? Aaa, wy tego nie mata!”. Pan Józef powiedział, że Muzeum na pewno nie będzie stać na jego prace, choć nie określił, ile kosztują. Zrozumiałam wtedy, że twórczość tego artysty jest bardzo indywidualna, po prostu ludowa, ale nie taka immanentnie kaszubska, jak tworzą inni artyści na Kaszubach. U pana Józefa dzieła były wymyślone od początku do końca przez niego i bardzo charakterystyczne, niepowtarzalne, z dużą dozą jego życiowej filozofii i specyficznego patrzenia na świat. Jego dzieł nie dało się przyrównać do twórczości innych artystów. Pan Józef był niepowtarzalny.

Artysta ten bardzo mnie zaintrygował. Chciałam koniecznie poznać go osobiście – i jego twórczość. W końcu doszło do spotkania z panem Józefem – wtedy zobaczyłam bogaty całokształt jego twórczości i osobowości. Jego przepiękny ogród, pracownię, pokój w domu, gdzie na suficie i na ścianach znajdowały się wszystkie prace i księga pamiątkowa. To był świat artysty.

Gdy przyjeżdżałam do pana Józefa, jego żona Jadwiga serdecznie nas witała, zawsze podejmując z wielką gościnnością. Dbała o ciepło domowego ogniska i o swojego męża – artystę. Pan Józef chętnie oprowadzał mnie, pokazywał swoje dzieła i wynalazki. Nie spodziewałam się, że był tak wszechstronny, bo malował – w tym na szkle, rzeźbił, wykonywał instrumenty muzyczne, ale tworzył też malowane ręcznie księgi z tekstami i rysunkami. Malunki i teksty umieszczał również na formie w kształcie poduszki.

Trzeba docenić to, że twórczość Józefa Chełmowskiego na bieżąco rejestrowała



wszystkie wydarzenia społeczne, polityczne, kulturalne i inne: powstanie Solidarności, wojny, katastrofy, zamach na World Trade Center, wybór nowego papieża i wiele innych. Pan Józef był zawsze na bieżąco z wydarzeniami społecznymi, politycznymi i kulturalnymi w Polsce i na świecie. Był to tak żywy umysł artystyczny – ciągle szukał nowych inspiracji. Dlatego też zawsze starał się nawiązywać do aktualnych wydarzeń.

Przy okazji wizyty zapytałam się o instrumenty muzyczne, szczególnie interesowały mnie wąż-bazuna i anielskie skrzypce, które bardzo chciałam pościć do zbiorów. Niestety, nie od razu się to udało. Na początku przekonałam pana Józefa do użyczenia instrumentów na naszą wystawę, która była przeglądem jego twórczości i nosiła tytuł *Filozofia refleksji Józefa Chełmowskiego*. Wystawa odbyła się 8 listopada 2012 roku o godzinie 13:00 w Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie. Żona pana Józefa była

w ogóle niechętna uczestnictwu męża w wydarzeniu i sama też nie chciała w nim uczestniczyć. Po śmierci pana Józefa, w rozmowie z panią Jadwigą dowiedziałam się, że obawiała się już wówczas bardzo o jego samopoczucie i stąd wynikał ten opór. Na wystawie większość prezentowanych dzieł pochodziła z domu państwa Chełmowskich. Pan Józef pojawił się jednak na wystawie swoich prac w Wejherowie, na której były nie tylko eksponaty z prywatnej kolekcji artysty, ale też właśnie sporo artefaktów z Muzeum Zachodniokaszubskiego w Bytowie, z Muzeum Etnograficznego im. Marii Znamierowskiej-Prüfferowej w Toruniu, z Muzeum Okręgowego im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy. Wystawa zainstalowana została w dwóch dużych salach pałacowych Muzeum, eksponaty umieszczone były w gablotach i na ścianach, podłogach oraz podestach. Na wernisaż przyjechała delegacja z Brus – pan burmistrz, pani sekretarz i urzędnicy.

Uroczystość rozpoczęła się prezentacją multimedialną o życiu i twórczości pana Józefa Chełmowskiego. Podkładem muzycznym była m.in. wersja instrumentalna kompozycji pt. *Ta ostatnia niedziela*. Utwór ten stał się symboliczny, ponieważ okazało się, iż była to ostatnia wystawa artysty. Wernisażowi towarzyszył też poczęstunek. Pan Józef był bardzo zadowolony z wydarzenia. Wystawa, którą zaplanowano na półtora miesiąca, została przedłużona, gdyż cieszyła się dużym powodzeniem.

W dniu 79. urodzin pana Józefa, wiedziałam, że będę zawodowo w okolicy Brus i specjalnie przywieźliśmy dla jubilata *Pana Tadeusza* wydane w języku kaszubskim. Widać było, że bardzo ucieszył się z prezentu, był szczęśliwy i wzruszony odwiedzinami, i tym, że o nim pamiętaliśmy.

Na około tydzień przed śmiercią pana Józefa, będąc znowu w okolicy, towarzysko jeszcze odwiedziłam państwa Cheł-

mowskich. W ogóle nie spodziewałam się, że będzie to nasze ostatnie spotkanie. Zresztą przy każdej wizycie u pana Józefa żegnaliśmy się nie tylko w domu – zawsze wychodził na podwórze, stał i machał nam ręką, aż „znikał” na horyzoncie w samochodowym lusterku. Kontakty z nim były bardzo serdeczne. W pracowni pan Józef zawsze częstował mnie czekoladą.

Kolejna wystawa artysty miała odbyć się w Bibliotece w Ryjewie. Niestety, już się nie odbyła, bo pan Józef zmarł nagle 6 lipca 2013 roku.

Bardzo się cieszę, że bliscy pana Józefa dbają o całokształt jego twórczości artystycznej i pielęgnują pamięć o nim dla kolejnych pokoleń.

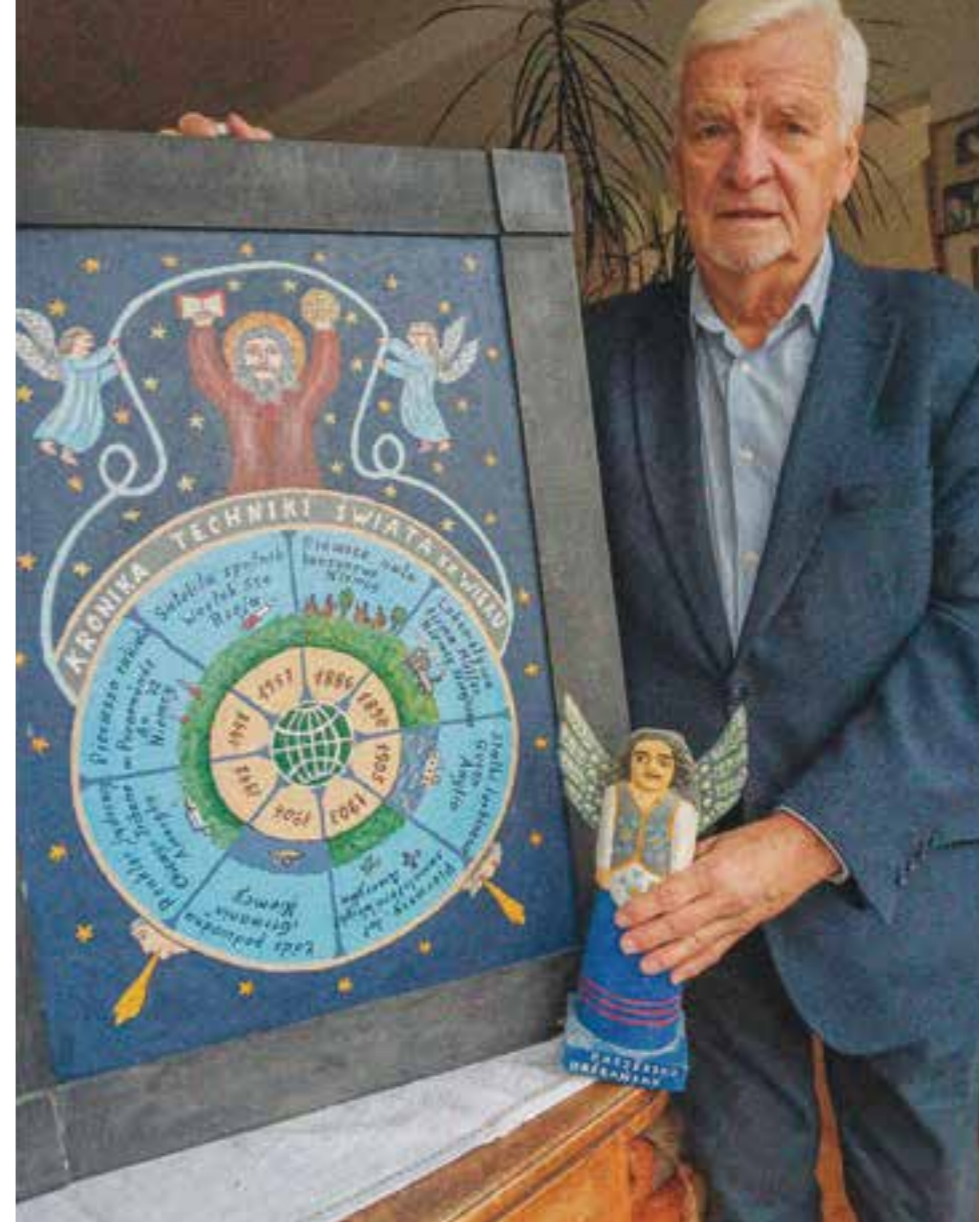
## Rozmawialiśmy sobie, a w pewnym momencie on się zapytał, ile w czasie naszej rozmowy ziemia zrobiła kilometrów, krążąc.

Myślę, że Józefa Chełmowskiego poznałem z inicjatywy ówczesnego Burmistrza Brus – Jerzego Fijasa. On mi dużo opowiadał, że jest taki artysta w Brusach-Jagliach i muszę powiedzieć, że namówił mnie na wizytę u państwa Chełmowskich. Ustalił termin z panem Józefem i pojechaliśmy. To było prawdopodobnie na początku mojej kadencji marszałkowskiej, czyli musiał to być 2002 rok. Był to pierwszy i ostatni raz, kiedy on musiał mnie namawiać, ponieważ po tym, co zobaczyłem, byłem tak zauroczony, że później sam chętnie odwiedzałem pana Józefa. Przy okazji tej pierwszej wizyty otrzymałem rzeźbę – kaszubską madonkę. Jestem bardzo szczęśliwy, że ją mam i że osobiście mi ją wręczył.

Byłem zafascynowany nie tylko obrazami i rzeźbami w domu, ale całym obejściem, podwórzem. Pamiętam te kapliczki i ule. Wszystko wyglądało jak jedna wielka wystawa, tak dobrze dobrana, że rzeczywiście robiło niesamowite wrażenie. Przy okazji tych spotkań oczywiście

prowadziliśmy rozmowy, a te były również ciekawe. I stwierdziłem, że sposobem bycia dziadek przypominał trochę Lecha Wałęsę. Naturalna mądrość zawsze mnie zachwycała u Wałęsy i zachwycała mnie też u dziadka.

Zresztą potem okazało się, że dziadek bardzo dużo z tej wiedzy czerpał. Na obrazie *Kronika Techniki Świata XX wieku*, który otrzymałem, są daty: kiedy pierwszy raz wyjechało auto, kiedy lokomotywa, kiedy pierwszy sputnik, kiedy pierwszy reaktor atomowy... Widać było, że ten człowiek jest odczytany i świadomy. Musiał się interesować wieloma sprawami i dużo czerpał z literatury, bo to nie takie oczywiste i proste dla każdego. Pamiętam zresztą, że pewnego razu w czasie rozmowy zapędził mnie w kozi róg. Rozmawialiśmy sobie, a w pewnym momencie on się zapytał, ile w czasie naszej rozmowy ziemia zrobiła kilometrów, krążąc. Nie potrafiłem oczywiście odpowiedzieć na zadane pytanie, ale świadczyło ono o erudycji dziadka. Miał dużą wyobraźnię.



Zresztą na wspomnianym obrazie tak ładnie umieścił kronikę w aspekcie uniwersum, kosmosu, z aniołami i Bogiem. Obraz ten otrzymałem od pracowników urzędu marszałkowskiego na pożegnanie.

Byłem też pod wielkim wrażeniem, że Marian Kołodziej, bardzo znana postać na skalę polską, zaprosił pana Józefa do współpracy przy budowie ołtarza papieskiego w Sopocie. Dla mnie jest to wyraz uznania, bo jeżeli artysta taki jak Kołodziej zaprasza do współpracy, to jest naprawdę ogromne wyróżnienie. Kto wie, czy fakt ten nie przyczynił się do wręczenia panu Józefowi Pomorskiej Nagrody Artystycznej – w 2004 roku zaproponowałem, żeby to wyróżnienie trafiło właśnie do niego w uznaniu za wybitną twórczość i wkład w kulturę pomorską.

Kolejnym ważnym wydarzeniem było uhonorowanie Józefa Chełmowskiego medalem Gloria Artis w 2006 roku. Pamiętam, że wystąpiłem do ministra kultury o przyznanie panu Józefowi Srebrnego Medalu „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. Byłem absolutnie przekonany, że powinien otrzymać to odznaczenie, że na to zasłużył. To był jeden z tych momentów, kiedy jako gospodarz województwa byłem dumny, że tacy wybitni ludzie żyją i tworzą na Pomorzu. Cieszę się, że mogłem go spotkać na swojej drodze, było to dla mnie wielkie szczęście.

## Starał się docierać do istoty świata, początków cywilizacji, starych ksiąg, kultury oraz zjawisk przyrody.

Moja znajomość z Józefem sięga lat dziewięćdziesiątych. Często przyjeżdżałem do jego baśniowego ogrodu, biorąc udział w niekończących się rozmowach o sztuce życia i tworzenia. A żona Józefa częstowała nas małym kieliszeczkiem nalewki własnego wyrobu, żeby rozmowy toczyły się w swojskiej atmosferze. Były to rozmowy zachwycające, poruszające ogromną różnorodnością tematów – od skali mikro po makro.

Dla Józefa wszystko miało znaczenie: pszczoła, listek, a także kosmos, który dostrzegał swoim wewnętrznym wzrokiem. W pniach i korzeniach drzew widział różne postacie – jakieś rzadkie istoty, którym nadawał nowe życie. Starał się docierać do istoty świata, początków cywilizacji, starych ksiąg, kultury oraz zjawisk przyrody. Z ludźmi porozumiewał się językiem sztuki – tej, którą wyobrażał sobie i tworzył.

Co mnie urzekło w jego sztuce? Naturalność i prostota wypowiedzi. Był to człowiek, który żył na wsi i potrafił przełożyć swoje wrażenia oraz wyobrażenia, posługując się „mową” ptaków, drzew,

pszczół, jabłoni – wiosną i jesienią. Czas kwitnienia, dojrzewania i zbiorów przekładał na język swojej sztuki. Tworzył świat pełen baśni, uskrzydłony aniołami. Mawiał, że każdy anioł powinien mieć dwie albo trzy pary skrzydeł – bo gdy jedno spróchnieją, pozostałe nadal uniosą go między ludzi.

Józef urodził się na wsi i tam się wychował. Obcował z niezakłóconym sztucznymi światłami rozgwieżdżonym niebem. Był wrażliwym i czułym obserwatorem, który odkrywał wewnętrzne i zewnętrzne światy. Utrwalał je poprzez emocje i przemyślenia, wyrażając je w rzeźbach, malarstwie oraz sentencjach. Do otaczającego go świata odnosił się z własną, wyjątkową filozofią, która pomagała mu porządkować pojęcia i myśli oraz docierać do samych źródeł. Józef był samorodkiem, emanował aurą naturalności i prostoty bycia wobec tego, co wiadome, tajemnicze i piękne. Jego świat był często urozmaicony uśmiechem i żartem.

Prawdziwa sztuka potrafi być dostrzegana i doceniana zarówno przez mędrca,



Ciało

jak i dziecko. Może przemawiać do człowieka, który nie musi być z nią obyty, ale w sposób podświadomy może do niej dotrzeć.

Za każdym razem, odwiedzając jego zewnętrzne i wewnętrzne ogrody, miałem wrażenie, jakbym znajdował się w niszy wiejskiego kościółka – miejsca wiernego Bogu i ludzi. Józef był niezwykle kreatywny. Potrafił usiąść w szopce, zastanowić się, wysnuć koncepcję, a potem młoteczką, dłutem, gwoździem i farbami stworzyć z deseczki jakąś opowieść albo nadawać jej sobie wiadome kształty. Dodawał wiernie siebie do natury, nigdy jej nie umniejszając.

Nie był zazdrosny o ukazywanie swojego warsztatu i twórczych działań. Lubił opowiadać i dzielić się tym, co miał.

Dobrze rozumiałem się z Józefem, bo dla mnie wieś, podobnie jak dla niego, była „studnią ocalenia” przed zgiełkiem cywilizacyjnym. On – człowiek, artysta i mędrzec – gdyby żył w mieście, być może skończyłby uniwersytet i został cenionym profesorem. Otwarty na Boga i ludzi, przekazywał to, co w życiu najświętsze. Jego rozważania kosmiczne, refleksje o życiu, kulturze i cywilizacji znalazły odzwierciedlenie w jego dziełach.

Rozumiem go. Pozostał mi bliski. Podobnie jak on, także poruszam się pośród borów, ogrodów ziemi i gwiazd. Myślę, że powstaaliśmy z tej samej matrycy, a on, uśmiechnięty, pochyla się stamtąd i klepie mnie po ramieniu.

I.

Po tobie biją leśne dzwony  
Msze odprawiają polne kwiaty  
Rzyska gwiazdami cembrowane  
I trawy rosną – jak przed laty

Nie dotknie drewna twoja ręka  
Żeby wyrzeźbić kształt anioła  
Ty oddychałeś świata pięknem  
Nim cię do siebie Bóg zawołał

Gdy w szopce pusty dzień zapłacze  
I noc zasmuci, że cię nie ma  
Dla ciebie wszystko – pełne znaczeń  
Niebo i liść zdmuchnięty z drzewa

Ty byłeś – ponad, jak ten bielik  
Który w błękicie lot swój kreśli  
W księgach twych cicho jak w kościele  
Głębia prostoty, marzeń pieśni

W sercu szukałeś odpowiedzi  
W lustrze kosmosu, w łanie żyta  
Czuły na skargę polskiej biedy  
W której tak wiele do ukrycia

Zostaną dróżki twoich rzeczy  
Zaklęte w ślady twych zachwyty  
Te, które wiodą ku wieczności  
Samotne niby polna grusza

II.

W wózku z krzyżykiem zamiast dyszla  
Rzeźbiłeś sianko twoich pieśni  
Słowem wróżyłeś świata przyszłość  
Z myślą o ptakach i rówieśnych

Zmieniałeś ogród w raj dla świętych  
Sztachet, aniołów i biedronek  
Ciosając w drewnie czułe piękno  
Które jak mak w jęczmieniu płonie

Twym materiałem stare gwoździe  
I zawias ciszą zardzewiały  
To w twoich księgach Bóg i człowiek  
Stanowią jedną doskonałość

Twe samoloty i latawce  
Na czubku zwykłej z drewna szopy  
Były, ku niebu, twoim światem  
I twych nieziemskich w słońce wlotów

Wśród wielu ludzi tyś jedyny  
Nawet dziś, kiedy ciebie nie ma  
Lecz w twych aniołach ciągle jesteś  
Twój dom niebieski w cieniu drzewa



*Jan Sabiniarz*  
16 września 2017r.

## Józef Chełmowski stał się ambasadorem społeczności bruskiej, zaborskiej i kaszubskiej, a jego najbardziej rozpoznawalnym symbolem stały się rzeźby aniołów.

Józef Chełmowski to *Człowiek renesansu*. Przed kilkadziesiąt laty tak zatytułowałem pierwszy folder poświęcony twórczości Józefa Chełmowskiego, próbując przybliżyć jego dorobek artystyczny. Od momentu, w którym go poznałem, uznałem go za fenomen – filozoficzną przenikliwością ważnych spraw społecznych, historycznych, religijnych czy politycznych, przenosząc je na swoje dzieła. Od tamtej pory polubiłem, i to bardzo, odwiedzać jego tajemniczy ogród.

Przedostanie się do pokoi – swobodnego sanktuarium najciekawszych zbiorów – zawsze odbywało się przez kuchnię! Ale bynajmniej nie o pomieszczenie tu chodzi... A o strażniczkę dostępu – p. Jadwigę – żonę Józefa. Doskonale wiedziała, że po przekroczeniu progu magicznego pokoju oboje stracimy poczucie czasu. Każdy pretekst był dobry, by wpaść do Brus-Jaglii.

Przez cały czas mojej pracy, jako burmistrz, nie odpuściłem żadnemu z gości odwiedzających Brus w wizyty u naszego twórcy. Przez ten długi okres przewinęło się wiele postaci ze świata kultury, nauki czy polityki. Wiele z nich po naszych wizytach odwiedzało mistrza ponownie – prywatnie. Byli to m.in. Marek Kamiński (nota bene z rodowodem „ze z BRUS”),

Elżbieta Dzikowska – historyczka sztuki, sinolożka, podróżniczka, Jerzy Buzek – premier, przewodniczący Parlamentu Europejskiego i wielu innych, których trudno wymienić.

Chełmowski zaskakiwał rozmówców doskonałą wiedzą z zakresu religii i kultury. Pamiętam jak w dyskusji z profesorem Buzkiem odwoływał się do wiedzy naukowej dotyczącej energetyki i energii; tłumaczył zasady działania tworzonych przez siebie monstrualnych urządzeń – machin, szukając rozwiązań na stworzenie perpetuum mobile.

Józef Chełmowski stał się ambasadorem społeczności bruskiej, zaborskiej i kaszubskiej, a jego najbardziej rozpoznawalnym symbolem stały się rzeźby aniołów. Dziś, z perspektywy czasu, łatwiej jest dostrzec fenomen całokształtu jego działalności, wagę jak i różnorodność form jego dzieł – od obrazów, rzeźb, instrumentów i machin, po komiksy czy swoiste filmy w formie rulonów.

Jednak nie zawsze był rozumiany w swoim lokalnym środowisku. Szczególnie trudny był okres transformacji ustrojowej – czas ogólnego kryzysu ekonomicznego lat 90., kiedy oczekiwanie poprawy komfortu życia skupiało się przede wszystkim na inwestowaniu w in-



frastruktury technicznej, przysłowiowe chodniki i asfalty, często kosztem nakładów na kulturę. Józef wiedział, że najważniejszą inwestycją jest wiedza i duchowość człowieka.

Konsekwentnie bronił idei stworzenia przy swoim gospodarstwie Chaty Kaszubskiej centrum promującego nie tylko jego twórczość, lecz także twórczość regionalną całych południowych Kaszub. Z sukcesem udało się zrealizować ten projekt. Powstała Chata Kaszubska będąca dziełem wielu znamienitych rzemieślników (kamieniarzy, cieśli, murarzy, dekarzy, rzeźbiarzy) rodem z Brus. W wykończeniu zewnętrznej ściany budynku miał udział również Chełmowski – zaprojektowany i wykonany przez niego portal zdobi ścianę od strony furty do jego skansenu.

Spuścizna po Józefie Chełmowskim, miejsce jego pracy, dzieła i pamięć o nim jest dziś widoczna jako największa inwestycja, z której osobiście jestem bardzo dumny.



## Szwecja i życie w Skandynawii było dla taty nową inspiracją.

Moje wspomnienia o ojcu są jak najbardziej pozytywne. Tata był zawsze pogodny i ciekawy świata. Rodzice pragnęli dla nas, córek, spokojnego i bezproblemowego życia, uczyli nas żeby, nie przejmować się małymi przeszkodami – nie zawsze było to łatwe, ale starałyśmy się wprowadzać te wskazówki w życie.

Tata uwielbiał muzykę akordeonową. Jako dziecko również zaczęłam grać na akordeonie, co bardzo lubiłam. Pobierałam nawet prywatne lekcje, z czego tata był dumny, bo był to jego ulubiony instrument. Tata dla relaksu wieczorami pogrywał w ogrodzie, nieraz również na spotkaniach rodzinnych. Może mniej zadowolona była z tego faktu mama, bo nie lubiła jak za długo „brzdękaliśmy”.

Gra na akordeonie obudziła w tacie nowe zainteresowanie – budowę i wymyślanie ciekawych instrumentów muzycznych inspirowanych tymi ludowymi. Ojciec postanowił zgłosić się na konkurs „Instrument dla polskiego dziecka”, który odbywał się we Wrocławiu. Był to kon-

kurs ogólnopolski, gdzie startowali znani producenci instrumentów muzycznych. Ja, jako dziecko około 8-letnie, miałam zaprezentować taty wynalazek. Były to cymbałki obudowane w drewniane klawisze i skrzynkę przypominające mały fortepian. Ten miniaturowy fortepian, „Pianolinka”, wzbudził duże zainteresowanie wśród jury, prasy i innych uczestników konkursu. Nie wygraliśmy go, ale zdobyliśmy wyróżnienie. Pamiętam, że już po ogłoszeniu werdyktu, mimo że nie wygraliśmy, wszyscy oglądali z zaciekawieniem ten nasz wspaniały instrument. Prasa i telewizja osaczyła nas, prawdopodobnie byliśmy ciekawostką wydarzenia. Tata bez wykształcenia muzycznego, w tym czasie czynny rolnik, skonstruował instrument muzyczny – to było coś niespotykanego w tamtych czasach. Tata był dumny z tej „Pianolinki” i po konkursie wymyślał nowe instrumenty muzyczne, albo przerabiał i udoskonalał inne.

W moich wspomnieniach tata zaczynał swoją pracę artystyczną od strugania

drewnianych ptaszków. Ptaki obserwował w swoim ogrodzie i na wycieczkach leśnych.

Utrzymanie rodziny łączył z weekendowymi jarmarkami, gdzie sprzedawaliśmy te ptaszki. Dla taty była to też okazja spotkania się z innymi twórcami ludowymi, a dla mnie frajda, że mogłam sprzedawać ptaszki robione przez tatę. Na jarmarkach strugał też różne rzeźby i to była ciekawostka dla ludzi. Z czasem rozwijał się i zaczął robić bardziej zawansowane rzeźby i malował tematyczne obrazy.

Gdy byłam nastolatką moim marzeniem było pracować i mieszkać w Gdyni. Rodzice postarali się o spełnienie tego marzenia. W Gdyni poznałam mojego pierwszego męża Burhana, który był Kurdem, pochodził z Iraku. Studiował handel zagraniczny na Uniwersytecie Gdańskim. Mama z tatą polubili Burhana i na przekór wszystkim zebrali siły, organizując międzynarodowe wesele. Dla mieszkańców małej miejscowości Brusy to było wydarzenie i zetknięcie się z inną kulturą, kulturą Wschodu.

Spotkanie Burhana wzbudziło w ojcu zainteresowanie inną religią i kulturą. Zainteresowała go treść Koranu i kultura Wschodu, zaczął czytać o Kurdyście oraz innych krajach arabskich. Ta ciekawość owocowała nowymi pomysłami na przekazanie swoich przemyśleń o życiu i świecie. Powstawały tematyczne obrazy i rzeźby. Ojciec starał się przekazać światu, że wszystkie religie prowadzą nas do jednego celu.

Ojciec był otwarty na ludzi, interesowały go wszystkie religie i narodowości. Nie było dla niego barier międzykulturowych, był bardzo tolerancyjnym człowiekiem.

Potem życie potoczyło się tak, że zamieszkaliśmy z mężem w Szwecji, gdzie mieszkam do dziś, ale wciąż tęsknię za Polską i rodzinnym domem.

Szwecja i życie w Skandynawii było dla taty nową inspiracją. Rodzice odwiedzali

nas w Szwecji, a tata był zainteresowany wszystkim: kulturą, roślinami, ptakami i zwierzętami. Zbierał nasionka czy sadzonki roślin, które były inne niż w Polsce, by móc je zasadzić w swoim ogrodzie. Dzięki wycieczkom do Szwecji pojawiały się nowe rzeźby i obrazy.

Lata 90. w Polsce wciąż nie należały do łatwych. Tata miał problemy ze zdobyciem zwykłych pędzelków czy farb. Farby, które w tych czasach można było nabyć w Polsce były słabej jakości. Tata z mamą sami naciągali płótno na ramy do obrazów, a kupienie specjalnego drzewa, które nadawało się do robienia rzeźb, też było problemem i wiązało się z niemałym kosztem. To, że mieszkałam w Szwecji, w kraju, w którym w porównaniu do Polski był wtedy dobrobyt, spowodowało, że mogłam kupić tacie farby i pędzle. Tata był nimi zachwycony, a jego prace nabrały „lepszego” koloru.

Co doceniałam w tacie? Wiarę w to, że to co robił miało sens i niesło ze sobą przekaz.

Zanim doszedł do sukcesu pokonał wiele przeszkód. Począwszy od tych ekonomicznych, które zmuszały go do wykonywania różnych prac zawodowych, aż po niejedną krytykę swoich prac czy filozoficznych przemyśleń. Pomimo tej krytyki wierzył, że to co robi jest dobre i nie poddawał się, miał pewność siebie i tego było mu można pozazdrościć. W jego pracach cenię przekaz, część z nich niesie ze sobą przestrozę.

Mieszkając w domu rodzinnym, nie odczuwałam, że otaczamy się sztuką. Prace taty traktowałam jako piękną dekorację naszego domu. Dla mnie i mojej siostry to była codzienność.

W moim prywatnym domu mam obrazy i rzeźby, które tata zrobił specjalnie dla mnie. Dzisiaj, gdy taty już nie ma z nami, stanowią dla mnie dużą wartość sentymentalną i przypominają mi o naukach, które dostawałam od rodziców.

## Babcia zawsze dbała o wszystko dookoła, a dziadek się skupiał na swoim świecie i swojej sztuce, rozmawiał z turystami.

Gdy przychodziłem do babci i dziadka, dziadek zawsze nad czymś pracował. Najczęściej widywałem go za szybą jego warsztatu, gdzie robił coś na swoim imadle. Rzeźbił jakąś nową figurkę, czasami też siedział przed warsztatem albo przygotowywał drewno na pile. Zawsze było to interesujące – zastanawiałem się co teraz nowego wymyśli. Było to dla mnie, jako dziecka, ciekawe, ale z czasem stało się całkiem normalne. Dla mnie był to po prostu dziadek, natomiast domyślałem się, że niektórzy mogli uważać to za coś niezwykłego – posiadać artystę za dziadka.

Pamiętam, że dziadek nigdy nie broił mi dostępu do tych wszystkich swoich narzędzi, do imadła. Nigdy też jakoś szczególnie nie zachęcał, żebym próbował coś sam robić przy drewnie. Nawet nie dawał za dużo rad, jak do tego podejść, ale ewidentnie nie przeszkadzało mu to, że próbowałem go naśladować. Więc gdy kiedyś sobie postanowiłem wyrzeźbić takiego ludzika z drewna, bo chciałem sobie zrobić zabawkę, to uży-

łem imadła, działałem jak umiałem. Były to ciekawe eksperymenty dziecka. Fajnie było mieć dostęp do tego wszystkiego i móc czerpać ze wzoru, jakim był dziadek.

Dziadek nie przejmował się za bardzo różnymi złymi rzeczami, które się działy. Jak się na przykład skaleczył dość poważnie w dłoń, był mimo tego dość spokojny. Sam sobie ją opatrzył i dalej rzeźbił. Myślę, że przeciętny człowiek pojechałby na SOR. On tam machał na to ręką, jego zdaniem nie trzeba było stosować jakichś sztucznych medykamentów, natura powinna biec swoim torem.

Babcia zawsze dbała o wszystko dookoła, a dziadek się skupiał na swoim świecie i swojej sztuce, rozmawiał z turystami. Przyjmował też gości z zagranicy, bariera językowa dla niego nie istniała. Zawsze dogadywał się ze wszystkimi. Nie rozmawialiśmy jakoś specjalnie dużo, on był, a ja obserwowałem go przy pracy. Myślę, że żył tak jak chciał i był z tym szczęśliwy.



## Zeszyty okazały się skarbcem wiedzy z zakresu ludowości, folkloru.

Trudno mi określić moment, kiedy pierwszy raz spotkałam się z panem Józefem. Myślę, że mogło być to przy okazji którejś z wycieczek w liceum ze szkółką od kaszubskiego, panią Felicją Baska-Borzyszkowską, która wprowadziła nas w świat sztuki pana Józefa, w świat jego aniołów. I wtedy, podczas tych licealnych odwiedzin, pojawiło się moje zafascynowanie twórczością ludową pana Józefa, jego filozofią życiową, poglądami na temat sztuki, cennymi i celnymi uwagami. Było to spotkanie szkolne, wycieczkowe, jak wizyta w muzeum, więc nie tak bardzo osobiste. Miałam jednak świadomość, że pan Józef jest unikalny i niepowtarzalny, i że jego twórczość również taka jest.

Później, podczas studiów, szczególnie zaś na zajęciach ze specjalizacji folklorystycznej, dostrzegłam tę unikalność w jeszcze większym wymiarze. Twórczość pana Józefa była nawet przedmiotem jednych z zajęć na seminarium magisterskim u pani prof. Marii Jakitowicz. Grupę

również zafascynowała postać Pana Józefa, ponieważ był to autentyczny twórca ludowy, jakich było już niewielu – twórca, nie rękodzielnik.

Przedmiotem mojej pracy magisterskiej były opowieści humorystyczne z południa Kaszub. Temat ten miał swój początek w zabawnych opowiastkach mojego taty związanych z postaciami z Brus: Józefkiem, Wickiem, Wańtą. W trakcie pozyskiwania nowych opowieści i pracy nad materiałem okazało się, że w zebranych tekstach występują motywy bajkowe reprezentatywne dla szerszej grupy opowieści, zaś powiastki te przekazuje w różnych wersjach jeszcze kilka osób z Brus i okolic.

Mój mąż pracował wówczas w Chacie Kaszubskiej i z racji sąsiedztwa często widywał się z panem Józefem. Była to okazja, by go odwiedzić i porozmawiać. Spotkanie trwało dość długo – słowa pana Józefa płynęły od jednego tematu do kolejnego. W końcu, w trakcie rozmowy,

wyszło na jaw, że pan Józef ma zeszyty, w których notował różne spostrzeżenia, zapisywał informacje o ważnych według niego wydarzeniach. Kiedy usłyszał o zbieranych przeze mnie opowieściach, pożyczył mi te notatki (w tajemnicy przed swoją żoną, której wtedy nie było w domu). Uważam tę przysługę za ogromny zaszczyt i dziś jeszcze wdzięczna jestem za zaufanie, którym mnie obdarzył. Zeszyty okazały się skarbcem wiedzy z zakresu ludowości, folkloru. Zawierały przeróżne informacje – od przepisów medycyny ludowej, poprzez zapisy rozmów, aż po adnotacje o niezwykłych wydarzeniach. Pan Józef zwracał uwagę na rzeczy, których inni nie zauważali – lub nie zauważali po prostu ich znaczenia i wartości.

Już na podstawie notatek zeszytowych można by określić pana Józefa jako ludowego etnografa, który intuicyjnie czuł, że ludzkie opowieści, zdarzenia, wierzenia posiadają wartość, zatem musi je zapisać – inaczej przepadną. Pan Józef stykał się jeszcze z kulturą ludową, która nieuchronnie odchodziła. I on miał tę świadomość.

Ogromne było moje zaskoczenie, gdy wśród notatek w zeszytach pana Józefa odkryłam również kilka opowiastek o Wicku, Józefku i Wańcie. Tych samych, które opowiadały inne osoby. Bohaterami zebranych anegdot i humoresek były realnie żyjące postaci. Zapisane teksty stanowiły dla mnie dowód, że kiedyś te opowiastki zataczały szerszy krąg, ludzie faktycznie je sobie opowiadali, nie stanowią zatem jednostkowego tworu. Różnica polegała na tym, że pan Józef ich nie opowiadał, lecz spisywał – aby utrwalić i ocalić od zapomnienia.

W związku z pisaną przeze mnie pracą częściej odwiedzałam pana Józefa, każda wizyta była okazją do wielu rozmów, ale też uważnego słuchania – co czasem, z uwagi na częste zmiany tematów, nie było łatwe. Jednak najważniejsze wspomnienie związane jest z podarowanym prezentem – z okazji naszego ślubu otrzymaliśmy od pana Józefa rzeźbę, Madonnę, która stanowi najpiękniejszą pamiątkę tych niezwykłych spotkań, mamy do niej ogromny sentyment – stoi na ważnym miejscu i jest z nami. Pan Józef wypożyczył nam też kilka swoich rzeźb do dekoracji sali weselnej, co uznaliśmy za ogromny zaszczyt.

Później, będąc nauczycielką języka kaszubskiego, odwiedzałam pana Józefa ze swoimi uczniami: z klasami licealnymi, a następnie z uczniami SP z Wiela. Byli zadziwieni pięknym ogrodem, magią tego niezwykłego miejsca. I wydaje mi się, że spotkania z panem Józefem nigdy nie były dla uczniów nudne – przeciwnie, szeroko otwierali oczy ze zdumienia. Pan Józef opowiadał o pamiątkach z II wojny światowej, o żołnierzach, o zgromadzonych w szopce eksponatach.

Podczas jednej z wycieczek, jak zwykle po odwiedzeniu szopki, spacerowaliśmy po ogrodzie. Oczekiwałam, że pan Józef opowie o znajdujących się tam rzeźbach, ulach, o życiu pszczoł. Pan Józef zaś zwracał dzieciom uwagę na kwiatki, które wyrosły na trawie i je właśnie postanowił uczynić głównymi bohaterami swojej opowieści. Opowiadał o sensie istnienia tych dzikich kwiatków w gąszczu trawy, podkreślał ich niezwykłość. Zwracał też uwagę na ptaki wśród drzew, rozróżniał gatunki, opowiadał o zwyczajach mających w ogrodzie swoje gniazdo bocianów. Wtedy mnie to nieco irytowało, ponieważ oczekiwałam innej opowieści. Dziś jednak widzę w tym wielką wrażliwość pana Józefa, jego miłość do przyrody i umiejętność dostrzegania piękna w otaczającym świecie, nawet w małych rzeczach.

Pan Józef był człowiekiem, który interesował się otaczającym światem. Z ogromną spostrzegawczością i zmysłem obserwatorskim analizował fakty, łącząc wydarzenia w szersze zjawiska. Świat współczesny wiązał ze światem minionym, odnajdując elementy wspólne. Zapewne to właśnie sprawiało, że każda rozmowa z panem Józefem była tak wyjątkowa.

## „Ja ci mogę tłumaczyć, ale ty i tak nie zrozumiesz”.

Mieszkam od drugiego roku życia w Brusach-Jaglach, więc Józefa Chełmowskiego, jako sąsiada, znałem od najmłodszych lat. Zawsze był uśmiechnięty, nie miał żadnych stresów (tak mi się zawsze wydawało). Z każdym rozmawiał jak się należy.

Pracował w portierni w fabryce „Las Brusy”, gdy miałem tam praktyki od lutego 1968 do lutego 1971 w zawodzie ślusarza. Codziennie się widzieliśmy. Pamiętam również jak pracował w kinie i na kolei. Dzięki pracy na kolei miał pompę, która do dziś stoi na podwórku. Nie była to pompa z Brus, a z jakiejś innej

stacji kolejowej. Józef pracował też jako gospodarz. Pamiętam, że zrobił taką żyłkową maszynę do koszenia łąki. Ale grzebień był bardzo krótki – trzeba było mieć bardzo prostą łąkę, żeby dało się tym kosić. Nie wiem czy on tego używał...

Taka anegdota krążyła, jak Józef wracał pieszo z Brus, z jakichś występów i zagadał go sąsiad, pytając, gdzie był. Józef mu opowiedział, ale na końcu dodał: „Ja ci mogę tłumaczyć, ale ty i tak nie zrozumiesz”.

## „Ostrzegałem was, mówiłem nie zadzierać z żywiołami”.

Ta niezwykła historia zdarzyła się około roku 2001. Odwiedziłam wtedy Pana Józefa Chełmowskiego, właściwie wujka Józefa, z grupą turystów – głównie z Warszawy i Katowic.

Był piękny lipcowy dzień, ciepło i bezwietrznie. Zwiedzaliśmy całe obejście wujka Józefa. Turyści w większości z podziwem oglądali ule i obrazy, choć niektórzy komentowali z pewną dozą cyniczności. Gdy poszliśmy za dom, wszystkich bardzo zainteresowało koło młyńskie. Mogło się obracać, gdy z rynny leciała woda. Tego dnia była piękna pogoda, więc ktoś z turystów chciał ręcznie zakręcić kołem. Propozycja od razu została odrzucona przez wujka Józefa, gdyż twierdził, że jest to „maszyna do łapania żywiołów” i tylko one mogą ją obracać. Nie wolno narażać się żywiołom, bo nie wiadomo co zrobią. Józef zajęty rozmową odwrócił się i odszedł kawałek dalej, gdy ktoś z turystów zakręcił „maszyną”. Jak to zauważył, złapał się za głowę i powiedział, że ostrzegał nas, teraz nie wiadomo co się wydarzy. Większość osób przyjęła to z uśmiechem, bo przecież, co

może się zdarzyć po zakręceniu kołem?

A jednak. Dosłownie po minucie zerwał się wiatr i koło samo zaczęło się lekko obracać od podmuchów, wujek tylko powtarzał „ostrzegałem was, mówiłem nie zadzierać z żywiołami”. Wyszliśmy z domu na podwórko, a tam znad pola już się zbliżała wielka, ciemna chmura na niebie. Chwilę później już lał deszcz i szalały pioruny. Szybko schowaliśmy się do domu państwa Chełmowskich. Wszyscy byli przerażeni tym co się stało, w chwilę rozpętała się burza, a Józef powiedział „mówiłem: z żywiołami nie ma żartów”.

Byliśmy w prawdziwym szoku, nawet ci, którzy na początku z cynizmem podchodzili do zwiedzanego miejsca, uwierzyli, że jest tam jakaś magiczna moc, nie do wytłumaczenia. Burza trwała może pół godziny, ale podczas niej wszyscy słuchali opowieści Józefa Chełmowskiego z zapartym tchem, bo był niesamowitą osobą. Nadal, po prawie 25 latach od tej sytuacji, wspominamy to z niedowierzaniem.

Nic nie było mu obojętne, żadne wydarzenie, które poruszyło świat, nie uszło jego uwadze, a cóż dopiero wielkie sprawy naszego kraju.

Siedzieliśmy we czworo w „Słowiance” przy kawie. Spotkanie z pewnością było umówione, bo Józskowi zależało aby nas – Zbyszka i mnie – poznać ze swym zięciem, z pochodzenia Kurdem, dziś już nie tak egzotycznym jak wówczas, w latach dziewięćdziesiątych. Ciekaw był naszej opinii o młodym człowieku, którego miał przyjąć do swojej rodziny. Zresztą zwykle gdy przyjeżdżał do Chojnic odwiedzał Zbyszka Stromskiego, który mieszkał w śródmieściu przy ulicy Młyńskiej; mieli wspólne zainteresowania i jakoś się polubili. Nie pamiętam o czym rozmawialiśmy, ale z pewnością ciekawi byliśmy warunków życia i stosunków rodzinnych w Kurdyśtanie. Był słotny, deszczowy dzień i zaproponowałem, że odwiozę gości do Brus. Pani Jadwiga gościnnie raczyła, bym usiadł ze wszystkimi do obiadu, lecz pamiętam, że spieszyłem się do pracy.

Częściej aniżeli w Chojnicach spotykałem się z Józefem w Jagliach. Z racji swojej pracy reporterskiej często odwiedzałem Brusy, wizytując różne instytucje i zakłady, albo po prostu chcąc dowiedzieć się u burmistrza czym żyje miasto i gmina. Nie zawsze wtedy starczało cza-

su aby pojechać jeszcze do Jaglii, lecz co najmniej 5-6 razy w roku udawało się wygospodarować dłuższą chwilę. A trzeba wiedzieć, że „chwila” przeciągała się nieraz do paru godzin.

Spotkanie zaczynało się zwykle w warsztacie – pracowni mieszczącej się w osobnym budynku, gdzie Józef trudził się nad kolejną rzeźbą św. Maksymiliana Kolbego albo Mikołaja Kopernika. W pomieszczeniu wypełnionym najrozmaitszymi przedmiotami – żelazkami, sprzętami, które już wyszły z użycia, dawnymi narzędziami gospodarskimi, przyglądałem się rzeczom o historycznej lub tylko sentymentalnej wartości i dowiadywałem się co nowego przybyło. A w domu przy kawie trwał dalszy ciąg opowieści – dla czego postanowił namalować taki obraz, bądź jakie wielkie wydarzenie o globalnym wydźwięku (np. zamach na World Trade Center, śmierć Jana Pawła II) zainspirowało go do pracy nad nowym dziełem. Na koniec przeglądanie wielkich ksiąg oraz kosmologiczno-eschatologiczna dyskusja o przemysłeniach artysty na temat nieskończoności i doskonałości wszechświata.



Terri Sol

Nie pamiętam już kiedy i w jakich okolicznościach poznałem Józefa Chełmowskiego. Prawdopodobnie było to w maju 1979 roku, kiedy Zrzeszenie Kaszubsko – Pomorskie w Chojnicach wraz z Chojnickim Domem Kultury organizowało wystawę twórczości Chełmowskiego podczas II Dni Folkloru Kaszubskiego. Artysta już parę lat wcześniej wysyłał swoje prace na różne konkursy, m.in. na Konkurs Folkloru Ziemi Północnych w Sopocie i tam na wystawach zbiorowych prezentował pojedyncze dzieła, ale za prawdziwy debiut uważał tę indywidualną ekspozycję w ChDK w 1979 roku – jak później wspominał. Otrzymywał liczne zaproszenia m.in. z muzeów etnograficznych do udziału w konkursach i trzeba powiedzieć, że chętnie na zaproszenia odpowiadał, jeśli tylko czasu starczyło, a każda praca – rzeźba, szopka, instrument – to był nowy pomysł.

W latach osiemdziesiątych organizowane były międzywojewódzkie konkursy kaszubskiej sztuki ludowej (Gdańsk – Słupsk – Bydgoszcz), na które artyści nadsyłał setki prac, np. w 1983 roku 217 haftów, 82 rzeźby, 10 plecionek, 28 pamiątek regionalnych; I nagrodę w dzie-

dzinie rzeźby otrzymał w tym roku Kazimierz Kiedrowicz z Czyczków, II nagrodę Józef Chełmowski. W roku 1984 nadesłano 396 prac od 93 autorów; w dziedzinie rzeźby I nagroda przypadła Józefowi Chełmowskiemu.

Od chwili, kiedy Józef po długiej przerwie powrócił do twórczości artystycznej, przejawiał wielką ciekawość świata. Nic nie było mu obojętne, żadne wydarzenie, które poruszyło świat, nie uszło jego uwadze, a cóż dopiero wielkie sprawy naszego kraju. Wielokrotnie i w różny sposób upamiętniał wielki ruch Solidarności. Mam w domu alegoryczny obrazek na szkle pod tytułem *Polska w kajdanach*: na tle Zamku Królewskiego w Warszawie zdjęcie Chrystusa z krzyża przez Matkę, u stóp leży sztandar z charakterystycznymi datami z ostatnich dwustu lat historii Polski oraz inskrypcją „Jeszcze nie nadeszła godzina rozgrzeszenia”. A jak wielkim echem odbiło się poświęcenie kapliczki *Trzeci upadek* przed wjazdem do zagrody Chełmowskich, upamiętniającej wprowadzenie stanu wojennego. Trzeba było wielkiej odwagi, aby zmanifestować swój sprzeciw wobec bezprawia.

## Trzeba było wielkiej odwagi, aby zmanifestować swój sprzeciw wobec bezprawia.

Poprosiłem kiedyś Józefa, aby mi namalował na szkłe Matkę Boską, taką jakieś nigdyś wisiały w wiejskich izbach, ozdobioną roślinnymi ornamentami. Rzeczywiście wywiązał się z zadania znakomicie i... z naddatkiem. Namalował mianowicie kościół w Brusach w całej okazałości, z kwiatową dekoracją u dołu, a nad bryłą świątyni Matkę Boską z Dzieciątkiem ukoronowaną przez dwa anioły. Bardzo piękny obrazek.

Świat aniołów to była, jak wiadomo, dziedzina szczególnego zainteresowania Józefa Chełmowskiego. Wyróżniał wśród nich cherubiny, trony i serafiny, które są najbliższe Boga. Według angelologii najbardziej pomocne ludziom są cherubiny, które zanoszą nasze modlitwy przed Boży tron i przynoszą stamtąd odpowiedzi. Na obrazach i wśród rzeźb Józefa Chełmowskiego znajdujemy niezliczone sylwetki aniołów świadczące, iż darzył je szczególnym kultem. Posiadam wyrzeźbioną w czarnym dębie postać sędziwego anioła z długą brodą i szeroko rozłożonymi skrzydłami.

Wśród prac wykonanych przez artystę mam też płaskorzeźbę, popiersie Madonny z Dzieciątkiem, szczególnej urody. Jest pięknie polichromowana, zachwyca i wzrusza znawców sztuki ludowej. Ze

szczególnym sentymentem spoglądam też na obraz na desce (20 x 27 cm), przedstawiający dwoje starszych ludzi siedzących na ławie przed podcieniową chatą wiejską z podpisem „Kaszëbë”. Żartowaliśmy nieraz z żoną, że to prawdziwie nasz „portret.”

Jest także u mnie w domu szczególna pamiątka po Chełmowskim. Zgodził się kiedyś odnowić ramę zabytkowego lustra, choć to żmudna robota i bez żadnej satysfakcji. Ogromnie mnie jednak zadziwił, kiedy odwiedziłem go następnym razem, gdyż rama była wspaniale odnowiona, lecz... w czterech kolorach: od ciemnej marmurkowej zieleni aż do głębokiego brązu. Józef pozostawił zatem swój artystyczny ślad i tak już pozostało.

Pamiętaliśmy o sobie z okazji każdego świąt Bożego Narodzenia i Zmartwychwstania. Wiedziałem, że nadejdzie kartka z życzeniami od państwa Chełmowskich i wzajemnie posyłałem także do nich. Tak było przez długie lata. Na początku, albo na końcu każdej wizyty trzeba było koniecznie zobaczyć co nowego przybyło w ogrodzie, jaki nowy maskaron pojawił się w pasiece. Nadchodziła szara godzina i trzeba było z żalem odjeżdżać do domu.

## Krewna z rodziny ///

Józef dostał od teścia drzewo, załadował je na wóz i pojechał do domu. A za nim rower jechał, jechał, jechał, aż do samego domu. Józef specjalnie przyspieszył, widząc, kto go goni. A był to leśnik, który chciał wiedzieć, skąd wiezie drzewo, czy czasem nie kradzione. Na podwórku Józef wyjaśnił skąd ma drzewo, a leśnik miał przejażdżkę.

Ja pamiętam, że jak się chodziło na gościnę, to były śpiewy. Każdy przywoził księżeczkę i były śpiewane gorzkie żale. A jak była gwiazdka, to chodziliśmy po domach i śpiewaliśmy kolędy, a Józef na harmonijce grał.

Józef jeździł na dużym rowerze, który sam sobie zrobił. Ja go pamiętam, jak jechał na nim w pochodzie na 1 Maja. Ludzie szli, a on jechał.

...wymienił nazwisko Chełmowski.  
Powiedziałem, że koniecznie  
powinien zajechać do Brus,  
do Józefa Chełmowskiego.

Z Józefem Chełmowskim poznałem się bardzo dawno temu. Był cały szereg zdarzeń związanych z nim bezpośrednio lub pośrednio. Spotykaliśmy się na otwarciach wystaw, uroczystościach wręczania nagród, jarmarkach twórczości ludowej. W swoim bogatym dorobku Józef Chełmowski miał też wystawy indywidualne w Muzeum Historyczno-Etnograficznym w Chojnicach. Do tej prezentowanej w grudniu 1994 roku robiłem afisz, zaproszenia i opracowywałem graficznie mały katalog. Uczestniczył również wielokrotnie w imprezach i cyklicznych konkursach organizowanych przez Muzeum w Chojnicach, jak: Konkurs Twórczości Ludowej, Konkurs na szopkę bożonarodzeniową i innych. Do kilku z nich opracowywałem scenariusze wystaw pokonkursowych i współuczestniczyłem w ich realizacji. Wykonywałem również do niektórych z nich projekty katalogów wystaw, ich opracowania graficzne, zdjęcia i składy komputerowe. Byłem również jurorem w jednej z edycji konkursu twórczości ludowej w połowie lat osiemdziesiątych.

W mojej rodzinie był przez wiele lat pewien zwyczaj. W Boże Ciało, po rannych uroczystościach w Orliku, reszta dnia wykorzystana była jako objazd po jakiejś części Kaszub (aż do Kościerzyny). Jednym z tradycyjnych miejsc były

też Brusy-Jaglie, gdzie wielokrotnie bywaliśmy. Uczestniczyły w tych objazdach ciocie mojej żony, Wanda Kubiak i czasem Aleksandra Lubińska. Prawie zawsze w czasie tych wypraw robione były zdjęcia. Przez te lata zebrała się całkiem pokaźna kolekcja. Zarówno te ze skansenu pszczelarskiego w ogrodzie, z miejsc służących do pracy twórczej, jak i z domu mieszkalnego, który pełnił równocześnie rolę galerii autorskiej. Również zaglądałem tam w innych porach roku i przy różnych okazjach.

Rozmawialiśmy, jak to określał, „jak artysta z artystą”, na różne tematy. Mówił o aktualnych realizacjach i o swoich zamierzeniach. Pokazywał najnowsze prace rzeźbiarskie, malarskie i książki oraz inne formy swojej niespotykanej różnorodnej twórczości. Również te z pogranicza filozofii. A także cierpliwie pozował. Pamiętam, jak pokazał na początku lat dziewięćdziesiątych, realizowane na płótnie (wówczas w fazie początkowej) zwoje *Apokalipsy*. Skojarzyłem je wówczas ze słynną *Tkaniną z Bayeux* o długości 70 metrów i szerokości 50 cm, którą miałem okazję kilkakrotnie oglądać w oryginale we Francji. Realizacja Chełmowskiego ma łączną długość 55 metrów przy 80 centymetrowej szerokości, ma więc powierzchnię 44 m<sup>2</sup> czyli o 9 m<sup>2</sup> większą.





Po jego odejściu dalej zaglądaliśmy do jego żony, Jadwigi, która opiekowała się twórczością męża. Potem i jej zabrakło. Dobrze, że młodsze pokolenie chroni ich pamięć i opiekuje się tą spuścizną.

Uczestniczyłem w projekcie Józef Chełmowski. *Kwerenda badawcza z inventaryzacją twórczości w zbiorach prywatnych. Przywrócenie do domeny publicznej*, który w 2016 roku realizowało Muzeum Historyczno-Etnograficzne w Chojnicach.

Jest takie drobne zdarzenie, które utrwaliło się w mojej pamięci. Może warto je tu przytoczyć. Było to w grudniu 1985 roku. Pracowałem wówczas w muzeum. Ktoś z pracowników powiadomił mnie, że jestem proszony na 5. kondygnację Bramy Czluchowskiej.

Po dotarciu na miejsce okazało się, że na aktualnie eksponowanej tam wystawie moich prac *KONIE w twórczości Kazimierza Lemańczyka* przebywa w charakterze zwiedzającego ówczesny wicepremier Mieczysław Rakowski (później-

szy premier). Rozmawialiśmy około pół godziny. Potem wpisał się do książki gości. Andrzej Bramański, pełniący funkcję przewodnika i dokumentalisty, wykonał wówczas kilka ujęć. Jaki ma to związek z Józefem Chełmowskim – bohaterem tego wspomnienia? Otóż rozmawialiśmy też z wicepremierem o ważnych twórcach ludowych działających w naszym regionie, bowiem był tym również zainteresowany. Wymienił nazwisko „Chełmowski”. Powiedziałem, że koniecznie powinien zajechać do Brus, do Józefa Chełmowskiego. Odpowiedział, że jedzie dalej w stronę Kościerzyny i „chętnie go odwiedzi”.

W 2018 roku ogłoszona została przez Oddział ZPAP w Gdańsku w Galerii przy ul. Piwnej ekspozycja *PORTRET. Wystawa artystów gdańskiego ZPAP*. Każda z osób uczestniczących w tej prezentacji mogła pokazać tylko jedną pracę. Zdecydowałem, że pokażę portret z doklejoną pod pracą informacją: „Józef Chełmowski (1934–2013). Wybitny twórca ludowy”.



*Bóg – człowiek istota ziemi*

## Pięknie opowiadał o swoim wyobrażeniu świata, o kosmologii, to było cudowne.

Edmund Puzdrowski: Pierwsze spotkanie z Józefem Chełmowskim pamiętam doskonale. To był 1975 albo 1976 r. Byliśmy z żoną w Chojnicach na jakiejś uroczystości. Przed wyjazdem do Gdańska wstąpiliśmy jeszcze do muzeum w Chojnicach, była tam wystawa sztuki ludowej. Oglądając różne rzeźby, zachwyciłem się jedną – Juliuszem Słowackim. Był przedstawiony w kołnierzu, tak, jak się go zapamiętało z ilustracji w szkolnych podręcznikach. Zapytałem, kim jest twórca tej rzeźby. Powiedziano mi, że to Józef Chełmowski, który mieszka koło Brus i wyjaśniono jak do niego dojechać. I rzeczywiście pojechaliśmy. Późno już było kiedy dotarliśmy do domu państwa Chełmowskich, było ciemno. Zapukaliśmy no i otworzono nam. Zacząłem mówić o tej rzeźbie i zapytałem, czy można ją kupić. Pan Józef zgodził się, powiedział, że po wystawie będzie to możliwe. Wymieniliśmy się adresami, pogadaliśmy, wypiliśmy kawę czy może herbatę, chyba dostaliśmy też kucha. Gościliśmy się dosyć długo, przyjechaliśmy późną nocą do Gdańska.

Krystyna Puzdrowska: Z pierwszej wizyty zapamiętałam wrażenie, jakie zrobiła

na mnie rzeźba ku czci Nobla na werandzie. Pan Józef ją pokazał i opowiadał o Noblu. Nie pamiętam nic więcej z tej pierwszej wizyty, tylko tę rzeźbę, bardzo piękną.

E.P.: No i potem to tak jakoś trwało. Wtedy pan Józef, już teraz dla nas Józef, przyjeżdżał raz czy drugi do Gdańska to za każdym razem pisał, a później dzwonił jak miał już telefon.

K.P.: Ja dodam, że mąż wtedy często jeździł do Bydgoszczy, do Poznania i po drodze zawsze mu było do Brus. A poza tym, jeśli mieliśmy gości, to też czasami jeździliśmy z nimi do Józefa, by obejrzeć jego prace, ale też całe obejście z podwórkiem, sadem z ulami...

E.P.: Jeśli chodzi o prace Józefa, to niektóre z nich mi się podobały, niektóre nie. Czasami, jak chciałem coś kupić okazywało się, że jest to już zamówione przez muzeum w Bytowie. To, co mu wyszło i co mi się podobało, jeżeli chciał oddać, to ja kupowałem. Pamiętam, że pod tym względem uprzywilejowane było muzeum w Bytowie. Czasami mówił, że pracy nie może oddać, bo przeznaczył ją na wystawę czy na konkurs, co było dla mnie zrozumiałe. Mieliśmy swoją kolekcję, ale jakiś

czas temu postanowiliśmy przekazać około 20 prac do muzeum w Chojnicach. Mieliśmy cykl poetów polskich i kaszubskich: Słowacki, Mickiewicz, Karnowski, Krasiński i Wernyhora. Każda rzeźba z tego cyklu miała formę skrzynkową, a w niej cytaty z danego poety. Mieliśmy też dużą głowę Jezusa w czarnym dębie. Ona zresztą była przy grobie pańskim w kościele pw. św. Michała Archanioła w Sopocie. Alina Afanasjew, znana artystka, w stanie wojennym aranżowała Grób Pański przy okazji Świąt Wielkiej Nocy i prosiła, żeby wypożyczyć tę rzeźbę. Tam posługiwał ks. Krzysztof Niedałtowski, wówczas młody wikary, a później opiekun środowisk twórczych. Po jakimś czasie splotły się drogi Józefa i ks. Niedałtowskiego.

K.P.: Pamiętam też, że do tego pokoju, gdzie wisiały piękne obrazy malowane na płótnie, nie wpuszczał każdego. Pamiętam, mnie wpuścił tam raz i spodobał mi się jeden z obrazów. Bardzo chciałem, żeby był mój, ale niestety nie udało się go kupić. Wisiał nad łóżkiem, na szczybie.

E.P.: A mi się podobały takie obrazy dmuchane, takie „poduszkowce”, ale mnie też się nie udało żadnego zdobyć. Mamy teraz kilka prac: rzeźbioną Pietę, dwa krzyże: jeden malowany z wizerunkiem Chrystusa na krzyżu, po bokach niewiasty, a na ramionach orły, drugi krzyż z małą głową Chrystusa z czarnego dębu.

Pamiętam, jak zaczął rzeźbić w tym czarnym dębie, to mi mówił: „Ty wiesz ile ten czarny dąb mnie kosztuje? Tona. Za tona dębu muszę dać tona węgla”.

K.P.: U nas na wsi jest kapliczka wyrzeźbiona przez Józefa – Figurka Matki Boskiej Zielnej w kapliczce za szkłem. Na uroczystość poświęcenia kapliczki Józef nie przyjechał, zobaczył ją dopiero tydzień później.

K.P.: Pamiętam, jak kiedyś zaprowadził mnie do sadu i pokazywał te swoje koszki, te ule przepiękne. Pokazywał też drzewa, które poprzycinał kilka lat wcześniej i cieszył się, że ładnie się obejmują.

Opowiadał jak eksperymentuje, jak je przycina, żeby tak mu rosły. I pokazał gruszę i powiedział: „Zobacz, a tu na gruszy winogrono rośnie”. No i ta jego maszyna perpetuum mobile, która stała pod rynną. To przecież cuda.

E.P.: Przypomina mi się, jak byłem na sianokosach. Przyjechałem, a ich nie ma. Dowiedziałem się, że pracują daleko na łące. No to poszedłem przez łąki, w stronę szosy, która prowadziła do Chojnic. I tam właśnie Józef z Jadwigą byli i kopowali siano. Trochę pomogłem, przedłużyło się i, później niż zamierzałem, pojechałem do Gdańska, do domu.

Józef często przyjeżdżał też do nas jak jeździł na wystawy do Warszawy, do Niemiec z ks. Niedałtowskim, czy jak otrzymał Medal Zasłużony Kulturze Gloria Artis. Towarzyszyłem mu wtedy, gdy odbierał ten Medal w Ratuszu Staromiejskim w Gdańsku. Czasami był gościem niespodziewanym, niezapowiedzianym. Miejsce zawsze dla niego było. Raz nas zaskoczył, bo wcześniej rano przyjechał, chyba nocnym pociągami, czy jakimś pierwszym porannym.

K.P.: Czasami się dziwił naszym zwyczajom, bo mówił, że on tak wcześniej wstaje, a my śpimy do późna. Jak przyjeżdżał to siedzieliśmy w nocy i gadaliśmy. Pięknie opowiadał o swoim wyobrażeniu świata, o kosmologii, to było cudowne.

E.P.: Pamiętam budowę ołtarza papieskiego na hipodromie w Sopocie w 1999 r. Pomysłodawcą ołtarza był wybitny scenograf – Marian Kołodziej. Między Józefem a Kołodziejem doszło do sporów w sprawie cherubinów i serafinów, kto jest bliżej tronu ołtarza Pana, kto jest ważniejszy. Cały hipodrom wiedział, że Józef spiera się z Kołodziejem i, że każdy manifestuje swoje racje. Kołodziej chciał umieścić cherubiny tu, a Józef powiedział: „W żadnym wypadku. To musi być tu”. To trwało co najmniej dwa dni. Ten spór był łagodny, powiedziałbym: oddawał niepokój twórczy. Ale Józef lubił mieć rację, to



fakt. Pamiętam też panią Gliszczyńską, daleką krewną Józefa, od której zresztą kupiłem dwa drewniane ptaszki.

K.P.: Mąż wtedy przebywał na hipodromie całymi dniami. Ja oczywiście miałam swoje obowiązki, ale mogłam podglądać całe to „zamieszanie” przez okno naszego mieszkania na 9. piętrze, z którego mam bliiski widok na prawie cały hipodrom. Józef w wolnych chwilach przychodził do nas.

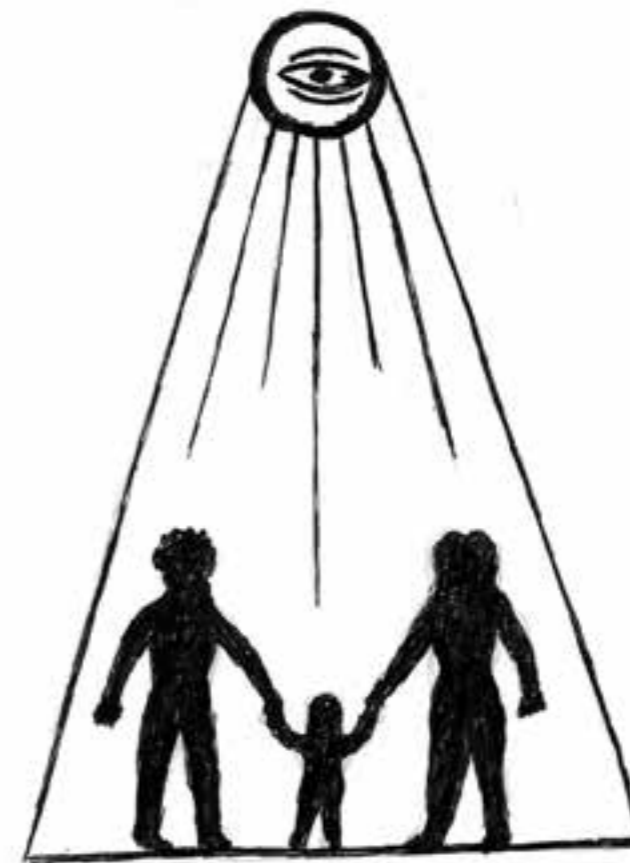
E.P.: Przypominają mi się różne sytuacje, na przykład Józef kiedyś pojechał ze mną do Kościoła św. Rocha w Kaliszu. Przy stacjach opowiadał o trudności malowania na szkle i swoim wyobrażeniu scen pasyjnych. To ciekawe było. Później, jak poznał Burhana, Kurda, który potem wszedł do rodziny, zaczął interesować się religią i kulturą Wschodu.

Powstał cały cykl kurdyjski. Barzani, przywódca Kurdów, był jednym z często występujących bohaterów jego rzeźb.

K.P.: Kiedy zaczął poznawać Koran, zaczął mówić, że mamy jednego Boga pod wieloma postaciami. Pamiętam tę atmosferę, jak siedział, pokazywał to co wtedy pisał w księdze *Tajemnice Świata Światów* i opowiadał. Siedzieliśmy, słuchaliśmy, a on nam tłumaczył, zgadzaliśmy się, albo nie, ale słuchaliśmy. Pamiętam doskonale te chwile, te jego ruchy, gestykulację.

E.P.: W 1982 albo w 1983 r. była duża wystawa w krużgankach Katedry w Oliwie twórców kaszubskich, między innymi Józefa. Jego prace pochodziły z naszych zbiorów, a innych twórców wypożyczone od różnych artystów.

K.P.: Tak, to mąż organizował. Piękna wystawa, naprawdę. I to był wtedy taki czas niepokoju, a wydarzenie odbywało się wieczorem, było takie ciche, nastrojowe, bo przy świecach.



Co to jest życie

## On zawsze podchodził do wszystkiego tak samo, czyli naturalnie, z wielkim spokojem, bezstresowo.

Pierwszy raz miałem styczność z Józefem Chełmowskim, kiedy chodziłem do szkoły średniej. Uczyłem się w Kaszubskim Liceum Ogólnokształcącym w Brusach. Wtedy odwiedziliśmy Józefa, ponieważ jako licealiści zajmujący się tematyką regionalną, kaszubską, poznawaliśmy właśnie takie osoby. Wówczas jeszcze nie traktowałem Józefa Chełmowskiego jako wielkiego artysty, bardziej jako lokalnego twórcę ludowego, który sobie rzeźbił, co mu w duszy grało.

Kiedy po studiach, w 2001 roku, zacząłem pracę w urzędzie, to te kontakty były częstsze, zazwyczaj na gruncie zawodowym. Józef był już wtedy bardzo znanym artystą. Do naszych spotkań dochodziło najczęściej w dwóch różnych okolicznościach. Z jednej strony, kiedy my jako urząd mieliśmy gości, którym chcieliśmy pokazać naszą gminę i to, co w niej jest najważniejsze, najciekawsze – wtedy zabieraliśmy ich do Józefa, żeby poznali jego twórczość, jego filozofię świata i życia. Z drugiej strony moje spotkania z nim dotyczyły sytuacji, kiedy jego twórczość była doceniana lub pokazywana. Wówczas towarzyszyliśmy mu przy odbiorze nagrody lub otwarciu wystawy jego prac.

Muszę przyznać, że na Józefie nie robiły wrażenia żadne okoliczności – czy wydarzenie odbyłoby się w Warszawie, w Pałacu Prezydenckim, czy w Brusach, w Centrum Kultury. On zawsze podchodził do wszystkiego tak samo, czyli naturalnie, z wielkim spokojem, bezstre-

sowo. Miałem wrażenie, że dla niego wszystkie nagrody, które otrzymywał, były tylko dodatkiem. Nie były celem, do którego zmierzał. Nie były najważniejszym, co chciał osiągnąć. Józef sprawiał wrażenie, że odbieranie nagród nawet mu przeszkadzało, bo zabierało cenny czas, którego potrzebował na codzienną pracę. Jedyny plus jaki w tym widział to okazja do spotkania się i rozmowy z drugim człowiekiem, często z kimś nowym, jemu dotychczas nieznanym.

Niezależnie z kim się spotykaliśmy, Józef z każdą osobą potrafił znaleźć wspólny język, wspólne zainteresowania, tematy. Dlatego lubił poznawać nowych ludzi i nie bał się przed nimi otwierać. Traktował to jako coś naturalnego. Nawet bariera językowa dla niego nie istniała, jakby potrafił się porozumiewać za pomocą myśli. Być może wynikało to z tego, że odwiedzało go wiele osób z różnych stron świata.

Największe wrażenie zrobiło na mnie spotkanie, w którym wziął udział nasz gość – ówczesny wicemarszałek województwa pomorskiego, czyli pan Wiesław Byczkowski. Oczywiście zabraliśmy go do Józefa, żeby pokazać twórczość i filozofię naszego artysty. Marszałek bardzo chętnie z nami pojechał. Józefa zastaliśmy na miejscu. Marszałek, widząc dzieła naszego mistrza, wdał się z nim w dyskusję na temat jego twórczości. Dociekał, skąd Józef czerpie inspirację do pracy, bo w jego dziełach poruszane są różne wątki. Dużo tematów się przenika – religia z filozofią i innymi na-

ukami, z kosmosem. To wszystko zrobiło ogromne wrażenie na marszałku. On po prostu nie mógł stamtąd wyjść. Z Józefem rozmawiali na różne tematy, trudno było ich zrozumieć. Bardzo głęboko analizowali przesłania płynące z poszczególnych dzieł. Zastanawiałem się skąd Józef to wszystko wie. Byłem zaskoczony jego wiedzą na temat filozofii, różnych religii i zawiłości świata, a także biegłością analizowania faktów w połączeniu z nauką. Panowie nie mogli skończyć rozmowy. Marszałek zafascynowany Józefem stracił rachubę czasu. Musieliśmy zaingerować w ich dyskusję, żeby przestali rozmawiać, bo czas nas naglił. Wtedy utwierdziłem się w przekonaniu, że Józef z każdym potrafi się porozumieć – niezależnie czy jest to osoba bardzo wykształcona, znająca historię, religię i filozofię, czy zwykły Kowalski bez specjalnego wykształcenia. Umiał rozmawiać z każdym człowiekiem, bo w sumie jesteśmy tylko ludźmi. I on tak nas traktował – wszystkich jednakowo. To było niesamowite.

Pamiętam taką sytuację – wydarzenie, które miało miejsce w Chojnicach, w Centrum Kultury. Józef odbierał nagrodę za tzw. „Dokonania Roku”. Wyszedł na scenę, podszedł do mikrofonu, wyjął harmonijkę i na niej zagrał. Dla niego było to naturalne, bo po prostu poczuł taką potrzebę, więc zrobił, co mu w duszy grało i przekazał to widzowi. Taki właśnie był prawdziwy Józef. Nie lubił trzymać się narzuconych kanonów – często się z nich wyłamywał.

Wiele osób chciało mieć jakies jego dzieło (najczęściej anioła) i prosiło go, aby coś dla nich zrobił. Ja nie miałem odwagi poprosić go o żadne „pamiątki”, chociaż myślałem o tym, żeby stworzył postaci dwóch świętych dla moich dzieci. Byłem przekonany, że on bardzo niechętnie podchodził do takich „zleceń”, bo nie lubił robić czegoś, co miał narzucone. Wolał tworzyć to, o czym myślał w danym momencie, a czuł potrzebę robienia wielu rzeczy. Z jednej strony chciał wyrażać siebie, uwieczniać

swoje spostrzeżenia i przemyślenia. Z drugiej strony poprzez własne dzieła wyjaśniał prawa rządzące światem. Śmiało można powiedzieć, że był naukowcem.

Charakterystyczne u Józefa było też to, że zawsze potrafił oderwać się od swojej pracy, aby poświęcić czas ludziom, którzy do niego przychodzili, a odwiedzały go tłumy – od osób indywidualnych zaczynając, poprzez całe rodziny, na zorganizowanych grupach kończąc. Zawsze znajdował dla nich czas. Oprowadzał gości po domu, ogrodzie, pracowni, opowiadał, pokazywał i tłumaczył wszystko, co się u niego znajduje i co go intryguje.

Pamiętam, jak byliśmy razem w Gdańsku. Poprosił mnie, żebyśmy wstąpili do sklepu plastycznego, gdzie czasami zaopatrywał się w farby. Według mnie ten sklep miał bardzo duży asortyment produktów. Można było tam kupić wszystko, czego tylko dusza artysty zapragnie. Tymczasem Józef nie znalazł tam wszystkiego, czego szukał. Narzekał, że nie ma farby o takim odcieniu albo o takich właściwościach, które by mu odpowiadały. Pomyślałem, że Józef jest strasznie wymagającym artystą. Wcześniej nie byłem świadomy jak skrupulatnie dobierał farby do swoich prac, że to wymagało takiej wiedzy i precyzji.

W drodze powrotnej z Gdańska stwierdził: „Skoro jesteśmy w trasie, to trzeba coś zjeść. Może się zatrzymamy w jakiejś restauracji”. Pamiętał lokal, w którym zatrzymał się jakiś czas wcześniej. Ta sytuacja mnie rozbawiła, bo uświadomiłem sobie, że Józef to nie tylko artysta karmiący swoją duszę, ale zwykły człowiek, który czasami po prostu bywa głodny.

Cieszę się, że osobiście poznałem Józefa Chełmowskiego. Każde spotkanie z nim było fascynujące, niepowtarzalne i skłaniało do refleksji nad własnym życiem.

## Pan Józef był naprawdę skromny. Nigdy nie odniosłem wrażenia, że się chwalił.

Mistrz Józef często przychodził do Chaty Kaszubskiej na kawę, herbatę, co tam chciał. I oczywiście bez rozmów się nie obyło. Raz chciałem się wypytać o te jego anioły. No i zapytałem, a pan Józef mówi: „Oj, długo by gadać, długo by gadać.” Ja na to, że: „Usiądźmy i będziemy gadać. Mamy czas”. A on na to: „To tak właściwie jest tajemnica”. I tak mnie załatwił, swym sławetnym kluczem-wytrychem.

Innym razem, przechadzając się po jego ogrodzie, nasunęła mi się refleksja, że te rzeźby tak stoją na wolnym powietrzu i niszczej. „Ma Pan dużo roboty, bo to trzeba naprawić, i to, i tamto” – powiedziałem. A pan Józef ze świętym spokojem powiedział: „Ja zrobiłem swoje, natura zrobiła swoje, to teraz niech inni zrobią swoje”. I tę jego odpowiedź bardzo często opowiadam odwiedzającym muzeum w Chacie.

Dla mnie pan Józef był aż za skromny. Pamiętam też taką akcję z mojej strony, żeby wpisać jego ogród do Księgi Guinnessa jako miejsce, gdzie jest najwięcej uli. To było w roku 2011. Już miałem wszystko spisane. Idę do pana Józefa, żeby zgodę wyraził. A pan Józef: „Nie rób tego, mi to jest niepotrzebne.” No i dałem sobie spokój.

Kiedyś poprosiłem pana Józefa, żeby zrobił szyld na Chatę Kaszubską. Taki tam wzorek i napis: „Chata Kaszubska”. Dechę mu dostarczyłem. Powiesiliśmy ją w 2011. I przychodzi osoba znająca się na języku kaszubskim (notabene nauczyciel języka kaszubskiego). I tak patrzy na ten napis i mówi, że pan Józef źle napisał. Niby ortograficznie po kaszubsku

było coś nie tak. A ja do niego mówię: „ale słuchaj, dlaczego pan Józef miał źle to napisać? Tak jak mówił, tak pisał. Po swojemu. To jest jego język i tak ma być”. I tę dechę-szyld mam do dzisiaj.

Pewnego dnia obfotografowałem wszystkie ule. A potem z nim usiadłem tam pod lipo-gruszą. Pokazałem mu zdjęcia, a on o każdym ulu tam opowiadał. I to mam wszystko spisane. Nie o wszystkich coś wiedział. Okazało się, że nie wszystkie są jego dziełem, ale malunki są jego wszystkie. Czasami mu przywieźli kłody, a on je pomalował. To spisywanie trwało rok, bo Józef nie zawsze miał czas.

Pan Józef był naprawdę skromny. Nigdy nie odniosłem wrażenia, że się chwalił. Nawet w swoich rozmowach, gdy mówił o swoich dziełach.

Jakiś czas przed śmiercią pan Józef robił to swoje dzieło ostatnie. Ja tam zachodzę do warsztatu, widzę, że coś tam kleci. Mówię: „O, panie Józefie, nowe dzieło będzie, tak? Co to będzie?”, ale on mi nie chciał powiedzieć. Coś w stylu, że to jest tajemnica i, że jak będzie gotowe, to zobaczę. Coś w tym sensie na pewno powiedział. Jak się potem okazało dzieła nie dokończył, bo zmarł. I żał mi tego nieskończonego dzieła, bo wciąż stoi tam niedokończone. I tak sobie pomyślałem, ile to my mamy spraw nieskończonych, niedokończonych.

A pan Józef? Cały on jest ciągle odkrywany. I tak, co też odkryłem? Zdjęcie jak stoi z dziwnymi diabelskimi skrzypcami. Niestety nie wiadomo, gdzie się podziały.



## Tradycyjnie wyciągał akordeon lub harmonię i przygrywał, śpiewał.

Kiedy chodziłem do szkoły podstawowej, nauczycielka – pani Gabriela Warnke – zabrała nas na wycieczkę do Brus-Jagllii, do pana Chełmowskiego. Było to na wiosnę. Z tej okazji przygotowana została kukła Marzanny, którą wrzuciliśmy do pobliskiego stawu. Później zwiedzaliśmy razem warsztat i słuchaliśmy opowieści o różnych przedmiotach, które pan Józef zbierał. Na zakończenie za stodołą mieliśmy ognisko.

Kilka lat później poznałem pewną dziewczynę, pochodziła z Brus-Jagllii i – jak się potem okazało – jej dziadkiem był pan Józef, u którego byliśmy z wycieczką. Ta dziewczyna została moją żoną.

Lubiłem odwiedzać dziadków żony. Dziadek Józef miał wiele zainteresowań i pamiętam, jak pewnego razu poszedłem z nim na ogród i prezentował mi ul. Zrobił go na wzór takiego, który zobaczył

w Niemczech. Można było przez szybkę podglądać pszczoły we wnętrzu ula. Zafascynował mnie życiem i pracą pszczoł.

Innym razem, gdy przyjechałem rowerem z synkiem, dziadek drzemał przy stole pod lipą. Gdy usłyszał, jak się z nim witam, przebudził się i na powitanie rozpoczął opowieść o tym, nad czym aktualnie pracował.

Podczas gościn, na których miałem sposobność bywać z rodziną, dziadek tradycyjnie wyciągał akordeon lub harmonię, przygrywał i śpiewał. Na jednej z nich byli również szwagrowie. Każdy chwycił jakiś instrument i powstała wesoła orkiestra.

Dziadek Józef imponował mi swoją pracowitością, pomysłowością i zdolnościami. Cieszę się, że mogłem go poznać.

## Przyszłam do dziadka, wskazał mi bardzo starą, już lekko rozpadającą się książkę.

Jadwiga i Józef Chełmowscy to rodzice mojej mamy. Moi rodzice niedługo po swoim ślubie zamieszkali „na swoim”, lecz wciąż bardzo blisko rodzinnego domu mamy. Moje dzieciństwo w naturalny sposób rozgrywało się w dużym stopniu obok dziadka, wśród jego twórczości. Był to trochę świat jak z bajki, jednak, gdy masz bajkę na co dzień, to staje się ona normą. Jego warsztat i zbiory były jak zabawki dla ciekawego wszystkiego dziecka. Dziadek nie bronił nam, wnukom, zabawy w swoich przestrzeniach. Przeprowadzaliśmy kuzynostwo, ganiał się po ogrodzie jak po najlepszym placu zabaw.

Pamiętam, że pewnego słonecznego dnia zainteresowało mnie co dziadek struga. Byłam jeszcze małą dziewczynką. Siedział przed warszatem, chyba na jednym z pieńków. Podeszłam i pewien czas przyglądałam się, jak pracuje. W pewnym momencie wziął jednego, pomalowanego już na niebiesko, ptaszka i wręczył mi go. Bardzo długo był ten ptaszek w moim pokoju. Potem „odfrunął”.

W czasach szkoły podstawowej ta bajka zaczęła mi nieco uwierać. Okazało się, że to, iż mój dziadek jest „nietypowy”, dla niektórych rówieśników stało się dobrym pretekstem do zaczepek. Zdarzyło mi się czuć dość niezręcznie, gdy

nauczyciele opowiadali o moim dziadku na forum klasy. Gdy przychodziłam do dziadka w sprawie jakiejś pracy domowej, w której czułam, że może mi pomóc, on nie dawał gotowych rozwiązań, a raczej odsyłał do źródeł. Pamiętam, że po szkole często szłam do babci Jadzi w odwiedzinę. Ona miała swój czas na serial w telewizji. Pogadałyśmy, a gdy zbliżała się godzina 17.00, pojawiał się dziadek na kawę i Teleexpress. To była jego święta pora.

Ekipy telewizyjne przyjeżdżały do dziadka wielokrotnie. Pilnował później pory emisji w telewizji i zgrywał do kolekcji nagrania na kasety VHS. Kiedyś, gdy był nagrywany program świąteczny, kazał się nam wnukom odświętnie ubrać i wystąpiliśmy w nagraniu. Pani Danka Miszczyk i dziadek rozmawiali między sobą o dawnych kaszubskich zwyczajach, a my przysłuchiwaliśmy się i dekorowaliśmy choinkę.

Kiedyś zimą przyjechała telewizja, chyba z Warszawy. Chodziłam wtedy może do II klasy SP. Dziadek mnie przywołał na nagranie. Miałam czytać wiersz Wisławy Szymborskiej i w jakiejś jasnej szacie przejść lub przebiec drogą z pola. Tego nagrania dziadek nie ma w swojej kolekcji VHS-ów.



Gdy byłam już w szkole średniej, poszukiwałam imienia na bierzmowanie. Przyszłam do dziadka, wskazał mi bardzo starą, już lekko rozpadającą się książkę. Były to żywoty świętych. Prawie każdy dzień w roku był poświęcony innemu świętemu. Zatrzymałam się na dniu mojego urodzenia – 18 marca – wspomnienie Archanioła Gabriela. Wybrałam imię Gabriela.

Byłam już nastolatką. Widziałam po dziadka zachowaniu, że ma jakiś ciekawy pomysł, duży projekt. Był pełen entuzjazmu. Gdy mnie spotkał, powiedział coś w stylu: „Magda, jedziemy.” Przygotował dwie klisze i aparat automatyczny. Wyprowadził czerwonego eleganta z garażu i pojechaliśmy. Jeździliśmy po gminie według jakiejś listy z jego głowy, na której były zakłady pracy, budynki użyteczności publicznej, kapliczki itp. Gdy się zatrzymywał, mówił co ma być na zdjęciu, a ja wychodziłam i robiłam je. Gdy klisze były pełne, zarządził powrót. Sama nie wiem, ile przepisów ruchu drogowego nagiął.

Z okazji kolejnych imienin i urodzin babci i dziadka chodziliśmy z rodzicami i rodzeństwem na gościnę, ciasto i kolacje. Urodziny i imieniny babci były jesienią, a dziadka zimą. Było już ciemno, gdy szliśmy na gościnę. Gdy już się najedliśmy z rodzeństwem, to odchodziliśmy od stołu i znikaliśmy w pokoju galerii. Dorośli dyskutowali przy stole, a my włączaliśmy światło w galerii i czytaliśmy zapiski na rzeźbach i obrazach. Największą satysfakcją miał ten, kto znalazł błąd ortograficzny czy inny. Z uśmiechem szliśmy do dziadka, żeby mu o błędzie powiedzieć. On wysłuchał i machał ręką, mówiąc coś w stylu: „A to tam już tak musi być”. W czasie tych gości zdarzało się, że na podwórko nadjechał jakiś samochód. Drzwi otwierały się i ktoś, kogo nie potrafiłam rozpoznać, składał dziadkowi życzenia. Te osoby wychodziły i odjeżdżały, ale gest dziadkowi schlebiał.

Pamiętam taki czas, że dziadek był bardzo zapracowany i wówczas babcia brała mnie jako kierowcę i jechałyśmy do Silna do stolarza odebrać zamówione listewki do ram obrazów i pocięte już tafle szkła do obrazów na szkło. To musiał być czas, kiedy dziadek miał dużo zamówień i niechętnie odrywał się od pracy.

Gdy jeździłam na studia do Gdańska, poprosił mnie o zakup pędzli w sklepie plastycznym na starówce. Czasami te pędzle kupował mu kierowca z gminy podczas wyjazdów służbowych.

Przed własnym ślubem poprosiłam dziadka o namalowanie tablicy powitalnej dla gości weselnych. Otrzymałam dwa egzemplarze, każdy inny. Jeden zawieszony przed wejściem do domu, a drugi przed wejściem na salę weselną. Pozostała tylko jedna plansza i teraz napis „Serdecznie Witamy” wita gości skansenu. Z okazji ślubu dziadek przygotował również prezent niespodziankę. Był to dwustronny memoriał, na którym zapisał, w czym tkwi istota małżeństwa. Muszę powiedzieć, że te hasła raczej sprowadzały na ziemię młodych małżonków, a teraz, z perspektywy 15 lat małżeństwa, śmiało muszę z dziadka refleksją się zgodzić.

Gdy urodził się nasz pierwszy synek – Janek – poprosiłam dziadka o obrazek. To był rok 2010. Wiedziałam jak dużo dziadek ma zamówień i jak szanuje czas, dlatego kupiłam wcześniej ramkę, którą już sama pomalowałam. Ramka miała szybę, więc w mojej prośbie wyraźnie powiedziałam, żeby dziadek tylko na papierze naszkicował mi postać anioła. Parę dni później, gdy byłam u dziadków, dziadek wskazał w kierunku domu i powiedział: „tam masz ten swój obraz”. Byłam zaskoczona, że tak szybko mu poszło, a jak zobaczyłam efekt to byłam zaskoczona podwójnie. To nie był szkic, tylko obraz malowany jego farbami. Anioł stoi na polu za stodołą, trzyma za rączkę chłopca, któremu wskazuje kie-

# OMNIA HOMINI, DUM VIVIT, SPERANDA SUNT

*Dopóki człowiek żyje  
powinien spodziewać się wszystkiego.*

runek. Na horyzoncie widać panoramę Brus z kościołem. Napis po łacinie, a na odwrocie obrazu tłumaczenie: „DOPÓKI CZŁOWIEK ŻYJE POWINIEN SPODZIEWAĆ SIĘ WSZYSTKIEGO”.

Gdy urodził się nasz drugi syn, daliśmy mu na imię Mikołaj. W rodzinie nie było żadnego Mikołaja i babcia wciąż się myliła, mówiąc na niego Michał. I raz, przy kawie pod gruszą, znowu się pomyliła, a dziadek na to: „No ty nie wiesz, przecież Kopernik”. Od tej chwili i dla babci był już Mikołajem. Dwa miesiące później dziadek zmarł.

6 lipca mieliśmy z mężem iść na wesele. Była wówczas w odwiedzinach ciocia Jola i moja kuzynka i kuzyn. Dzień wcześniej chciałam poprosić kuzynkę o pomoc w zrobieniu fryzury na to wesele. Zadzwoiłam na telefon stacjonarny do dziadków. Odebrał dziadek. Jego głos wskazywał, że wybudziłam go z drzemki. Wyraźnie ciężko mu się oddychało, powiedział, że ich nie ma – pojechali – nie powiedział dokąd. Miałam wyrzuty, że zadzwoniłam w czasie jego drzemki. Niedługo później dostałam telefon, że dziadek zasnął i pogotowie zabrało go do szpitala. W nocy odszedł. Okazało się, że słyszałam go wtedy po raz ostatni.

Gdy ludzie, których oprowadzam po skansenie, mówią o tym, jak pozazdrosczą mi takiego dziadka, to przekornie odpowiadam, że żadna to moja zasługa, że urodziłam się w tej właśnie rodzinie. To mógł być dziadek kogokolwiek innego.

W głębi serca jednak wiem, że miałam szczęście urodzić się w jego rodzinie. Przebywanie z nim sprawiło, że podświadomie kopiuję jego cechy. Był nauczycielem, który pokazywał kierunek, a nie rozwiązanie. Człowiekiem, który żył w zgodzie z sobą i czuł, że podąża właściwą drogą. Dzięki niemu zrozumiałam, że nie sposób być idealnym, a nie myli się tylko ten, który nic nie robi. Myślę, że to od niego przyjął spokój ducha i pewność, że robiąc to, co kocham, najlepiej, jak w danej chwili potrafię, to reszta już się dopisze sama.

## Nie wiedziałem wtedy, że za jakiś czas też będę miał swoją pasiekę.

Trafiliśmy do pana Józefa na początku lata 2010 r. Było to przed południem, około godziny 10-11. Nie było wówczas żadnego ruchu. Wjechaliśmy na podwórko, z domu wyszła żona pana Józefa i zaprosiła nas do środka. Była naszym przewodnikiem, oprowadziła nas po galerii w domu. Pan Józef pracował nad czymś na podwórzu. Gdy wyszliśmy z domu, zaprosił nas do drewni, do swojej pracowni/warsztatu. Moja żona była w ciąży i zadał pytanie o płęć dziecka. Odpowiedzieliśmy, że spodziewamy się syna. Zadał pytanie o imię i zdradziliśmy, że będzie to Antoni. Zastanowił się chwilę i powiedział z uśmiechem: „Antoni... Antoni koty goni!”

Miał dobry humor, oprowadzając nas po pracowni, żartował i opowiadał. Zauważyłem obrazek wiszący na ścianie – przedstawiał dziadka trzymającego wnuczka za rączkę. Zapytałem, czy mogę nabyć ten obrazek. Ku mojej uciechu pan

Józef się zgodził. Gdy zapytałem o cenę, otrzymałem otwartą odpowiedź: „Jak tam Państwo uważają”. W kieszeni miałem chyba pięćdziesiąt złotych i zakupiliśmy obrazek w tej cenie. Od początku wisiał nad Antka łóżeczkiem i wisi tam nadal, chociaż Antek ma już trzynaście lat.

Weszliśmy również do ogrodu, pamiętam środkową alejkę. Zobaczyłem u niego ule i pszczoły. Gdy podeszliśmy bliżej, powiedział do mnie: „Nie bój się, nie bój się”. Staliśmy tam i podziwialiśmy. Mówił, że tego wszystkiego jest tu za dużo. Nie wiedziałem wtedy, że za jakiś czas też będę miał swoją pasiekę. Moja przygoda z pszczołami trwa już 7 lat.

Z mediów dowiedzieliśmy się, że pan Józef nie żyje. To był niesamowity człowiek. Z taką pasją. Z takim spokojem przede wszystkim. Wyważony. Można było zauważyć, że w głowie cały czas miał jakiś zamysł, jakby szukał do czegoś rozwiązania.



*Đusza  
Znak duszy*

## Spojrzał w niebo i mówi: “To z kosmosu, to jest siła z nieba, to siła boska”.

O panu Chełmowskim dużo słyszałem, zanim go poznałem osobiście. Jest to postać wybitna, samorodna. Pracowałem w urzędzie w Chojnicach, miałem pracę w terenie i w miejscowości pana Chełmowskiego, w Brusach-Jagliach. Mieszkali tam moi znajomi o nazwisku Pestka, w tym Roman Pestka, inżynier. Uczył się ze mną w szkole średniej w Technikum Budowlanym w Bydgoszczy oraz wcześniej w 3-letniej Szkole Rzemiosł Budowlanych również w Bydgoszczy. Mieszkaliśmy razem w pokoju i przyjaźń trwa do dzisiaj.

To właśnie Roman mi wiele opowiadał o miejscowym twórcy. O panu Józefie Chełmowskim usłyszałem również od architekta Jana Sabiniarza, który w owym czasie rzucił taką myśl, że trzeba to dziedzictwo uratować dla potomnych i podkreślić jego rangę oraz wartość poprzez wybudowanie w pobliżu budynku nawiązującego tradycją architektoniczną do miejscowej kultury budowlanej. Mam na myśli zrealizowany i pięknie wkomponowany w teren budynek obecnej Chaty Kaszubskiej, która bezpośrednio graniczy z posesją państwa Chełmowskich.

Byłem poniekąd zauroczony postacią pana Józefa Chełmowskiego. Przyjeżdżałem tam samochodem, z moją matką, nauczycielką, która była już schorowana i w podeszłym wieku. Ona również była tam ze mną bardzo dobrze przyjmowana przez pana Chełmowskiego i jego żonę. To było niesamowite, jak barwnie, z jaką fantazją i wigorem potrafił pan Chełmow-

ski opowiadać o swojej unikalnej twórczości.

Na moje zapytanie, skąd ma takie pomysły do tworzenia, skąd energia do pracy – spojrzał w niebo i powiedział: „To z kosmosu, to jest siła z nieba, to siła boska”. To niewątpliwie go wzmacniało i dawało mu stymulację do pracy twórczej. Fascynującym dla wielu ludzi był (i nadal jest) jego ogród z pszczelimi, fantastycznymi pniami. Ogród jest bardzo ciekawy, kolorystycznie zharmonizowany, a rzeźby w nim fantastycznie stworzone z oryginalnych elementów drewnianych – pni drzew, wkomponowanych w naturę, dających bardzo dużo dobrego. Tym bardziej, że pszczoły mają swój mir i zasługi dla ludzkości. Pan Chełmowski był człowiekiem, który bardzo interesująco o tym opowiadał.

Pan Józef reprezentował rzemiosła artystyczne i swój dorobek – to było zachęcające do dalszych odwiedzin, tym bardziej, że on był bardzo gościnny. Po pewnym czasie przyjeżdżałem tam również z przyjaciółmi i pamiętam, że pan Chełmowski na pamiątkę rozdawał ptaszki drewniane, które rzeźbił. A jego żona na uboczu, wyciszona, wspierająca go. To on był bardziej dynamiczny, oprowadzał, opowiadał w filozoficzny sposób o swoich obrazach. Pamiętam obraz z Jerozolimy, pamiętam obrazy astronomiczne, firmamenty.

Wszechstronna postać, godna upamiętnienia. Świetny gawędziarz ludowy, on w zasadzie jest promotorem ziemi



Księżyc

chojnickiej, chojnickiej kaszubszczyzny. Wspaniały człowiek, otwarty, życzliwy ludziom i pracowity, albowiem bardzo dużo wykonał i jego spuścizna jest bogata.

Przy wejściu do budynku są zdumiewające w swej artystycznej wymowie freski wykonane ręką Artysty, alegoryczne formy, filozoficzne sentencje dwujęzyczne (po łacinie i po polsku). Jest również wyeksponowana część partytury *Nad modrym pięknym Dunajem*, gdzie poszczególne nuty jakoby figlują na pofalowanej pięciolini – z pięknie wykaligrafowaną na zewnętrznym tynku nazwą tegoż (i również innego) utworu w języku polskim oraz niemieckim.

Dnia 6.11.2021 r. uczestniczyłem w wycieczce zorganizowanej przez panią prezes Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego – Renatę Wróblewską do zamku w Bytowie. Jakże miłym było spostrzeżenie, iż tam, w tym zamku, jest stała ekspozycja prac twórczych pana Józefa Chełmowskiego. Myśmy to z podziwem oglądali i uważam, że to jest bardzo dobry pomysł, iż taka wystawa tam istnieje, w historycznym, starym zamku, który ma piękną architekturę i jest symbolem Bytowa. Tam właśnie wystawę stałą ma twórca ludowy, który również wyrasta z tej ziemi i reprezentuje naszą kulturę materialną i twórczą. Te elementy kultury ludowej są w depozycie murów obronnych, jakoby bronione prze te mury, starego, gotyckiego zamku.

## O Józefie, który gadał z aniołami.

Nie pamiętam, kiedy poznałam osobiście Józefa Chełmowskiego. Ale mogło to być po raz pierwszy wtedy, gdy zaszedł on do naszej redakcji („Gazety Pomorskiej”), szukając redaktora Kazimierza Ostrowskiego, z którym był zaprzyjaźniony. Pana Kazimierza nie było, a my ucieliśmy sobie pogawędkę. Józef szybko łamał bariery, od razu przechodził na „ty”. Sposób bycia miał naturalny i bezpośredni. Nie było żadnego dystansu ani celebrytwa związanego z tym, że był wówczas uważany za jednego z najwybitniejszych twórców ludowych w regionie, obok Włodzimierza Ostoi-Lniskiego czy Józefa Walczaka. Na konkursach na szopkę bożonarodzeniową czy innych – „ludowych” zgarniał trofea bez trudu, budząc podziw oryginalnością swoich prac.

Z Józefem nie gadało się na ogół o tym, „co słycać”, bo on od razu wchodził na wyższe piętro – albo zaczynał wywód o naturze świata i roli Boga w jego stworzeniu, albo o swoich ulubionych aniołach, o których mógł opowiadać godzinami. Jak już się w tych rozważaniach filozoficznych rozpędził, trudno było za nim nadążyć... Tak samo rozmowny był, gdy oprowadzał po swoim domu i ogrodzie, gdy otwierał pracownię i składzik z różnościami. To jego królestwo – tak niezwykle, tak baśniowe i tak

fantastycznie oddające to, co drzemało w głowie Józefa – za każdym razem, gdy tam bywałam, budziło mój zachwyt i podziw. Zdumiewała mnie jego umiejętność łączenia w sztuce tego, co ziemskie i tego, co duchowe, reagowanie na zagrożenia współczesnej cywilizacji i refleksja o nich, a także artystyczny wyraz jego dzieł, tak unikatowy, tak niecodzienny i osobny.

Był życzliwie nastawiony do ludzi, uśmiechnięty, nie miał w sobie nic z ponuraka, choć bywał zamysłony. Mam wrażenie, że mnie polubił, bo po jednej z wystaw w Muzeum Historyczno-Etnograficznym w Chojnicach, gdy już wychodziłam, Józef ni stąd, ni zowąd wręczył mi swój obraz *Objawienie św. Janowi* – tak po prostu, w prezencie. Wisi teraz na ścianie w hallu i przypomina mi o Józefie.

Kiedy jestem w Brusach i odwiedzam rodzinne groby, zachodzę też do Józefa i jego żony Jadwigi. Mimo że widywaliśmy się zwykle na wernisażach, jarmarkach i innych wydarzeniach związanych z kulturą regionu i nie mieliśmy okazji zbyt często i zbyt długo pogawędzić, to Józef był mi bardzo bliski. Nie ma go już z nami, ale mam nadzieję, że anioły, które go tak intrygowały, mają go w swojej opiece.



Ziarno życia

## Jeśli powstawały jakieś książki, broszury o Józefie, zawsze je od niego dostawałem z obszerną dedykacją.

Jestem członkiem Bractwa Kurkowego w Brusach, w ramach którego spotykamy się raz albo dwa razy do roku na różnych imprezach regionalnych, na szczeblu okręgu, na szczeblu zjednoczenia. Nasze bractwo ma takie spotkanie zawsze w drugi weekend sierpnia. Poza tym słyniemy z tego, że strzelamy o wieczyście przechodnią kulę armatnią. To jest taka duża kula z granitu. Żeby uatrakcyjnić to spotkanie, to nie strzelamy do takiego zwykłego kura z deski, jak to zwykle bywa, ale do rzeźbionych kurów. Jak żył Józef, to nam co roku rzeźbił takie kury i zawsze dodatkowo je malował.

Żeby tego kura nie zniszczyć, to strzelało się do żerdzi, na której był osadzony. Kto strzeliłby do kura, zapłaciłby karę. Nie wolno strzelać do kura. Ten, który stracił żerdź, na której był osadzony ozdobny kur, otrzymywał go jako trofeum. Tak się złożyło, że kilka razy to trofeum zdobył nasz kurek, więc mamy te kury w naszej siedzibie bractwa. Ale krążą one po całym okręgu, po całym województwie, nawet i po Polsce, bo raz wystrzelił ktoś z Warszawy i z Pleszewa.

Nasze bractwo istnieje 26 lat i Józef był z nami od samego początku. Każdego roku robił nam te kury. Nigdy nie kasował od nas dużo, a gdy chcieliśmy zapłacić więcej, powtarzał, że nie trzeba.

Strzelamy też do tarczy, którą funduje wybrana osoba. Kiedyś jedną z tarcz fundował aptekarz Bernard Andrzejczak. Zamówił ją u Józefa, który, nawiązując do ważnej zasady w medycynie „Po pierwsze

nie szkodzić”, na jej odwrocie napisał żartobliwie: „Pierwszy nie szkodzi”. Najlepszy wynik wystrzelany do tej tarczy uzyskał Zbigniew Mikler.

Józef miał poczucie humoru. Zresztą powtarzane m.in. przez Józefa i przeze mnie humoreski znalazły się w książce na temat humoresek z południa Kaszub, którą napisała Justyna Piekarska z domu Ziótkowska. Książka powstała na podstawie jej pracy magisterskiej. Bywało tak, że ta sama humoreska była przekazywana przez wielu ludzi, ale w różny sposób. Sens został zachowany. Józef zresztą znał dużo ludzi wkoło, więc słyszał też wiele opowieści. On był 1934 rocznik, to już dużo pamiętał. Pracował też w wielu miejscach.

Ale w ogóle to jeszcze znam Józefa z innych stron. On był moim klientem, robiliśmy mu część instalacji, miał od nas nowy piec centralnego ogrzewania. Także jak przychodził, to zawsze gadaliśmy, lubiliśmy opowiadać sobie różne bajki. Rozmawialiśmy kiedyś o starych rzemieślnikach. Dostał wtedy ode mnie wypis z przedwojennej książki adresowej z adresami rzemieślników. Ja dostałem wykaz tych ksiąg adresowych od pana Alojzego Liedtke. Informacje z tego wypisu Józef zamieścił w kronice Brus, którą ręcznie malował.

Jeśli powstawały jakieś książki, broszury o Józefie, zawsze je od niego dostawałem z obszerną dedykacją. Mam je do dzisiaj u siebie i trzymam jako pamiątkę naszej znajomości.



*Sumienie*

## Z entuzjazmem i wielką swobodą opowiadał o każdym eksponacie, który miał w domu i ogrodzie.

Kim był dla mnie Józef Chełmowski? Był oazą spokoju, wnosił w moje serce spokój przy każdym spotkaniu. Interesujący, nietuzinkowy, ciekawy otaczającego go świata. Jego filozoficzne podejście do różnych spraw zawsze było zakorzenione w życiu codziennym. Zadumany, a jednak biła od Niego wewnętrzna radość. Z Nim nigdy się nie nudziłam.

Poznałam Józefa w latach 90., kiedy rozpoczęłam pracę w Urzędzie Miejskim w Brusach. Odpowiadałam wtenczas m.in. za promocję Gminy Brusy. Moją uwagę zwróciło ciekawe, wręcz bajkowe, miejsce w Brusach-Jagliach. Była to zagroda pp. Jadwigi i Józefa Chełmowskich. Stary, wypełniony obrazami, rzezbami i księgami dom, ogród i podwórze pełne rzeźb.

Po reformie administracyjnej w 1990 roku, nowo utworzony samorząd terytorialny, jakim była gmina, postawił także na to, aby wypromować swoje atuty i przyciągnąć do siebie turystów. To nowe zadanie pozwoliło na zaangażowanie środków finansowych w pomoc skierowaną do osób w naszej gminie zajmujących się turystyką i kulturą. Pracując w urzędzie, pomagałam bruskiej TV kablowej nagrywać programy z ciekawymi ludźmi i tworzyć reportaże z ważnych wydarzeń. Dodać należy, iż ówczesna TV powstała także przy zaangażowaniu ówczesnych władz samorządowych.

To wtedy, po raz pierwszy przed kamerą bruskiej TV, Józef Chełmowski

zgodził się opowiedzieć o swojej wizji świata i pokazać nam swoje prace. Był pełen emocji, które udało się uchwycić w kadrze. Z entuzjazmem i wielką swobodą opowiadał o każdym eksponacie, który miał w domu i ogrodzie. Te ciekawe opowieści nawiązywały do życia codziennego, ale przepełnione były pewnym mistycyzmem, tylko Jemu znanym. Każda rzeźba, każdy obraz, każda księga miały „swoją historię”, tworzone z potrzeby serca, po pewnej dozie przemyśleń. Jego dzieła dotyczyły zarówno życia codziennego, ale także wydarzeń, które pojawiały się w przestrzeni życia w wymiarze państwowym, ogólnopolskim czy nawet światowym. Był głęboko wierzącym człowiekiem i często ten motyw pojawiał się w naszych rozmowach. Myślę, że to wiara w wielkim stopniu Go inspirowała.

Nie mogę tutaj nie wspomnieć Jego małżonki, Jadwigi, która zawsze była Jego podporą. Z wielkim pietyzmem dbała o Niego i Jego wszystkie dzieła. Żyła w Jego cieniu, zawsze gotowa nieść pomoc. Herbatka, koniecznie z ciasteczkami Jej wypieku, była obowiązkowym punktem spotkania w unikatowym domu Chełmowskich.

Kiedy wróciłam do bruskiego urzędu po paru latach, tym razem na stanowisko sekretarza, przywitał mnie podarunkiem – rzeźbą anioła i słowami: „Wróciłaś do tych Brus. To on cię będzie teraz strzegł, będziesz pilnowała naszych spraw, a on

ci będzie w tym pomagał”. Wzruszył mnie tym niesamowicie. Dla Niego ważny był człowiek.

Kiedy przychodził do mnie, do urzędu, mówiąc z wyrzutem np: „Dawno u mnie nie byłaś”, czuł się jak u siebie. Zawsze miał plany na kolejną rzeźbę, malowidło, w głowie myśli, które chciał „uwiecznić”. Rozmawiał, tłumaczył, jakich farb użyje i skąd je sprowadza, jakie ma drewno potrzebne do danej rzeźby. Sam czuwał nad materiałem, który potrzebny był do tworzenia. Snuł plany, gdzie będzie promował swoją wystawę. Lubił podróżować. Chętnie współpracował przy kolejnych wystawach – w muzeum w Bytowie, Słupsku, Pucku, Gdańsku, Bydgoszczy, Warszawie, na każdym Zjeździe Kaszubów.

Krótko przed Jego śmiercią zgodził się wyrzeźbić anioły, które miały stanąć na rogatkach naszej gminy. Miały witać i żegnać mieszkańców i turystów. Każdy miał być inny, ale każdy z napisem „Brusé”. I jak to On – powiedział, że w każdym krańcu stanie inny „Anioł Chełmowskiego”. W ten sposób chcieliśmy promować Jego twórczość i naszą gminę. Zapewne byłyby to wyjątkowe witacze. Bardzo żałuję, że nie udało się zrealizować tego projektu. W roku 2014 mieliśmy rozpocząć nasze zmagania. Niestety, śmierć Józefa zniweczyła nasze zamysły. Do dziś stoją „stare witacze” z lat 90. przy wjazdach do naszej gminy.

Moje ostatnie oficjalne spotkanie z Józefem to wystawa Jego twórczości w Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie pod koniec listopada 2012 roku. Pojechaliliśmy tam na zaproszenie ówczesnego dyrektora – Radka Kamińskiego razem z burmistrzem Brus Witoldem Ossowskim. Józef był tego dnia bardzo szczęśliwy i wyjątkowo wzruszony. Długo mówił o swoich dziełach. W swój specyficzny sposób, nie czekając na pytania, narzucał rozmówcy swoją narrację i dzielił się swoimi przemyśleniami. Zawsze skromny, nie chciał opowiadać o sobie, mówił wyłącznie o swojej twórczości. W muzeum rozdawał pocztówki z widokami Jego skansenu opatrzone własnoręcznie napisanymi sentencjami i życzeniami. Każda była inna i nakierowana na Jego rozmówcę. Swoją przechowuję w ulubionym miejscu mojej domowej biblioteki.

6 lipca 2013 roku szykowaliśmy się, jak co roku, na Zjazd Kaszubów, tym razem do Władysławowa. Radość – śpiew, taniec, kaszubska muzyka, obróciła się w smutek i niedowierzanie, kiedy dotarła do nas wieść o śmierci Józefa. Był to dla nas straszny cios. Ten zjazd był wyjątkowy, bo zabrakło na nim Kogoś dla nas wyjątkowego. Odszedł za szybko. Zmarł w dzień święta Kaszubów, którym poświęcił swoją ludową twórczość.



## Stykałem się z Jego twórczością, głównie w Muzeum Zachodniokaszubskim w Bytowie

Myśli, jakie towarzyszą mi, kiedy wspominam Pana Józefa Chełmowskiego, to przede wszystkim wielki szacunek dla Jego dorobku i życia, w którym nieustannie przeplatały się praca i twórczość.

Nie zdążyłem poznać Go bliżej, jednak miałem przyjemność odwiedzić Go dwa razy w domu w Brusach-Jagliach. Oczywiście, wcześniej opowiadano mi o tym niezwykłym artyście, ale przyznam się, że przekroczenie bramy wiodącej do domu mieszkalnego i zabudowań gospodarczych wywołało we mnie ogromne zdumienie. To naprawdę było wejście do innego świata. Jednak nie wygląd domostwa, przepelnionego rzeźbami, obrazami czy przedziwnymi – przetworzonymi artystycznie – przedmiotami, najbardziej mnie zaskoczył, a rozmowa z Panem Józefem. Jego wizja świata, opowiadanie i interpretowanie historii

i religii, płynąca z tego filozofia życiowa, naprawdę wzbudziły mój podziw.

Później wielokrotnie stykałem się z Jego twórczością, głównie w Muzeum Zachodniokaszubskim w Bytowie. Ma ono fantastyczną kolekcję dzieł Pana Józefa, a przede wszystkim monumentalną *Apokalipsę św. Jana*. Ta kolekcja, dzięki pomocy Samorządu Województwa Pomorskiego, jest w tej chwili świetnie eksponowana, fundujemy także nagrody w Konkursie Sztuki Ludowej im. Józefa Chełmowskiego. Dziś ważne jest nie tylko zachowanie pamięci o tym twórcy, ale troska o ocalenie spuścizny po nim. Rodzina dba o to z wielką pieczołowitością, a my staramy się ją w tym trudzie wspierać. Każdy, kto spotkał się z dziełami Pana Józefa, albo miał szczęście Go poznać, zrozumie to bez trudu.



Czy był lodowiec

## Popatrz Paweł, to są małe trusie.

Dziadek zaraził mnie kolekcjonerstwem. Pamiętam, że zbierał jakieś stare monety, banknoty, przypinki i ja też zacząłem je zbierać. Dziadek zawsze dostawał dużo listów z różnych stron Polski i świata. Koperty z tymi znaczkami zostawiał dla mnie. Zdejmowałem je, suszyłem i wkładałem do klasera, dzięki czemu moja kolekcja się szybko powiększała.

Swego czasu zbierałem też pieniądze. Pamiętam nawet zdziwienie kuzynków, gdy zobaczyli, że za szybko miałem różne banknoty, których w przeliczeniu na stare pieniądze było 50 tysięcy złotych. Dziś to zaledwie 5 złotych, kwota nieduża, ale kiedyś za to można było dużo więcej kupić. Kuzyni się dziwili, że ja tego nie wydaję, tylko zbieram. Zbierałem jeszcze wiele innych rzeczy i myślę, że to właśnie dzięki dziadkowi, który lubił kolekcjonować.

Pamiętam też moje próby rzeźbienia z dziadkiem. Dostawałem od niego dłuta i rzeźbiłem – najczęściej w korze, czyli w innym miękkim materiale. Czasem mi coś wychodziło, ale też bardzo często kończyło się to niestety krwią, bo dłuta były bardzo ostre. Robiłem takie małe maski, starałem się wystrugać kształt twarzy. Dziadek cieszył się, jak ktoś próbował go naśladować. Najczęściej próbowałem rzeźbić przy nim, gdy pracował nad swoimi rzeźbami.

Na jedne urodziny (być może 9.) dostałem od niego w prezencie wyrzeźbiony samolot. Był zielony, miał śmigielko i składał się z różnych elementów łączonych gwoździami. Był naprawdę ładny. Umieściliśmy go na słupie przy naszym domu tak, by był widoczny. Bardzo mi się podobał i często go podziwiałem. Pewnego razu wiatr go przewrócił i samolot trafił

później na dach warsztatu dziadka.

Dziadek wykopał kiedyś w ogrodzie wielką dziurę, w której pobierał glinę potrzebną do różnych prac. Lubiłem tam często przebywać, bo znajdowałem w tej dziurze dużo jaszczurek. A znalezienie jaszczurki to był dosyć duży wyczyn i zawsze się chwaliłem kuzynom.

Dziadek często gdzieś wyjeżdżał, na jakieś festyny, jarmarki itp. Jeśli było miejsce w autokarze, to babcia mnie namawiała, żebym też się z nim wybrał. Kiedyś zrobiłem mu zdjęcie i byłem z niego bardzo dumny. Zrobiłem je dziadkowi z zaskoczenia, gdy szedł w takiej rozpiętej kamizelce i akurat zawiął wiatr. Podoba mi się to ujęcie, jest dynamiczne. Dziadek wygląda tam trochę jak, powiedzmy, à la James Bond. Miałem wtedy około 12-13 lat.

Hodowałem kiedyś króliki, tzw. „trusie”, i dziadek mi dużo wtedy pomagał. Łapał je za uszy, a ja z początku bałem się wyciągać je w ten sposób z klatki. Pamiętam swoje przejęcie, gdy pierwszy raz urodziły się młode. Tego dnia zauważyłem w rogu klatki gniazdo z futra, w którym coś się poruszało. Pobiegnę do dziadka, a on przyszedł, wyjął małego królika i powiedział: „Popatrz Paweł, to są małe trusie”. Były też różne inne sytuacje, w których dziadek pomagał przy zwierzętach. Na przykład czasami był wzywany przez sąsiadów do porodu cielaka. Myślę, że był wzywany do tych trudniejszych, gdy gospodarz potrzebował czyjejś pomocy. Dziadek też był rolnikiem, miał spore doświadczenie, więc jeśli potrafił, to chętnie pomagał.

Mam też w pamięci wspólne łowienie siecią ryb w bajorku za domem i pomoc dziadkowi przy wyjmowaniu miodu. Ubierany byłem w ochronną maskę, ale użądlenia i tak się zdarzały. Po jednym z nich opuchlizna była ogromna, co było, oczywiście, nie lada atrakcją w szkole.

**Podobnych historii mam w pamięci jeszcze wiele. Dzieciństwo u boku takiego dziadka było naprawdę ciekawe i pełne przygód.**



## Tworzymy dla innych, nie dla siebie.

Gdy tu przyjechaliśmy pierwszy raz, pan Józef Chełmowski zaprosił nas do siebie do domu, oprowadził po ogrodzie. Zostaliśmy serdecznie potraktowani. W ogóle nie sprawiał wrażenia osoby, której się przeszkadza i, którą trzeba było namawiać do rozmowy i pokazania tego miejsca, mimo że był zajęty.

Jako muzyk doskonale rozumiem, że to docenienie pracy, nawet od przypadkowej osoby, jest niezwykle ważne i potrzebne. Artysta nie tworzy dla siebie, bo wtedy traci to znamiona dzieła sztuki.

ki. Tworzymy dla innych, nie dla siebie. Zdałem sobie sprawę z tego, że to był człowiek o tak sprecyzowanej i ugruntowanej wierze, że jakakolwiek dyskusja w tym zakresie nie wchodziła w rachubę. Gdy oglądaliśmy rzeźby, które poruszały tematy różnych religii, powiedział nam wtedy, że każdy będzie osądzony według swojej wiary. Nie wiem dlaczego, ale to jedno zdanie zapadło mi bardzo w pamięć.



Świat a wynalazczość

## Duch świętego Franciszka pasowałby do niego.

Kim dla mnie był Józef Chełmowski? Przede wszystkim był wujkiem, do którego chodziło się czasami na gościnę z rodzicami. Było to albo przy niedzieli, albo na uroczystości, np. na pierwszą komunię. Pamiętam, że zawsze dla mnie, takiej dziewczynki, te wizyty były ciekawe. U wujka zawsze były jakieś nowości i wujek ciekawie opowiadał. Pamiętam, jak zawiesił hamak czy huśtawkę, czy jak zrobił takiego konia z cementu, który stoi przed oknem. My czasami się tam podkradaliśmy, żeby na niego wejść, a jak byliśmy zapraszani to kolejka dzieci była pod tym oknem, żeby dosiąść tego konika.

Jak przyjeżdżaliśmy, gdy byłem już nieco starsza, to wujek się zajmował pszczołami. Myślę, że z nich wiele czerpał, np. takiej pracowitości. Dla mnie to był taki człowiek nieustannej twórczej myśli i pracy. Ciocia mu też pomagała w tym ogrodzie, sadziła kwiaty. Pamiętam, że miał dobre owoce, jabłuszka zawsze były u nich bardzo smaczne.

Jak jeździł na pole, czy na łąki, to czasami wsiadaliśmy do niego na wóz. Mam też w pamięci, jak przyjeżdżał na wysokim rowerze skonstruowanym przez siebie. Wszyscy byli ciekawi, wychodzili na drogę i każdy chciał się na tym rowerze przejechać (z tych starszych oczywiście, my dzieci byłyśmy za małe, żeby tam w ogóle dosięgnąć do tego roweru).

Gdy później, już jako siostra zakonna, przyjeżdżałam z gośćmi czy z siostrami, ciocia zawsze nas przyjmowała bardzo serdecznie, wujek też. Pamiętam, że jak myśmy przyjeżdżali, poświęcał nam dużo czasu i oprowadzał. Kiedyś przyjechałam z misjonarzem, to oprowadzał go tak serdecznie i mówił takie szczegóły, których pewnie wszystkim nie opowiadał. Bardzo cenił sobie ludzi, z którymi mógł dyskutować, podzielić się tym, co miał w swoich myślach, ale też mógł słuchać, co inni mają do powiedzenia na temat – chyba bym mogła to tak nazwać – jego filozofii.

W Jagliach jest taka tradycja, że zawsze w maju, przy kapliczce, jest odmawiana litania – tzw. majowe i pamiętam, że kiedyś na koniec majowego były spotkania. Raz byłam też właśnie na takiej herbatce wieczorem, już po majowym, ze starszymi, z jeszcze żyjącym wtedy kuzynostwem wujka i wspominam to jako miłe wieczorne posiedzenie.

Muszę powiedzieć, że to była taka bardzo serdeczna i otwarta osoba, chociaż nie lubił wielomówstwa. On raczej wiedział, co mówi i do kogo mówi, i taki był wyważony w rozmowach. Myślę, że nie mówił niepotrzebnych słów.

Wracając jeszcze do dzieciństwa, to też pamiętam, jak wujek wyrzeźbił anioła i umieścił go u siebie w dużym konarze drzewa. To dla nas, dzieci, było takie przejmujące, że ten anioł-stróż jest w takiej dziupli. Jak do szkoły się szło, to się jakoś tak wzrokiem zawsze na to drzewo spoglądało.

Kolejną rzeczą, którą pamiętam, to bociany na gnieździe. Do wujka co roku przylatywały bociany. Jednego roku, gdy bociany na jesień odleciały, to wujek wstawił w to gniazdo wyrzeźbionego przez siebie bociana i całą zimę ten bocian tam stał. My myślałyśmy, że ten bocian nie zdążył odlecieć do ciepłych krajów i że teraz tam zamrznie, a wujek na pewno się nim opiekuje. No i kiedyś w końcu ktoś zdradził tę tajemnicę, że to nie jest żywy bocian, a wyrzeźbiony i on będzie tam stał, i nic mu się nie stanie. Do dzisiaj wspominam, że wujek wpadł na taki pomysł, żeby ten bocian też był z nami przez zimę. To takie było miłe. Bociany tam są do dzisiaj i gdy jestem w Jagliach przypominają mi te chwile z dzieciństwa.

Poza tym pamiętam, że wujek też szukał różnego rodzaju drzewa. Mój brat był stolarzem i szukali takiego ciemnego drewna – czarnego dębu. Jak mój brat wiedział, że gdzieś jest jakiś kłoc, który wujkowi by się przydał, to załatwiał i po-

magwał, żeby wujek miał z czego rzeźbić.

Długo nad tym rozmyślałam i uważam, że żeby robić takie rzeczy jak wujek, trzeba mieć twórczą myśl w sobie. Aby poruszać takie tematy jak sąd ostateczny, malować na szkłe, to musiał być człowiek, który nie żył tylko pracą, ale żył właśnie tą twórczością, tą myślą, która gdzieś tam w nim tkwiła. On chciał to wyrazić właśnie poprzez malarstwo, poprzez rzeźbę czy innego rodzaju sztukę. Ja doceniałam, chociaż to nie było takie oczywiste, ludzie różnie komentowali jego twórczość, np. że ludowa sztuka nie wyraża głębszej myśli. Nie widziałam takiego piękna od początku, ale im dłużej tam chodziłam i przyglądałam się jego osobie, to było widać, że twórczość jakby dojrzewała razem z nim. Kiedy wujek umarł, to bardzo smutno mi się zrobiło, myśląc, że on już więcej nie będzie tworzyć, a my nie będziemy już mogli w tym uczestniczyć. Jak idę na cmentarz odwiedzić jego grób, spoglądam na tego anioła, który jest na pomniku, to rzeczywiście bardzo kojarzę wujka z aniołami. Anioła dostał też mój brat i w całej jego twórczości motyw anioła jest bardzo częsty. Wujek Józef był w całym tym artyzmie bardzo skromny.

Przyjechał do mnie po ślubach i przywiózł mi prezent, który dla mnie wyrzeźbił – świętego Franciszka z wilkiem i z ptaszkami. Rzeźba miała około 80 centymetrów. Wujek przyjechał z nią taki rozradowany – cieszył się, że mógł mi sprezentować tego Franciszka. A właściwie to się zaczęło od tego, że jak ja odchodziłam do klasztoru, to jego córka wychodziła za mąż i to było ostatnie wesele, na którym ja byłam, w którym brałam udział. Wówczas z wujkiem rozmawiałam, że u nas przydałaby się taka kapliczka świętego Franciszka, takie mieliśmy marzenie. Wujek powiedział, że on ją może wyrzeźbić, ale o jej umiejscowieniu kazał nam zdecydować. We wsi jest taki róg drogi, myślałam, że



Co to jest dusza a ciało

tam kiedyś powstanie kapliczka, ale nie powstała. Wujek dotrzymał słowa, bo wyrzeźbił tego świętego Franciszka. Był słowny i tak jakoś do serca sobie to wzięł. Nie był osobą, która chciała zarabiać na swojej twórczości.

Wujek interesował się astronomią, zajmował się obserwowaniem świata, wszechświata, gwiazd, księżyca i przedstawianiem tego wszystkiego. Doświadczenie bycia pszczelarzem czy rolnikiem pomagało mu widzieć otaczający go świat. Obserwował pory roku, ten cały stworzony świat, przyrodę, zwierzęta, ptaki. Duch świętego Franciszka pasowałby do niego. Może dlatego wyrzeźbił mi tego Franciszka, bo on był takim uważnym obserwatorem tego, co go otacza. Być może chciał przekazać nam, że to, co nas otacza jest tak ważne i nas kształtuje. Dopatrywał się wszędzie kogoś więcej, kogoś bardziej i chciał to nam

przedstawić w tym, co tworzył – w tym, co pisał i malował.

Dla mnie to zasłużony człowiek, który w codzienności, prostocie, pokorze tak wiele odkrył. Wydaje mi się, że moja mama mówiła, że jako chłopak on zawsze się spóźniał na obiad i albo zimny jadł, albo wcale, bo on pewnie był tak zaabsorbowany tym, co odkrywał, co go interesowało, że zapominał o jedzeniu. Jako twórca był bardzo pochłonięty tym, co robił. Na pewno nie był standardowym, normalnym wujkiem, był wujkiem szczególnym. Odbierałam go za takiego cudotwórcę – zawsze coś więcej wymyślił, zrobił, pokazał, powiedział i takim pozostaje w mojej pamięci. Bardzo dziękuję Bogu, że mogłam uczestniczyć trochę w jego życiu – tyle, ile mogłam – i potrafiłam skorzystać z tego doświadczenia.

## Stanisław Pałubicki ///

### Był jeszcze bileterem w kinie „Sława” w Brusach.

Dla Józefa Chełmowskiego byłem sąsiadem, bo kiedyś mieszkałem w Brusach-Jagliach (kiedyś to były Brusy Wybudowanie). W drodze do szkoły, a później też do pracy, codziennie mijalem jego zabudowania i zachowały mi się w pamięci pewne obrazy. Pamiętam, jak rzeźbił kapliczkę *Trzeci upadek* oraz kapliczkę w rosnącej tuż obok topoli.

W środku była rzeźba, która z biegiem lat zarastała.

Pamiętam, że Józef miał jeszcze pole czy łąkę na Żabnie. Jeździł tam starym wozem na żelaznych kołach. Mam też w pamięci czasy, jak pracował na kolei. Już wtedy istniał ten jego wysoki rower. Widziałem nieraz jak na nim jeździł.

Później pamiętam, jak był stróżem w „Las Brusy”, bo tam się uczyłem, a później też pracowałem. Na portierni zrobił sobie udogodnienie, żeby nie musieć z niej wychodzić. Zawiesił sobie podłużne, nie za szerokie lustro (pamiętam, że było obudowane w drewnianej ramie)

przy oknie. Wtedy widział, że ktoś jedzie czy idzie i wychodził otwierać bramę wtedy, kiedy kogoś zobaczył w lusterku.

Wiem, że był jeszcze bileterem w kinie „Sława” w Brusach. Jego zadaniem było też przywożenie kaset z filmami, które były nadawane przesyłką przez PKP. To były kroniki filmowe i filmy. Jeździł po te filmy rowerem, a z tyłu miał przyczepiony taki ładny, nie za duży wózek na gumowych kołach.

Nie jestem fachowcem, ale Józef miał taką wyjątkową, specyficzną filozofię życia i takie spostrzeżenia o wszechświecie, o naturze, przyrodzie. Jedno z drugim się wiązało. No i posiadał wiedzę. Podejrzewam, że czytał dużo. Był w sumie wszechstronny, bo i rzeźby, obrazy na szkłe, na płótnie, jakieś konstrukcje, naprawę robił różne rzeczy.

## Zawsze się cieszył jak przywoziliśmy mu ze Szwecji farby.

Przyjeżdżaliśmy z rodzicami na wakacje do Polski albo na święta. Pamiętam, gdy byłam mała, to dziadek uczył mnie grać w szachy i to była taka tradycja wieczorna – moja i dziadka. Babcia siedziała na kanapie i oglądała telewizję, a ja wtedy siedziałam z dziadkiem przy stole i graliśmy w szachy.

Dziadek nie oglądał dużo telewizji – tylko wiadomości, bo chciał wiedzieć, co się dzieje na świecie. Przeważnie to babcia i ja siedziałyśmy na sofie, a dziadek siedział sobie zamyślony przy stole. No, ale też pamiętam go siedzącego w kuchni, czy to było rano podczas śniadania, czy później w czasie przekąski.

Babcia robiła dla mnie zupełną pomidorową, a wiedziała, że lubię z mięsem mielonym. Pamiętam, że dziadek takiej wersji pomidorowej nie lubił, więc wtedy nie jadł obiadu, tylko na przykład jakiś chleb z kielbasą.

Próbowałam kiedyś z nim coś rzeźbić, lubił jak się go o coś pytałam. Opowiadał wtedy chętnie. Zawsze się cieszył jak przywoziliśmy mu ze Szwecji farby. Pamiętam też, jak byłam z nim na jarmarku w Brusach – chyba podczas festiwalu. Sprzedawałam wtedy jego prace, on tak siedział koło mnie, a nieraz nawet sobie gdzieś poszedł.

Bardzo lubił ludzi z zagranicy. Gdy ktoś przyjechał, na przykład nawet ze Szwecji, to od razu wołał: „O, Suzan, Suzan, chodź tu, bo szwedzki”. On znał różne języki – niektóre języki bardzo dobrze, a niektóre języki tylko trochę. Zawsze się dogadał.

On naprawdę kochał poznawać różne kultury i bardzo się nimi interesował – było to widać w jego rzeźbach.

## Pamiętam, że tata był bojowo nastawiony.

Pamiętam, jak za czasów młodości graliśmy na placu w piłkę nożną. Piłka często wlatywała do ogrodu Chełmowskich, w którym rosły różne owoce i warzywa. Ten, kto chodził po piłkę, podbierał zawsze coś z tego ogródka.

Kiedy wziąłem ślub z córką Józefa – Ewą, wtedy dopiero miałem okazję poznać go bliżej. Pamiętam, że w poniedziałek, dzień po poprawinach naszego wesela, zaczął malować na ścianie werandy *Odsiecz Kaszubów pod Wiedniem*. Goście już pojechali, wszyscy sprzątali, odwoziliśmy jeszcze pożyczone krzesła i stoły, ale on już w tym nie uczestniczył, już zapomniał o weselu. Na ścianie jest rok namalowania, czyli rok, w którym wzięliśmy ślub – 1983.

Pamiętam, jak załatwialiśmy drewno na jego duże rzeźby. Najmowaliśmy mojego brata i traktorem jeździliśmy po duże pnie drzew.

Jak była budowana Chata Kaszubska, tata zrobił takie podłużne malowidło. Nie pytał się wcześniej nikogo o zdanie, postawił projektanta przed faktem dokonanym, informując, że mają to przyczepić

nad bocznymi drzwiami do budynku. Był mały problem, bo tego elementu nie było w projekcie i musiały być specjalnie nanoszone poprawki. Ostatecznie to malowidło zostało umieszczone tam, gdzie chciał.

Pamiętam też, że między innymi on przyczynił się do powstania naszego sołectwa. Wcześniej tutaj były Brusy-Wybudowanie. Urzędnicy nie chcieli, żeby powstało tu sołectwo, bo było za mało mieszkańców. Na jedną kadencję połączyli nas z innym sołectwem, nieco oddalonym. Ale nam to nie pasowało i na kolejnym spotkaniu wyborczym na następną kadencję się zbuntowaliśmy. Pamiętam, że tata był bojowo nastawiony i na jego hasło: „Wychodzimy!” wszyscy nasi mieszkańcy opuścili salę. To było jeszcze za czasów komuny i urzędnicy chcieli nas oskarżyć o zbojkotowanie zebrania. Ostatecznie jakoś się to rozeszło po koscicach. A w 1990 r. otrzymaliśmy zgodę na zawiązanie sołectwa Brusy-Jaglie.

## Każde jego dzieło coś przekazywało. On coś przez to chciał powiedzieć.

Józefa poznałem mniej więcej wtedy, gdy uruchomiliśmy w 2003 roku Muzeum Współczesnego Pomorskiego Rękodzieła Marynistycznego. Ono się mieściło na samym początku w Krzywym Domku w Sopocie.

Mieliśmy wtedy, siłą rzeczy, bazę danych artystów z regionu. Uruchomiliśmy wówczas cztery konkursy, które były podstawą tych zbiorów. Pierwszy z nich to był *Pomorska Szopka*, czyli konkurs na szopki z elementami marynistycznymi. Drugi konkurs to *Rybackie Scenki Rodzajowe*. Trzeci konkurs, *Pomorskie Łodzie i Kutry*, dotyczył modeli łodzi i kutrów, które łowiły na Bałtyku od końca XIX wieku. I czwarty to *Malarstwo Marynistyczne*. Konkursy te odbywały się pod patronatem marszałka, a nagrody były bardzo atrakcyjne.

Do konkursu na szopki marynistyczne zgłosił się Józek, z czego się bardzo ucieszyłem. Brał udział w tym konkursie chyba trzykrotnie, otrzymując zawsze miejsce na podium. Jedna z nagrodzonych szopek jego autorstwa jest chyba w Państwowym Muzeum Etnograficznym w Warszawie. W międzyczasie on przyjechał do nas i zaczęliśmy się spotykać. Potem ja pojechałem do niego i tak zaczęła się ta nasza znajomość.

Chyba najważniejsze nasze spotkanie było wtedy, kiedy ja tam pojechałem pierwszy raz. Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy jak to wygląda w rzeczywistości. Dopiero jak przyjechałem do niego, to zobaczyłem co to jest za historia. Można powiedzieć, że on pod każdym względem był perfekcyjny. Z jednej strony prosty, zwykły człowiek, z drugiej osoba zaskakująca niesamowitą erudycją. Mówił prostym językiem, taką mieszaniną kaszubskiego. Niemniej jednak zawsze to była bardzo ciekawa rozmowa, która mogłaby się toczyć bez końca. Nie wiem,

skąd pozyskiwał wiedzę, skąd on znał te wszystkie święte księgi najważniejszych religii, ale właściwie każde spotkanie to były filozoficzne rozmowy na temat życia. Zresztą wszystkie sprawy, także społeczne, które się w międzyczasie działy, to Józka bardzo interesowały. On ciągle myślał, dociekał szczegółów. W pokojach miał różnego rodzaju rzeźby, które powstały w kontekście tego, co się aktualnie działo na świecie.

Zawsze był bardzo gościnny. Gdy przyjeżdżałem, to zawsze żona Józka zrobiła jakieś śniadanie, kawę i kanapki, a potem chodziliśmy sobie i rozmawialiśmy na różnego rodzaju tematy. Zależało mi na tym, żeby stworzyć jak największy zbiór jego prac u siebie w muzeum. Czasami dał się przekonać, żeby coś sprzedać. Z reguły sprzedawał swoje prace znajomym, koleżankom czy kolegom, do których mnie zaliczał i za właściwie niewielkie ceny, bo tak de facto to jego prace mają swoją wartość. Z drugiej strony to on powinien wyklądać na Akademii Sztuk Pięknych w dziedzinie marketingu sztuki, bo miał niesamowitą smykałkę do marketingu. On współpracował z wieloma muzeami na całym świecie. Oni tam u niego gościli. Pracował, przygotowywał, swobodnie sobie radził, o czym świadczy jego dorobek w zbiorach sztuki ludowej na całym świecie.

Wspominał oczywiście o tych ludziach, którzy mu pomagali, ale też skądś oni się wzięli, w jakiś sposób znalazł z nimi kontakt. Przecież wszyscy inni artyści ludowi z naszego regionu mieli takie same szanse, żeby szukać promotorów tego, co robią. To był największy artysta tutaj, przynajmniej ja nie znam większego. Był największy z tego względu, że miał coś do powiedzenia. Każde jego dzieło coś przekazywało. On coś przez to chciał powiedzieć.

Jak przyjeżdżałem, to chodziliśmy, oglądaliśmy prace, a ja wyszukiwałem głównie te marynistyczne i prosiłem go o to, żeby mi je sprzedał. Także miałem potem dosyć spory zbiór. Józef czasami do nas przyjeżdżał, do muzeum. Był bardzo zadowolony z ekspozycji, którą zrobiliśmy z jego prac. Potem nasze muzeum mieściło się w Centrum Gemini na Skwerze Kościuszki w Gdyni, ale niestety straciłem tam siedzibę (Centrum Gemini wypowiedziało nam umowę, a potem ten budynek zburzyli). Byłem zmuszony sprzedać część eksponatów – kupiło je muzeum w Bytowie. Na szczęście potem znaleźliśmy kupca na cały zbiór muzeum. Teraz można oglądać te obiekty w Sarbsku koło Łeby w Sea Parku i współpracujemy z nimi do dzisiaj.

Wycieczka do niego to zawsze była jakaś niesamowita przygoda i wspaniale spędzony czas. Jak się do niego przyjeżdżało, to on poświęcał swoim gościom swój czas w pełni. Opowiadał dużo historii ze swojego życia. Mówił o tym, że był kolejarem, opowiadał, gdzie pracował. Niesamowite historie. Gdy widzieliśmy się kolejny raz to tak jakbyśmy się widzieli wczoraj. To zawsze była kontynuacja jakiejś dyskusji. Zarówno ja, jak i on, doskonale pamiętaliśmy o czym rozmawialiśmy.

Poświęcaliśmy bardzo dużo czasu na rozmowy o tematyce religijnej, bo jestem członkiem Kościoła Mormonów, czyli Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich. Byłem prezydentem gminy w Trójmieście. Podarowałem mu Księgę Mormona. To były najciekawsze rozmowy, bo on po prostu każdą religię znał. Na temat ich słabości wiedział bardzo dużo. Widać było, że kwestia Boga jest dla niego bardzo istotna, najważniejsza, bo te wszystkie prace się wokół tego kręciły. On tę religię rozumiał tak, jak ona

powinna być rozumiana. Podchodził do tego bardzo poważnie. Wiedział, czym jest Dekalog, co te przykazania znaczą. I we wszystkich innych religiach dokładnie się poruszał. Z tego, co rozumiałem, jego zdaniem jedynym kryterium, według którego Bóg – niezależnie od religii – będzie nas oceniał na sądzie ostatecznym, jest to, czy byliśmy dobrzy dla innych. Na tym te religie polegają, że mamy się kochać i szanować.

Pamiętam też taki moment, jak budowali budynek obok – Chatę Kaszubską. Na początku założenie tego miejsca miało być inne, oparte na jego zbiorach, na jego osobie. Liczył na to, że budynek to będzie muzeum, które jakby uzupełni to, co jest obok w Skansenie. Przecież on miał tyle zbiorów, że można by było zapełnić tę Chatę w ciągu kilku dni. Ale wyszło ostatecznie inaczej. Pamiętam, że był rozżalony tą całą historią.

Jego śmierć mnie zaskoczyła. Wiedziałem, że chorował, bo się dusił często. Jak byliśmy u niego, to czasami nie mógł złapać oddechu. Z drugiej strony opowiadał bardzo dużo na temat np. medycyny ludowej czy leczenia. Wiedział sporo na temat ziół, ziołolecznictwa i tak dalej. To mnie zaskoczyło, bo ja myślałem, że on panuje nad swoją chorobą.

Byłem u niego na kilka dni przed śmiercią. Akurat pszczoły mu gdzieś uciekły, gdzieś tam na drzewie się zaczepiły i pomimo tego, że tak słabo chodził, musiał się zatrzymywać, żeby łapać oddech, to nie chciał odstąpić od drabiny. Jakby lekceważył te wszystkie objawy złego stanu zdrowia.

Myślę, że był wolnym, niezależnym artystą. Znał swoją wartość i nie poddawał się żadnym wpływom, za co go szanowałem i ceniłem.

## Każda wizyta była ważna.

Pamiętam moje pierwsze spotkanie z Józefem. To było w 1991 albo 1992 roku. Pracowałam wtedy w Kaszubskim Liceum Ogólnokształcącym w Brusach, zaczęłam uczyć języka kaszubskiego. Poszłam do Pana Józefa Chełmowskiego z uczniami. Oczywiście młodzież mnie prowadziła, bo ja przecież nie znałam drogi. Szliśmy pieszo, pamiętam, że zmarzłam. Jak weszliśmy do tego ciepłego, kolorowego domu, przyjęła nas oczywiście Jadwiga. Jak zobaczyła, że jestem zmarznięta, to od razu się pojawiła herbata. No i rozmowa – Józek opowiadał. Ja byłam zaszokowana tym wszystkim, co tam widziałam.

No bo przecież wszystkie meble, ściany, wszystko dookoła było zastawione Jego pracami. A On o każdej opowiadał tak, jakby ona była w tej chwili stworzona, jakby ona w tej chwili pojawiła się na świecie. Czy to była jakaś pozytywka, czy to była rzeźba, czy obraz – wszystko jedno. To było tak żywe i bliskie dla Niego, że ja zawsze miałam wrażenie, że jest to w tej chwili najnowsze Jego dzieło.

Każda wizyta była ważna. Wszystko jedno, czy ja przychodziłam z uczniami, czy z jakimiś moimi gośćmi, bo przecież jak miałam gości specjalnych w szkole, to koniecznie musiałam ich oczywiście zawieźć do Józefa. Wielkim przeżyciem dla Danki Stenki była wizyta u Józefa. Ona była wtedy w zaawansowanej ciąży.

Robiliśmy oczywiście zdjęcia przy ulach, była taka uśmiechnięta. To było dla Niego i dla mnie też wielkie przeżycie. Podobnie zresztą było z Tadeuszem Bolduanem, z wieloma innymi, czy też z większymi wycieczkami. Takie same serdeczne spotkania.

Czasami wpadałam do Niego niezapowiedziana i pamiętam, jak siedział przy stole pochylony i malował na szkle (wpuściła mnie do Niego Jadwiga). On dyskutował z fachowcami od malarstwa na szkle, bo mówił, że Jego malarstwo na szkle jest Jego malarstwem i może te obrazy zrobić nawet trójwymiarowe. Z wielką pasją pokazywał później efekty tych innowacji i prac. Powtarzał, że twórca ma pełną swobodę i do niego należy ten świat przez niego stwarzany.

Dużo opowiadał o tym, co stworzył lub gromadził w warsztacie. Jego „Warsztat”, swoistego rodzaju muzeum z pamiątkami z II wojny światowej i różnościami. Nie wiadomo na czym zawiesić oko, o co pytać. Zawsze było za mało czasu, żeby obejrzeć wszystko. Czasami zdarzało nam się przyjść, kiedy na podwórzu leżał wielki pień, a On ten pień obrabiał i opowiadał co to będzie. Po jakimś czasie zauważyliśmy, jak ten pień przekształcał się w kolejny ul albo w jakąś wielką rzeźbę.

Pamiętam, że kiedyś przyszłam z klasą, a On powiedział: „Chodź, coś Ci pokażę.” No i każe młodzieży się rozstawić, a On wyciąga płótno. Mówił, że to jest coś wielkiego. To jest moja *Apokalipsa* i wyciąga obraz na długim płótnie w kilku częściach. Wtedy właśnie nam to pokazywał. Mam nawet takie zdjęcie, jak młodzież stoi z tym dziełem – *Apokalipsą*. Kiedyś też wchodzę do Niego i już na samym wejściu powiedział do mnie: „Wanda, napisałem rozprawę! Udowodniłem, że pies ma duszę.” Pokazał mi tę rozprawę na wielu stronach zapisaną. Po jakimś czasie wpadła mi w rękę książka ojca Leona Knabita, w której pisał o tym, że zwierzęta mają duszę. Śmiałam się, że chyba się dogadali, żeby napisać o tym samym. Zawstydził mnie kiedyś, bo udowodnił, że nie znam Pisma Świętego, bo nie wiem, dlaczego niektóre anioły mają po wiele skrzydeł.

Właściwie jak w tej chwili patrzę na swoją galerię prywatną różnych obrazów, różnych autorów, to gdzieś tam stoi albo wisi dzieło Józefa Chełmowskiego. Mam piękną figurę św. Wojciecha. Jest też obraz *Wykopki*, a na nim podpis Józka: „Słońce czerwono zachodzi, jutro będzie deszcz. 1994”. Wszyscy kopią ziemniaki, pewnie się śpieszą, dym leci z komina. Ptaki towarzyszą kopiącym pracującym w polu. Wisi też u mnie obraz *Zrywanie jabłek*. Nie wiem, czy to jest Adam i Ewa, ale mężczyzna stoi na drabinie, a dziewczyna tak jakby do fartuszka zbiera to, co on zrywa. Są też inne prace. Część z nich Józef mi podarował, ale ja też je kupowałam, bo przecież wiedziałam, że on w pewnym sensie też z tego żyje. Wszystkie prace autorstwa Józefa, które mam, były prezentowane na wystawie w Brusach.

Trudno by mi było powiedzieć, czy jest coś takiego, co mi nie utkwilo w pamięci. Już samo słowo „Jaglie” powoduje

u mnie miłe wspomnienia. Józefa kojarzę zawsze z Jadwigą. Nawet jeżeli Józek był sam, to gdzieś z boku, gdzieś w drugim pokoju była i czuwała Jadwiga. Dla mnie to była taka para nierozłączna, ale jednocześnie para, która się doskonale uzupełniała.

Moja relacja z Józefem była przyjacielska, serdeczna, życzliwa. Cieszę się i dumna jestem, że dane było mi Go poznać.





## Jak sobie przypominam to od 1980 roku jego prace brały udział w różnych wystawach.

Przeprowadziłem się do Brus w 1978 roku i właściwie od początku słyszałem ciekawostki o Józefie. Słyszałem, że ma piętro-rower i jeździł nim do pracy na stację kolejową w Brusach, albo, że ma jakieś urządzenie latające w stodole. W końcu pewnego dnia go odwiedziłem. Pokazał mi tę lotnię (bo tak to można było nazwać), którą próbował się wznieść. Oczywiście to nie miało szans powodzenia, ale fascynujące było to, że z taką pasją się tym zajmował. Były już tam jego pierwsze prace w domu i kilka na podwórzu. Właściwie tam nie było żadnych dużych prac, w ogrodzie zaczynał od kamiennej kapliczki. Dopiero później pokazały się tam różne rzeźby świętych.

Jak sobie przypominam, to od 1980 roku jego prace brały udział w różnych wystawach. My w tym roku mieliśmy też inauguracyjny koncert zespołu „Krëbane”. To się tak ładnie połączyło, że zespół zaczął jeździć na różne koncerty. Zapraszano nas między innymi do oprawy muzycznej wystaw organizowanych w Biurze Wystaw Artystycznych przez Kujawsko – Pomorskie Towarzystwo Kulturalne w Bydgoszczy. Były to przede wszystkim wystawy sztuki ludowej.

Zapraszany był na te wystawy również Józef, więc jeździliśmy tam razem. Wtedy też poznała go, nieżyjąca już, pani etnograf Wanda Szkulmowska. Jej się ta twórczość bardzo podobała i ona go rozpropagowała. W 1986 roku Józef miał swoją własną wystawę w Biurze Wystaw Artystycznych w Bydgoszczy. Zorganizowała ją pani Wanda Szkulmowska, a ze-

spół „Krëbane” uczestniczył w uroczystym otwarciu tej wystawy. Także takie był początki.

Jeżeli chodzi o Józefa należałoby dużo zawdzięczyć pani Wandzie Szkulmowskiej, a później Muzeum Zachodniokaszubskiemu w Bytowie. Tam jest potężna wystawa twórczości Józefa, warto ją obejrzeć. Trzeba jeszcze wspomnieć o jednej osobie, która przyczyniła się do popularyzacji twórczości Józefa. To był nasz fotograf z Domu Kultury – pan Rajmund Meller. Za namową pani Wandy Szkulmowskiej ustaliliśmy, że wszystkie prace, które Józef stworzył, Meller sфотографuje. Idea była piękna, tylko że pan Rajmund stracił bardzo szybko wzrok. Miał piękne fotografie, jeżeli chodzi o sceny plenerowe, cudowne fotografie. W zamyśle miał robić właśnie taką rejestrację wszystkich prac, ale niestety potoczyło się inaczej.

U Józefa bywałem bardzo często. Mam kilka zdjęć z tych wizyt, bo jeździłem tam z Rajmundem Mellerem. Byliśmy też tam często z zespołem, bo gdy przyjeżdżała jakaś wycieczka, która zahaczyła o Dom Kultury, to koniecznie chcieliśmy im pokazać to unikatowe podwórze. Dzięki staraniom pani Wandy Szkulmowskiej miały miejsce również nagrania telewizyjne, które promowały twórczość Józefa. Przy takich okazjach na jego podwórzu wykonywaliśmy oprawę muzyczną.

Według mnie, takim najbardziej znaczącym wydarzeniem było odsłonięcie i poświęcenie kapliczki *Trzeci upadek*



w 1981 roku. To była odwaga polityczna, bo działo się to w czasach słusznie minionych. Ta kapliczka była niesamowicie wymowna. Poświęcił ją nasz proboszcz ks. Zdzisław Wirwicki. Myśmy też tam byli z zespołem z oprawą pieśni religijnych. Na jej poświęceniu było kilkadziesiąt osób, dużo ludzi z Brus.

Jeśli chodzi o twórczość Józefa bardzo mnie interesowały produkowane przez niego różnego rodzaju instrumenty muzyczne, takie na wzór instrumentów ludowych, chociażby diabelskie skrzypce. Jego specjalnością były nie tylko te instrumenty, ale i anioły. Te kupowałem od niego jak jechaliśmy gdzieś na koncerty, a mieliśmy ich bardzo dużo. Były lata, że było około 100 koncertów rocznie. W tygodniu czasami były dwa albo trzy koncerty. Byliśmy na stu festiwalach na terenie całej Europy. Zawsze przy takich wyjazdach upominki były potrzebne, czy to haft, czy jakaś rzeźba. Jego specjalnością były rzeźbione anioły w kaszubskich strojach i te prace były zawsze udanym prezentem.

Józef był bardzo mocno osadzony w twórczości ludowej, ale też w regionie kaszubskim. Dużo jego obrazów i rzeźb miało zdobienia kaszubskie, w tym ule. Były też oczywiście szopki bożonarodzeniowe, których robił bardzo dużo. Zresztą jego prace są teraz w wielu miejscach. Pamiętam też jego fascynującą *Panoramę Apokalipsy* namalowaną na tym

długim płótnie. To było dzieło o bardzo głębokiej myśli.

Niestety zmarł, może trochę za szybko. Poświęciłem Józefowi fragment w książce *Był sobie Krëban*. W podrozdziale *Artystyczne wizje Józefa Chełmowskiego* starałem się zawrzeć związku jakie mieliśmy jako zespół z Józefem. Był to fantastyczny człowiek, bo nigdy nie mówił „nie”. Zawsze z uśmiechem przyjmował wszystkich, którzy tam przyjechali. W 2013 roku razem z wnuczką Alicją jeździłem po terenie całych Kaszub w celu sfotografowania kapliczek na terenie Zaborów. Zdjęcia te zostały umieszczone w książce *Boże Męki* na Zaborach. Znalazło się też w niej dużo fotografii przedstawiających prace Józefa Chełmowskiego znajdujące się w jego obejściu i domostwie. Gdy przyjechałem do niego z wnuczką wykonać wspomniane zdjęcia, było widać, że jest schorowany i bardzo zmęczony. Mówiłem mu, że ma koniecznie iść do lekarza, bo ciężko oddychał. Później dowiedziałem się od pani Chełmowskiej, że umówił się na wizytę, ale nie zdążył już na nią pójść. Zmarł kilka dni po naszym spotkaniu.

O Chełmowskim można mówić długo i dużo. Miał swój pogląd na świat i pogląd artystyczny. Był bardzo unikalny i trudno byłoby go powtórzyć, podrobić. To była niepowtarzalna osobowość. Nie określałbym go inaczej ani bardziej szczegółowo.

## Bracie Józefie, stanąłeś już przed Panem Bogiem.

Homilia wygłoszona w czasie mszy pogrzebowej śp. Józefa Chełmowskiego:

„Odszedł na tamten brzeg syn tej ziemi, który swoim życiem i pracą słaWił piękno ziemi Kaszubów, ziemi Krebanów. Odszedł człowiek bardzo głęboki, o wyjątkowo subtelnym i wrażliwym sercu i głębokiej wierze. Człowiek, który doskonale znał Pismo Św. Starego i Nowego Testamentu, a miał też swoją egzegezę czytanych tekstów.

Tworzył i rzeźbił świątki i wszystkie nawiązywały do tradycji i kultury naszej małej kaszubskiej ojczyzny. Były też dzieła wielkiego formatu, jak malowana na wielu metrach *Apokalipsa*, do której miał własną interpretację, często niosącą grozę i przypominającą konsekwencję złych zachowań człowieka tego czasu. Przypominającą, że człowiek tego czasu w swojej wielkiej pysze zagubił Boga i chodził po omacku, lekceważąc Pana Boga, niszcząc także dzieła swoich przodków.

Przez całe Twoje pracowite życie słaWiłeś piękno naszej kaszubskiej ziemi,

nie tylko w naszej Ojczyźnie, ale także w wielu zakątkach świata. Twoja głęboka wiara obecna jest w wielu materialnych rzeźbach i obrazach.

Bracie Józefie stanąłeś już przed Panem Bogiem z całym swoim życiowym dorobkiem, z dłońmi pełnymi różnych dzieł i myśli wypowiedzianych pędzlem i rzeźbiarskim dłutem. Wielość świątków i aniołów towarzyszy Ci w spotkaniu z naszym Ojcem i na pewno ułatwiają drogę prowadzącą do Domu naszego Ojca. Żegnamy Cię dziś z wdzięcznością, dziękując także Panu Bogu za Twoją twórczą obecność i życie pośród nas.

Monumentalna bruska świątynia wypełniona dziś tak licznie zebranymi wierzniymi, jak i wieloma delegacjami świadczy, jak bardzo jesteś nam bliski. Niech Pan wiecznej szczęśliwości przyjmie Cię do swojej chwały.

Ty wiesz już wszystko, a my jeszcze poznajemy, Ty już tam doszedłeś, a my ciągle jeszcze idziemy.”



*Religie wyznania świata*

© Fundacja im. Józefa i Jadwigi Chełmowskich  
www.jozefchelmowski.pl, fb/jozefchelmowski

Redakcja /// Julita Królikowska

Korekta /// Justyna Piekarska i Julita Królikowska

Design & dtp /// RHB Bartłomiej Nowak

ISBN 978-83-979252-0-5



BRUSY JAGLIE 2024 r. ©

ZABRONIONE JEST kopiowanie zdjęć, grafik oraz tekstu (w całości lub w części) BEZ ZGODY właściciela. Wszelkie materiały (treści, teksty, ilustracje, zdjęcia, recenzje itp.) przedstawione w katalogu są objęte prawem autorskim i podlegają ochronie na mocy „Ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych” z dnia 4 lutego 1994 r. (tekst ujednolicony: Dz.U. 2006 nr 90 poz. 631).

Wykorzystywanie autorskich pomysłów, rozwiązań, kopiowanie, rozpowszechnianie zdjęć, fragmentów grafiki, tekstów opisów w celach zarobkowych oraz twórczości internetowej, bez zezwolenia autora jest zabronione i stanowi naruszenie praw autorskich oraz podlega karze. Znaki towarowe i graficzne są własnością odpowiednich firm i/lub instytucji.

Str. 1 Fot. Rajmund Meller.  
Str. 3 Fot. Leszek Pękalski.  
Str. 4 – 2003 r. Szwecja, Malmö, Julita Rudnik z dziadkiem Józefem. Fot. ze zbiorów prywatnych Julity Królikowskiej.  
Str. 6 – 21.08.1992 r. Festiwal Folklorystyczny Nadbałtyckich Krajów w Kaliningradzie. Na zdjęciu Alicja Serkowska i Józef Chełmowski. Fot. Archiwum prywatne Alicji Serkowskiej.  
Str. 7 – Plener twórców ludowych w Kaszubskim Uniwersytecie Ludowym w Wieżycy w 1993 r. Na zdjęciu po lewej: Józef Chełmowski, Alicja Serkowska, Zygmunt Kędziński. Fot. Archiwum prywatne Alicji Serkowskiej.  
Str. 8 – 1993 r. Zakończenie pleneru w KUL-u. Fot. Archiwum prywatne Alicji Serkowskiej.  
Str. 9 – 27.10.2000 r. Biblioteka Publiczna w Kartuzach – wystawa „Kaszubskie malarstwo na szkle”. Od lewej: Józef Chełmowski, Zygmunt Kędziński, Alicja Serkowska, Alina Walkusz. Fot. Archiwum prywatne Alicji Serkowskiej.  
Str. 11 – Na zdjęciu Józef Chełmowski, Fot. Leszek Pękalski.  
Str. 15 – Na zdjęciu od lewej: Henryk Jachimek (malarz ze Słupska), Agnieszka Sowińska (pomysłodawczyni konkursu im. Teofila Ociepki w Bydgoszczy), Józef Chełmowski, Wiktor Chrzanowski (malarz z Torunia). Fot. archiwum prywatne Andrzeja Kwasiborskiego.  
Str. 18 – 19 Jadwiga i Józef Chełmowscy. Fot. Andrzej Muzaj.  
Str. 21 – Józef Chełmowski ze skonstruowanym rowerem wodnym. Fot. Andrzej Muzaj.  
Str. 23 – Aneta Rudnik z dziadkiem Józefem na drewnianej zabawce przez niego wykonane. Fot. Urszula Usakowska – Wolff. Archiwum prywatne rodziny artysty.  
Str. 27 – 05.03.2012 r. Józef Chełmowski z uczniami Szkoły Podstawowej im. bł. ks. Józefa Jankowskiego w Czyczkowach, po lewej stronie Józefa Małgorzata

Ostrowska – ówczesna dyr. Szkoły Podstawowej w Kosobudach, po prawej Felicja Baska-Borzyszkowska. Fot. Archiwum prywatne Anny Pestki.  
Str. 30 – 1994 r. Wystawa prac Józefa Chełmowskiego w Muzeum w Muzeum Historyczno-Etnograficznym im. Juliana Rydzkowskiego w Chojnicach. Na zdjęciu od lewej: Józef Chełmowski, Lidia Białkowska (etnograf – autorka tej wystawy), Anna Czapczyk (kierownik Działu biblioteki i zbiorów specjalnych muzeum w Chojnicach), Barbara Zagórska (ówczesna dyrektor muzeum w Chojnicach), Zbigniew Stromski (ówczesny kierownik Państwowego Archiwum w Chojnicach). Fot. ze zbiorów prywatnych rodziny artysty.  
Str. 33 – Od lewej: Bożena Olszewska, Wanda Szkulmowska, Jadwiga Chełmowska. Fot. ze zbiorów Bożeny Olszewskiej.  
Str. 35 – 1993 r. Wieczór wigilijny w Domu Kultury w Czyczkowach. Na zdjęciu od lewej: Irena Peplińska ze swoimi dziećmi Magdaleną i Dariuszem, Joanna Andrzejczak, Danuta Miszczyk z córką Martą, Stefan Mysza, Wanda Kiżewska, Bernard Andrzejczak, Józef Chełmowski. Fot. ze zbiorów prywatnych artysty.  
Str. 36 – 1993 r. Józef Chełmowski prezentuje jedną z prac namalowanych na szkle podczas wystawy organizowanej przy okazji wieczoru wigilijnego. Fot. ze zbiorów prywatnych rodziny artysty.  
Str. 39 – Praca ze zbiorów Rafała Chmary. „Głowa Chrystusa 1999 r.” – autor Józef Chełmowski  
Str. 53 – 30.04.1999 r. Na zdjęciu od lewej: Józef Chełmowski, Felicja Baska-Borzyszkowska, Jadwiga Chełmowska, Wanda Kiedrowska. Fot. Dorota Ulenberg. Ze zbiorów prywatnych rodziny artysty.  
Str. 57- „Dwoje starszych ludzi” autorstwa Józefa Chełmowskiego. Fot. ze zbiorów prywatnych Hanny Kantor.  
Str. 58 – Hanna Kantor i Józef Chełmowski pod lipo-gruszą. Fot. ze zbiorów prywatnych Hanny Kantor.  
Str. 59 – „Wędrowiec na krańce świata” autorstwa Józefa Chełmowskiego.

Fot. ze zbiorów prywatnych Hanny Kantor.  
Str. 64 – 08.11.2012 r. Od lewej: Mariola Rodzeń (sekretarz Gminy Brusy), Radosław Kamiński, Izabela Katarzyna Bukowska, Józef Chełmowski, Witold Ossowski. Fot. Archiwum rodzinne artysty.  
Str. 67 – Jan Kozłowski z pracami autorstwa Józefa Chełmowskiego. Fot. Archiwum prywatne Jana Kozłowskiego.  
Str. 73 – Józef Chełmowski z premierem Jerzym Buzkiem, burmistrzem Jerzym Fijasem oraz posłem Markiem Biernackim. Fot. Archiwum prywatne Jerzego Fijasa.  
Str. 77 – Jonasz Rudnik z dziadkiem Józefem. Fot. Leszek Pękalski. Ze zbiorów prywatnych rodziny artysty.  
Str. 87/88 – Galeria ZPAP w Gdańsku – Kazimierz Lemańczyk, autor portretu Józefa Chełmowskiego na wernisażu 15 grudnia 2018 r. Po prawej stronie widnieją autoportret prof. Czesława Tumielewicza.  
Str. 92 – Edmund Puzdrowski przy kapliczce Matki Boskiej Zielnej. Fot. Archiwum prywatne rodziny Józefa Chełmowskiego.  
Str. 97 – Na zdjęciu od lewej: Krzysztof Wirkus, Józef Chełmowski i Amadeusz Matyszewski. Fot. Archiwum prywatne rodziny artysty.  
Str. 115 – Na zdjęciu Józef Chełmowski. Fot. Paweł Rudnik.  
Str. 127 – Wanda Lew-Kiedrowska i Józef Chełmowski przy kapliczce św. Franciszka. Fot. ze zbiorów prywatnych rodziny artysty.  
Str. 131 – 1997 r. Występ zespołu „Krëbane” na podwórzu Józefa Chełmowskiego nagrywany przez TVB. Fot. Archiwum prywatne rodziny artysty.  
Str. 132 – 1981 r. Poświęcenie kapliczki „Trzeci upadek” przez ks. Zdzisława Wirwickiego. Fot. ze zbiorów Władysława Czarnowskiego.  
**GRAFIKI Z KSIĘGI „TAJEMNICA ŚWIATA ŚWIATÓW”**  
Strony – 17, 20, 37, 41, 61, 63, 69, 83, 89, 93, 103, 105, 107, 109, 113, 117, 120, 133.

[www.jozefchelmowski.pl](http://www.jozefchelmowski.pl)

Zrealizowano  
przy pomocy finansowej  
Województwa Pomorskiego



**WOJEWÓDZTWO  
POMORSKIE**



Fundacja im.  
**Józefa i Jadwigi  
Chelmowskich**